BRUDNA GRA BERLINA

ZHP BEZ BOGA, A PRZEWODNICZĄCY MA TECZKĘ W IPN

ROKITA OSTRZEGA: CZAS ZACZYNA PRACOWAĆ NA NIEKORZYŚĆ UKRAINY

UPADEK NIEZATAPIALNEGO. DLACZEGO POZBYTO SIĘ TOMASZA LISA?

SIECI

JAK NIEMCY ROZBIJALI I KORUMPOWALI POLSKIE ELITY PO UPADKU KOMUNIZMU – UJAWNIA PROF. BOGDAN MUSIAŁ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 22 (496) 2022
30 maja–5 czerwca 2022
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

WYZNANIE POLSKIEGO OCHOTNIKA

JAKUB MACIEJEWSKI SPOTKAŁ W DONBASIE RODAKA, KTÓRY RAMIĘ W RAMIĘ Z UKRAIŃCAMI BRONI ICH KRAJU. OTO JEGO OPOWIEŚĆ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

Nieznane fakty
Relacje polsko-ukraińskie – z Kozakami przeciw Moskwie

Przedmurze
Polscy rycerze w obronie wrót Europy w XVI i XVII wieku

Ropa z morza
Witold Zglenicki – polski nafciarz na dzikim Wschodzie

Zamów e-prenumeratę na cały rok 2022:
SIECI i wSIECI HISTORII oraz **3 audiobooki** (o wartości 114,90 zł)
w prezencie to koszt tylko 119,90 zł

Wejdź na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl 22b9a0cb92

Prawdziwa klęska redaktora

Wszyscy go zdradzili, wszyscy są świnie. Polska demokracja umarła. Wolnych mediów już nie ma. Tak – w dużym skrócie widzi świat Tomasz Lis, który w przewidywaniu pognania przez wydawcę z niemieckim kapitałem wziął kilka wiaderek frustracji i wylał na cały świat (szerzej o sprawie w tekście Wojciecha Biedronia na str. 50–51). To temat ciekawy, bo redaktor jest i pozostanie celebrytą, mieszkańcem zbiorowej wyobraźni Polaków, aktywnym graczem politycznym. Ale to wszystko nie uzasadniałoby odnotowywania sprawy w tym miejscu.

Warto to zrobić z innego powodu.

Co najbardziej zapamiętamy z tego Lisowego 10-lecia? Agresję okładkową? Kuriozalne błędy, jak używanie fałszywego konta córki Andrzeja Dudy do ataku na nią i na jej ojca? Wyzwiska wobec polemistów? Kuriozalne diagnozy społeczne, w których Polacy raz są szczęśliwymi dziećmi III RP, a za chwilę sfrustrowanymi obywatelami nieudanego państwa? Miłość redaktora do przewodniczącego Tuska? Próby poniżania ludzi uznanych za przeciwników? Brak szacunku wobec ofiar tragedii smoleńskiej?

Wszystko układa się w jeden, dość nieciekawy w mojej opinii obraz. Lis dostał na starcie wszystko. Grał wyjątkowo brutalnie. Czy finalnie może mówić o sukcesie? Szacunku społecznym? Wątpliwe. W mojej ocenie nie umiał postawić sobie elementarnych granic. Nie twierdzę, że inni, w tym ja sam, nie popełniali błędów. Ale u Lisa brak było jednak jakiejkolwiek autorefleksji, zdolności korekty, wyciągnięcia wniosków. Na każdą porażkę miał jedną receptę: jeszcze więcej tego samego, jeszcze mocniej bić przeciwnika.

Po dekadzie Lisa w „Newsweeku" jedno widać szczególnie: pomyłki co do spraw zasadniczych.

Nie miał racji, że nie ma alternatywy dla PO i Tuska. Źle ocenił też tego ostatniego, nie doceniając jego egoizmu. Gdy zamigotała europejska i niemiecka kariera za kilka milionów euro, ukochany premier zawinął się z Polski w pięć minut.

Nie miał racji co do państwa polskiego – dziś jest oczywiste, że jest ono nam potrzebne jak tlen, że pozostaje najważniejszym gwarantem naszej wolności.

Unia Europejska nie jest klubem wzajemnej miłości, ale organizacją międzynarodową, w której trwa ostra walka o dominację, gdzie rządzą niestety egoizmy potęg.

Niemcy nie tylko nie umieją przewodzić Europie, ale zdradzają ją na każdym kroku.

Bracia Kaczyńscy nie byli rusofobiczni, ale Lis był ślepy na zagrożenie. Tyran i morderca wyrósł mu pod bokiem, przy jego – redaktora – zachwytach, oklaskach i szyderstwach z przestrzegających przed zagrożeniem.

Kapitał ma narodowość, są sfery, w których prywatyzacja jest szkodliwa.

III RP miała wiele niedoskonałości, a rządy obozu Jarosława Kaczyńskiego umiały je zmniejszyć.

Lech Kaczyński nie był małym frustratem, jak go Lis malował, ale mężem stanu, którego docenia dziś cały świat.

Smoleńsk nie był oczywistym „wypadkiem", ale jedną z wielu zbrodni dokonanych przez reżim Putina.

Wielkie inwestycje państwowe, w tym w infrastrukturę energetyczną, miały ogromny sens.

Rządy PiS demokracji nie zlikwidowały, ale ją wzmocniły, dając głos i godność wcześniej wykluczanym.

Polska nie jest w izolacji, ale wyrasta na lidera regionu.

Rządy PO-PSL popełniły straszliwy błąd, zwijając armię, co na szczęście Polacy zatrzymali po 2015 r.

Polacy nie są nieczułymi egoistami, ale wspaniałymi sąsiadami zaatakowanego narodu. Umieli rozróżnić bojówki Łukaszenki od prawdziwych uchodźców. Lis nie umiał.

Można by tę listę ciągnąć długo. Wszystko, co dzieje się wokół nas, dowodzi, jak bardzo redaktor z wielkim ego się mylił. Byłaby to jego prywatna sprawa, gdyby nie cena, którą niestety Polska musiała za te pomyłki zapłacić. I gdyby nie to, że nie jest w tym sam, reprezentuje szersze zjawisko i większą grupę pogubionego establishmentu. Grupę, która dramatycznie nie umiała rozeznać rzeczywistości. I to jest prawdziwa klęska, a nie utrata stanowiska.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl 22b9a0cb92

SIECI spis treści

22 *Putin wywołał III wojnę światową z Jurijem Felsztinskim rozmawia Maciej Walaszczyk*

43 Fałszywe wojny opozycji *Stanisław Janecki*

55 Z prof. Włodzimierzem Gutem o małpiej ospie *rozmawia Aleksandra Jakubowska*

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 PORWANIE W TUSKMENISTANIE
Krzysztof Feusette

9 NAJLEPIEJ, ŻEBY NIE BYŁO NICZEGO
Dorota Łosiewicz

10 HONOROWE WYJŚCIE
Jan Pietrzak

10 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

11 JAK BERLIN KSZTAŁTOWAŁ III RP
Bronisław Wildstein

12 WALIZKA MAŁGORZATY ŻARYN
Michał Korsun

14 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

15 GŁÓD
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 JEDYNA TAKA OPOZYCJA W UNII EUROPEJSKIEJ
Samuel Pereira

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

18 POLSKI OCHOTNIK NA WOJNIE W DONBASIE
Jakub Augustyn Maciejewski

22 PUTIN WYWOŁAŁ III WOJNĘ ŚWIATOWĄ
Maciej Walaszczyk rozmawia z Jurijem Felsztinskim

26 DLACZEGO POMAGAMY UKRAINIE
Konrad Kołodziejski

29 TRAGEDIA UPŁYWAJĄCEGO CZASU
Jan Rokita

32 WOJNA WYKUWA NOWĄ UKRAINĘ
Marek Budzisz

KRAJ

36 DRUH MIMO BOGA
Marcin Wikło

39 Z MARIĄ KOC
rozmawia Jacek Karnowski

43 FAŁSZYWE WOJNY OPOZYCJI
Stanisław Janecki

46 UPADEK NIEZATAPIALNEGO
Wojciech Bierdoń

OPINIE

48 SOLIDARNOŚĆ CZY EGOIZM?
Jan Parys

51 Z PROF. BOGDANEM MUSIAŁEM
rozmawia Marek Pyza

55 WIELKIE OSZUSTWO
Goran Andrijanić

HISTORIA

58 WIELKI WYBUCH
Wojciech Lada

ŚWIAT

62 JAK UKRAIŃSKI DENTYSTA OSZUKAŁ ROSJĘ
Aleksandra Rybińska

55 Z PROF. WŁODZIMIERZEM GUTEM
rozmawia Aleksandra Jakubowska

SIECI KULTURY

67 B JAK BACZYŃSKI I… BROADWAY
Jolanta Gajda-Zadworna

70 BLUŹNIĄCY Z „PSAMI”
Robert Tekieli

71 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

72 POLECA
Łukasz Adamski

WIELKIE POLKI

74 MATKA KRÓLÓW
Wojciech Lada

GOSPODARKA

76 BUDOWNICTWO: UMOWY DO KOREKTY
Debata Forum wGospodarce.pl

KUCHNIA

82 MOJE SMAKI: NINA I SEBASTIAN
Jolanta Gajda-Zadworna

83 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

89 JAK KOSA NA KAMIEŃ
Wojciech Reszczyński

90 W CIENIU WAŻNIEJSZYCH SPRAW
Jan Pospieszalski

91 FELIETONY
Lech Makowiecki

91 FELIETONY
Piotr Cywiński

92 MORALE
Aleksander Nalaskowski

95 NIE OBCYNDALAĆ SIĘ
Jerzy Jachowicz

96 W SPRAWIE ŁÓŻKA
Ryszard Makowski

97 BOGACTWA PO LEŚMIANIE
Leszek Długosz

98 400 BRUTALNYCH DNI
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 62/0522/F

eprasa.pl 22b9a0cb92

Światowe Forum Miejskie – WUF11

Katowice, 26-30 czerwca 2022

Porozmawiajmy w Katowicach o najważniejszym wynalazku ludzkości

Miasto to jeden z najważniejszych wynalazków ludzkości, dla niektórych - najważniejszy. Miasta są bowiem od tysięcy lat miejscem wymiany handlowej, przepływu wiedzy, interakcji, innowacji czy organizowania się społeczności. Miasta to ciągle transformujące się węzły globalnej sieci powiazań między ludźmi, firmami, uczelniami i organizacjami.

Kondycja miast, ich konkurencyjność i sprawność w dostosowywaniu się do ciągłych zmian to tematy, którymi zajmują się nie tylko ich włodarze i świadomi mieszkańcy, ale także tysiące badaczy i organizacji. Jedną z nich jest Organizacja Narodów Zjednoczonych.

Co dwa lata, pod egidą ONZ, odbywa się najważniejsze i największe na świecie wydarzenie dotyczące dyskusji o rozwoju miast – Światowe Forum Miejskie (World Urban Forum – WUF). **W tym roku – już w dniach od 26 do 30 czerwca – 11. sesja wydarzenia odbędzie się w Polsce, w Katowicach.** Po raz pierwszy w 20-letniej historii gospodarzem wydarzenia będzie kraj z Europy Środkowo-Wschodniej. W WUF wezmą udział nie tylko przedstawiciele rządów i miast z całego świata, ale również setki naukowców, przedstawicieli organizacji społecznych oraz biznesu a przede wszystkim mieszkańcy miast. To niepowtarzalna okazja, by w Polsce wziąć udział w globalnym wydarzeniu, podczas którego prezentowane i omawiane będą trendy i wyzwania dla rozwoju zarówno metropolii, jak i mniejszych miast i miasteczek.

Zwłaszcza w czasach kryzysów i niepewności wiele osób zadaje sobie pytania: czy tu, gdzie mieszkam, jestem bezpieczny? Czy miejsce, w którym żyję, daje dobre perspektywy na rozwój i dobre życie dla mnie i moich bliskich? W jaki sposób moje miasto poradzi sobie z transformacją gospodarczą, energetyczną, klimatyczną? Odpowiedzi na te pytania będą poszukiwać uczestnicy WUF w Katowicach. To szansa na podzielenie się wiedzą i dobrymi praktykami, wzajemne inspirowanie czy nawiązywanie współprac w międzynarodowym gronie.

Organizatorzy wydarzenia po stronie polskiej – Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej oraz miasto Katowice – zapewniają, że nie będzie to zwykła konferencja. Przez 5 dni cała stolica Górnego Śląska będzie żyła festiwalem miejskim, którym jest WUF11. W mieście powstanie 11 stref pod wspólną nazwą „WUF na Mieście", które będą miały swój osobny program. Będzie kino miejskie, koncerty, strefa dyskusji z młodymi czy strefa innowacji. Ciekawą atrakcją będzie również Urban Expo, w której swoje pawilony promocyjne przygotowują państwa, miasta, ale też firmy. WUF to „numer 1" wśród wydarzeń miejskich.

Więcej informacji o wydarzeniu:
www.gov.pl/wuf11
Bezpłatna rejestracja na stronie:
wuf.unhabitat.org

ZESKANUJ I WEŹ UDZIAŁ

WORLD URBAN FORUM
JEDENASTA SESJA
KATOWICE, POLSKA | 26-30 CZERWCA 2022

UN HABITAT
FOR A BETTER URBAN FUTURE

Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej

KATOWICE
dla odmiany

eprasa.pl 22b9a0cb92

Sygnalista nadaje

To z pewnością cytat tygodnia. ***Michał Kamiński***, wicemarszałek Senatu: „Czy w ramach tego kryzysu, który nas dotknął, w ramach zagrożeń, które przed nami stoją, warto jest wydawać setki miliardów złotych na port lotniczy, którego nie będziemy w stanie obronić i Rosjanie te setki miliardów złotych będą mogli w pięć minut posłać w kosmos?". Gdyby tę logikę rozszerzyć, należałoby zrezygnować z jakichkolwiek inwestycji i zaprzestać jakiejkolwiek aktywności. Ale jest odwrotnie: im więcej CPK-ów zbudujemy, tym będziemy bogatsi i tym łatwiej będzie nam zbudować armię, która nas obroni.

„Gazeta Wyborcza" zachwyciła się kobietami w polityce: „Jakąż przyjemność sprawia klasyczna elegancja polityczek. Czerwienie, błękity, zielenie, żółcie, a nawet róże ich garsonek przyciągają wzrok zmęczony monotonią szaroburych garniturów. Ich uśmiechy zadają kłam wrażeniu sprawianemu przez polityków, którym całkowite poświęcanie się dla spraw wyższych odbiera radość życia. Ich staranne fryzury i zadbane twarze kontrapunktują z ponuractwem politycznych samców". Można się wzruszyć, ale mamy dla redaktorów „GW" złą wiadomość: panie w polityce potrafią walczyć dużo, dużo ostrzej niż panowie. Świat jest bardziej skomplikowany, niż wielu sądzi.

Izba Dyscyplinarna odwiesiła sędziego Pawła Juszczyszyna, jednego z liderów „rebelii" przeciwko ładowi prawnemu w Polsce. Prezes Sądu Okręgowego w Olsztynie Maciej Nawacki zareagował następująco: „Pan sędzia jest cywilistą i jego wiedza przyda się w tym wydziale. Panu sędziemu przysługuje urlop, który w tym roku się przedawnia, dlatego na czas budowy jego referatu udzielam mu urlopu wypoczynkowego, do czego jestem zobowiązany jako pracodawca. Pan sędzia, gdy już wróci, wesprze wydział rodzinny". Opozycja przekonuje, że „zesłanie" do wydziału rodzinnego to kara i sankcja. Nieprawda. Sędzia z powołaniem wszędzie będzie szczęśliwy.

A ***Donald Tusk*** już wie, jak przywrócić Polsce praworządność: „Decyzje, które oni podjęli, które dotyczą sądów, Trybunału Stanu czy Trybunału Konstytucyjnego, to decyzje z punktu widzenia prawa polskiego, konstytucyjnego, europejskiego – nielegalne. Ich nie ma. Ten stan rzeczy, który oni wytworzyli, będzie trwał tak długo, jak długo oni będą u władzy. Wygramy wybory i przywrócimy legalny stan rzeczy". W jaki sposób? „Nie będzie trzeba ani jednej, ani 100 ustaw. Trzeba będzie kilku odważnych ludzi, którzy wyproszą panie i panów, nielegalnie zajmujących miejsca, i wyprowadzi się [ich] z budynku, po prostu". III Rzesza nie powstydziłaby się takiej recepty.

Tomasz Lis w trybie nagłym stracił stanowisko redaktora naczelnego tygodnika „Newsweek". Przyczyny rozstania są niejasne, ale „Press" sugeruje, że nie chodziło o poglądy. Branżowy portal zadał koncernowi RASP – wydawcy tygodnika – pytanie, czy w sprawie Lisa działała powołana w firmie specjalna komisja i „czy rozpatrywała ewentualne przypadki mobbingu lub innych niewłaściwych zachowań ze strony byłego naczelnego »Newsweek Polska«". W odpowiedzi koncern nie za-

eprasa.pl 22b9a0cb92

przeczył, ale opisał procedurę postępowania w przypadku skarg dotyczących zachowania szefów. Cóż, nie byłoby to zaskoczeniem. Ludzie ukształtowani zawodowo w latach 90. zapominają, że żyjemy już w innej epoce. I to, co uchodziło, już nie uchodzi.

„Wtajemniczeni twierdzą, że właściciel nie rozstał się z Lisem, bo popełnił tego przydługiego wstępniaka, tylko było odwrotnie: to Lis dostał cynk o planowanym wyrzuceniu i ten tekst jest tego skutkiem, metodą legendowania się" – stwierdził w mediach społecznościowych Samuel Pereira, szef portalu tvp.info i felietonista tygodnika „Sieci". To prawdopodobne. W owym wstępniaku Lis mocno uderzył w media głównego nurtu, zarzucając im „kolaborację" z władzą: „Najbliższe wybory da się wygrać, ale na tzw. wolne media niech demokraci nie liczą. Muszą dać radę sami". Zdrada, wszędzie zdrada. Może III RP nie była tak ideowa, jak się jej wydawało?

Oto próbka stylu Tomasza Lisa: „Na razie system działa. Działa redaktor »Suwart«, który dba o to, by internetowy portal dostał miliony za robienie PR Ziobrze i jego ekipie. Redaktor konsultant Dworczyka po kilkutygodniowym przewietrzeniu na skoczniach narciarskich jakby nigdy nic powrócił na antenę. Przecież nic się nie stało, prawda? Program partii programem narodu. Rządowi konsultanci doradzają władzuni, czy usunięcie z radiowej Trójki legendarnego Wojciecha Manna bardziej się władzy opłaci, czy jej zaszkodzi. I mają się świetnie. Przecież to tylko koleżeńskie pogawędki. Wielu służy za drobne albo ze zwykłej głupoty w imię czegoś, co nazwano symetryzmem". Dużo w tym szaleństwa, ale jest i coś więcej. Po siedmiu latach plan otoczenia PiS kordonem sanitarnym na wszystkich polach właściwie się załamał. I to Lis dobrze wyczuł.

Upadek Lisa to upadek – z ręki niemieckiego koncernu – ważnego zwolennika Tuska. Czyżby sypało się zaplecze obecnego lidera PO? Nie można wykluczyć, że sprawa ma szersze tło. Zdaniem portalu wPolityce.pl przeciwnicy Tuska szykują „przewrotkę polityczną" na wielką skalę. „Tusk to polityk opcji niemieckiej, a część opozycji wolałaby się przeorientować na Amerykanów. Nieprzypadkowo – zdaniem naszego informatora – Trzaskowski spotkał się z Sorosem juniorem i nieprzypadkowo to z nim spotykał się w czasie wizyty w Polsce prezydent Joe Biden" – czytamy. W tym kontekście nawoływania do zjednoczenia opozycji to nie plan, lecz wyłącznie ucieczka do przodu.

Stanisław Janecki ujął to tak w komentarzu na portalu wPolityce.pl: „Centrala w Waszyngtonie uważa Tuska za kogoś, kto nie tylko kiedyś postawił na złego konia i czerpał przyjemność z jej upokarzania, ale w ogóle traktuje go jako kogoś, z kogo nie będzie już miała żadnego pożytku. Donald Tusk karierę robił na podłączeniu do centrali w Berlinie (a przez powiązania tej berlińskiej z moskiewską, także do tej drugiej), a teraz chciałby zmienić centralę na tę w Waszyngtonie. Ale Waszyngton kompletnie nie jest tym zainteresowany". Tusk jest więc obecnie dla Waszyngtonu nikim. I to się nie zmieni.

Ksiądz Kazimierz Sowa w żałobie. „Tomek Lis poza »Newsweekiem« i to odwołanie w trybie, jaki do tej pory był znany raczej z gmachu przy Woronicza to nie jest najlepszy znak ani dla innych dziennikarzy, ani generalnie dla mediów" – ocenia ksiądz-polityk. I dodaje: „Aha, jeszcze jedno – jego wstępniak z aktualnego numeru »Newsweeka« to nie diagnoza. To smutna rzeczywistość. I podtrzymuję, że dla symetrystów jest osobne miejsce w piekle". To nieprawda. Symetryści wywodzący się z lewicy pójdą do nieba. Do piekła pójdą symetryści, którzy wyszli z prawicy. Bo oni znają prawdę, ale jej nie służą.

Tusk robi coraz więcej prostych błędów. Teraz nagrał przesłanie na konwencję partii Forza Italia. „Jestem całkowicie przekonany, że dzięki przewodnictwu Silvio Berlusconiego Forza Italia będzie nadal siłą napędową dla Włoch, lepszej Europy i bardziej konkurencyjnych rozwiązań wobec przyszłości" – przekonywał. Komplementowany Berlusconi zrewanżował się wezwaniem, by zmusić Kijów do kapitulacji. „Uważam, że zjednoczona Europa musi złożyć propozycję pokojową, starając się skłonić Ukraińców do zaakceptowania żądań Putina" – stwierdził były premier Włoch. Trudno się dziwić. Formacja Tuska, czyli Europejska Partia Ludowa (EPP), to naprawdę była Europejska Partia Putina. To EPP utuczyła i rozzuchwaliła tego potwora.

Na wojnie zarabiają producenci ropy i gazu. Norwegia ma już 100 mld dol. zysków przekraczających średnią z ostatnich lat. Premier ***Mateusz Morawiecki*** wezwał więc Norwegów, by byli solidarni: „Oni powinni się tym błyskawicznie podzielić, zresztą nie mówię, że koniecznie z Polską, mogą się podzielić z Ukrainą, z tymi, którzy najbardziej ucierpieli na skutek tej wojny". Opozycja zawyła, że to skandal i w ogóle wiocha. Ale to opozycja jest po prostu głęboko prowincjonalna i nie wie, co się dzieje na świecie. Bo dyskusja o konieczności wprowadzenia „windfall tax", czyli podatków od nadmiarowych zysków, toczy się i w Norwegii, i w Wielkiej Brytanii, i w innych krajach. Nasi „liberałowie" machają sztandarem nowoczesności i postępu, a tak naprawdę utknęli w latach 90. Wczesnych.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 22b9a0cb92

Porwanie w Tuskmenistanie

KRZYSZTOF FEUSETTE

Aj hede drim – miałem sen. Konkretnie horror. Pod roboczym tytułem: „Tuskańska masakra piłą mechaniczną", dość powiedzieć, że zbudziłem się jak Czajka – mokry i pęknięty. Zadzwoniłem do Donalda i mówię: „Du ju spik inglisz?", a on mi: „Nicht fersztejen, gawari pa ruski". To ja mu: „Hałdujudu, bikoz ajfonju from Łoszyngton". „A ty co, już niemieckiego nie pamiętasz?" – krzyczy. No i wtedy się zaczęło. „Ajm not andersten ju". „Tylko nie ju, chloptasiu". „»Chłoptasiu« to możesz sobie do Szłapki mówić. Wiesz, kto za tę rękę złapał? Bajden!". „Ten dziaders?". „Sam dziadersem zalatujesz!". „A ty za młody jesteś, żeby zapachy rozpoznawać". „Uważaj, bo już był taki Cezar, co na kolegów głos podnosił...". Wtedy już nic nie odpowiedział, tylko woła: „Raus, dajcie tu paru odważnych, niech go wyprowadzą z budynku, bitte, i na zbite facjate wyp...". Natychmiast się obudziłem. Nie mówiłem, że masakra? Łydki mi się trzęsły jak witryny w podziemiach Marszałkowskiej, kiedy tramwaj przejeżdża.

Ale potem przyszło olśnienie, a wiecie sami, że na takie olśnienia stać tylko tych, którzy błyszczą w pełnym blasku, i pomyślałem sobie: nie ma na co czekać! Albo on mnie, albo ja jego. Maraton przebiegł, wielkie mi osiągnięcie. Spróbuj, dziadku, pokonać dwie zebry w centrum Warszawy i to na dwa razy. Albo przyklej kobiecinie szybę drzwiową na taśmę, to pogadamy. W kasku się przejdź pod oczyszczalnię i spójrz w oczy tym rybom. Co ty w ogóle wiesz o zabijaniu? Znalazł się zbawca na białej hulajnodze, jeździć się naucz, piracie, bo już raz ci mandat wlepili. A jak mi po Śródmieściu zaczniesz kołowrotki kręcić, to ci straż miejska szybko miejsce w szeregu pokaże. Myślisz, że jak to są ludzie jeszcze Gronkiewiczowej, a ona mnie jak macocha polityczna zdradziła dla twych wilczych oczu, to już ci mandatu nie wlepią? Tak mu powiem. K..., będzie mi mówił, kogo ja mam na swój kampus z niemieckich pieniędzy zapraszać? Będzie na moich oczach mój genialny pomysł na aktywizację środowisk młodzieżowych zrzynał?

Dlatego, kochani, zebraliśmy się tutaj w składzie takim, jak widać, w celu takim, jak słychać, i w poczuciu, iż trzeba tego szkodnika politycznego odsunąć, czas wziąć własny klucz w swoje ręce i odkręcić to piąte koło u naszego wozu, którym mieliśmy wrócić na salony władzy w takt piosenki „Powrócisz tu", choć ja jej nie lubię przez ten „nadwiślański brzeg". No, ale nie mamy tu dzisiaj mówić o mnie, bo na to z pewnością przyjdzie czas już niebawem. Zresztą cóż ja mogę wam jeszcze o sobie opowiedzieć? Znacie mnie doskonale, wiecie, że fajny i skromny ze mnie chłopak, słucham funky i znam Michała Żebrowskiego. I że mój program da się streścić w jednym zdaniu: nawet wtedy, gdy g... leje się do królowej polskich rzek, a kozy umierają nad jej brzegiem, uśmiechaj się do ludzi, a przytulaj do ekologów.

Jak wiecie, udałem się niedawno do Stanów Zjednoczonych Ameryki, i to na aż sześć noclegów, więc kasę na hotele i przejazdy wziąłem z ratusza. Niech mieszkańcy wiedzą, że jak prezydent stolicy gdzieś leci, to zawsze w ważnych sprawach naszej metropolii czy to jeśli chodzi o „zaopatrzenie w wodę", czy „gospodarkę odpadami", jak podał ratusz. Bo w USA akurat jednego i drugiego jest dużo. Miałem tam okazję spotkać się z licznymi wyrazami sympatii, takimi, jak „miły", „wysoki", „przystojny" czy „zakręcony". Ale powiem wam jedno: w Ameryce praktycznie nikt Donalda nie kojarzy. Trumpa – oczywiście, Kaczora – jeszcze bardziej, ale jego ani trochę.

To może tyle o mnie, teraz sprawa najważniejsza. Czy ktoś ma może jakiś plan, jak się pozbyć z partii tego szkodnika, który nawet sam o sobie mówił, że jest obciążeniem, a dziś wisi nam wszystkim jak kamień u szyi? Słuchajcie, musimy uwierzyć, że można pokonać smoka, jak uczy nas Szewczyk Dratewka, że można przechytrzyć Cerbera, jak pokazuje nam Herakles, i – co najważniejsze – trzeba ten spór rozwiązać na drodze siłowej, dokładnie tak samo, jak przejął władzę w naszej partii ten brukselsko-berliński samozwaniec. Właśnie! Ktoś w ogóle sprawdził, czy to na pewno jest on? Bo skoro mówi coś zupełnie przeciwnego niż przed wyjazdem, i to na każdy temat, to może to jest jakiś uzurpator? Nie wydaje wam się dziwne, że Putinowi wchodził bez Ławrowa, a dziś udaje antyputinowca? A wiek emerytalny, świadczenia socjalne, pensja minimalna, zwijanie armii i policji? Nie ma co strzępić języka, towarzysze i towarzyszki, czas zakasać rękawy, założyć kaski ochronne i do roboty. Teraz albo nigdy, nał or newer. Przypomnę, że ten partyjny satrapa i dyktator sam przyznał, iż pytał mnie, czy „biorę partię", ale zanim zdążyłem załapać, już podziękował i wziął ją sam! My też musimy działać z zaskoczenia. Właśnie teraz, kiedy jeździ po kraju, który przez większość kariery politycznej miał w głębokim poważaniu, i opowiada historyjki, że czereśnie podrożały o kilkaset procent. Musimy być za każdym drzewem.

Nie dajcie sobie wmówić, że on to my, a my to on. Bo kto was uratował przed czyszczeniem szuflad Gronkiewiczowej i wystartował na szefa Warszawy? Kto was z czterech procent Małgosi Kidawy-Błońskiej za włosy wyciągnął? Zapytam więc na koniec tylko raz: jesteście ze mną?! Nie słyszę! To znaczy, gwizdy słyszę, ale aplauzu nie widzę. To co? Pomożecie?! Halo, a gdzie wy wszyscy idziecie? Ej, wracajcie! Ja tylko żartowałem! Ludzie, przysięgam na Babcię Kasię, jaja sobie robiłem. Kabaret taki, no. Poczekajcie...

eprasa.pl 22b9a0cb92

WIEŻA BAB

Najlepiej, żeby nie było niczego

Gdyby pójść tym feministycznym tokiem myślenia, to należałoby z kalendarza wykreślić wszelkie możliwe uroczystości, dni okolicznościowe i święta

Kiedyś Rafał Trzaskowski przekonywał, że nie ma sensu budowanie w Polsce Centralnego Portu Komunikacyjnego, bo przecież mamy lotnisko w Berlinie. Teraz w ślady Trzaskowskiego poszedł wicemarszałek Senatu Michał Kamiński. „Jak jeździłem po tych zgliszczach pod Kijowem, myślałem o CPK, bo myślałem, że jeżeli dziś ktoś jest polskim patriotą, to najpierw musi wydawać pieniądze na obronę przeciwlotniczą, a później na infrastrukturę. Bo co z tego, że zbudujemy najdroższą infrastrukturę, jeżeli nie będziemy mieli kopuły, która będzie tej infrastruktury bronić?" – mówił Kamiński podczas konferencji prasowej. I dodał: „Czy w ramach tego kryzysu, który nas dotknął, w ramach zagrożeń, które przed nami stoją, warto jest wydawać setki miliardów złotych na port lotniczy, którego nie będziemy w stanie obronić i Rosjanie te setki miliardów złotych będą mogli w pięć minut posłać w kosmos?". Kierując się taką logiką, to właściwie nic nie warto robić: ani budować dróg, ani inwestować, ani nawet posyłać dzieci do szkoły, bo przecież Putin w każdej chwili wszystko może posłać w kosmos. Powinniśmy się wszyscy tylko położyć i na to czekać.

Zdaniem innych, a konkretnie feministek z kręgów Dziewuchy Dziewuchom, nie ma sensu obchodzenie Dnia Matki, bo fetowanie tej uroczystości może sprawić komuś przykrość. „To przedziwne »święto« sprawia, że wszystkie bezdzietnice, córki zmarłych matek i matki zmarłych lub nieobecnych dzieci mogą odczuwać żal, rozgoryczenie lub porażkę. Nie-matki muszą dostroić się do celebracji, z której są wykluczone i która przynosi korzyść przede wszystkim firmom z gadżetami" – tak rozpoczyna się post zamieszczony z okazji Dnia Matki na facebookowym profilu Dziewuchy Dziewuchom. Z posta dowiadujemy się także, że „problem z Dniem Matki polega na tym, że jest niekompletny w swoim założeniu. Rola matki może bowiem rozkładać się na wiele osób. Udział w opiece nad dzieckiem mogą mieć również ciotki, rodzeństwo, przyjaciółki rodziny. Bywa, że biologiczna matka jest nieobecna lub toksyczna, a jej funkcję przejmuje ktoś inny – i niekoniecznie jest to osoba identyfikująca się jako kobieta. A zatem hasło, że »matka jest tylko jedna«, zasługuje na mocną rewizję" – podkreślają autorki.

Właściwie gdyby pójść tym tokiem myślenia, to należałoby z kalendarza wykreślić wszelkie możliwe uroczystości, dni okolicznościowe i święta. Dzień Ojca pewnie jest zdaniem feministek równie bez sensu jak Dzień Matki, bowiem może być przykro wszystkim, którzy ojców nie mają lub których ojcowie nie stanęli na wysokości zadania, lub tym, którzy byli ojcami, a są matkami. Jeśli chodzi o Dzień Babci i Dzień Dziadka to święta równie fatalne, bowiem dziadków posiada jeszcze mniejszy procent społeczeństwa niż rodziców, gdyż z racji wieku mogli oni opuścić ziemski padół. Świętowanie Dnia Kobiet wyklucza mężczyzn i osoby niebinarne, Dzień Chłopaka z kolei wyklucza kobiety i osoby niebinarne, Dzień Kominiarza – wszystkich wykonujących inne zawody. Świętowanie imienin może urażać wszystkich ludzi o imieniu innym niż solenizanta danego dnia. Urodzin świętować nie należy, bowiem urażeni mogą się poczuć wszyscy urodzeni w dniu innym niż jubilat, a poza tym osoba świętująca urodziny może być niezadowolona z życia. Dzień Edukacji Narodowej – bez sensu, bo wówczas kwiaty dostają tylko nauczyciele, Światowy Dzień Owoców i Warzyw wyklucza sery i wędliny, Międzynarodowego Dnia Pokoju nie można świętować, bo w niektórych krajach jest wojna, Światowy Dzień Jabłka dyskryminuje banany, Dzień Marzyciela eliminuje tych, co myślą zdroworozsądkowo. A Boże Narodzenie!? To aż strach pomyśleć!

A może należałoby ustanowić Dzień Osoby Feministycznej? Może ten dzień byłby godny świętowania? Albo nie. Ustanówmy po prostu Dzień Osoby Każdej. I świętujmy go 365 razy w roku, okazując sobie na co dzień sympatię i szacunek. A, nie to nie chwyci, bo wyklucza zwierzęta, warzywa i owoce. Dobra, poddaję się. Niech więc nie będzie niczego, jak mawiał Krzysztof Kononowicz, wtedy może nikt nie będzie się czuł urażony.

Dorota Łosiewicz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Honorowe wyjście

Jan Pietrzak

Pogonili Niemcy lisa z warszawskiego kurnika. W ramach unijnych przywilejów Niemcy prowadzą tu liczne farmy trolli i kampusy nygusów. Wyliniały lisek był ostatnio widziany przy granicy z Białorusią. Może tam jeszcze znajdzie wyżerkę, jeżeli uda mu się przedostać na drugą stronę przez nową zaporę. Jego zasługi w łupieniu polskiego inwentarza znane są powszechnie, ale zachodni szefowie mają go dosyć, chyba im przeszkadza na nowym etapie. Wschodnim satrapom może jeszcze służyć swoim węchem i sprytem. To notoryczny szkodnik. Szelmostwa jego kolegi lisa Witalisa opisano wierszem.

Ale ja tu bajdurzę o jakimś osobniku pod przykrywką rudej kity, a poważnych problemów mnóstwo. Polska znalazła się w niezwykle ważnym punkcie i czasie swojego losu. Napaść Rosji na Ukrainę przed trzema miesiącami wywołała gwałtowne bicie polskich serc. Ujrzeliśmy jakby fragment swoich dziejów odtworzony w starych kronikach. Barbarzyńcy burzący miasta, potwory mordujące spokojnych ludzi, sadystyczni gwałciciele, dzicz! Taka sama jak w 1920, 1939, 1945 r. Wtedy kradli zegarki, żyrandole i rowery, obecnie sedesy, łyżki i widelce, ciuchy dla żon. Boże święty, nie wierzyłem własnym oczom, że to się znowu zdarzyło. Że zdegenerowana, opętana złem Rosja nic się nie zmieniła mimo pozorów cywilizacji, smartfonów, internetów i laptopów. Przetrwała jak wydobyty z wiecznej zmarzliny mamut na Syberii i rzuciła się w dzikim amoku na Ukrainę. Rosja odmawia Ukraińcom prawa do własnej tożsamości i swojego państwa.

Znamy tę sytuację aż za dobrze po blisko trzech wiekach wyrywania się z brudnych łap carskiej i sowieckiej władzy. Polacy w olbrzymiej większości bezwzględnie popierają walkę o wolność Ukrainy. Ale... krążą po okolicy typy i typki, lisy i barany na usługach złych mocy, którym nasza postawa się bardzo, ale to bardzo nie podoba. Przepełnia ich troska o „twarz Putina". Według Macrona, Kissingera, Berlusconiego trzeba Putinowi umożliwić honorowe wyjście z trudnej sytuacji. Niesamowite, co bredzą o honorze globalni celebryci. Otóż według wszelkich norm tego rodzaju morderca powinien przeprosić za zbrodnie i palnąć sobie w łeb. To minimum. Namówcie go.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Doceńmy Macierewicza

Dominik Zdort

Można Antoniego Macierewicza krytykować za wiele spraw.

Było kilka nieścisłości na „liście agentów bezpieki" z 1992 r. – ale w efekcie jej ujawnienia bardzo poważny problem dawnych współpracowników SB został wskazany i – potem – w pewnym stopniu rozwiązany.

Proces badania katastrofy smoleńskiej nie zawsze wyglądał poważnie i nie wszystkich przekonywał – ale nawet gdyby był prowadzony ostrożniej, to i tak przez politycznych przeciwników byłby zdezawuowany i przekreślony. A dzięki działalności podkomisji pojawiło się wiele ważnych wątpliwości i pytań, których obecna opozycja nigdy nie ośmieliła się zadać.

Problem był też z MON, gdy jego szefem był bohater tego tekściku. Jak rozumiem, obawiając się wpływu lobbystów i agentów obcych państw (co wcale nie jest argumentem zmyślonym), Macierewicz zwlekał z zakupami broni (śmigłowców choćby, ale i o okrętach można wspomnieć). Nie spodziewaliśmy się wtedy wojny na Wschodzie, ale ta zwłoka nie zasługuje na pochwałę.

Na pewno dałoby się te sprawy załatwić lepiej, skuteczniej. Ale jednego panu Antoniemu nie można odmówić. Stworzenia Wojsk Obrony Terytorialnej.

Oddajmy wcześniejszej władzy honor: chciała powołać swoich terytorialsów – Narodowe Siły Rezerwowe. No, ale nie wyszło, z jakiegoś powodu ochotnicy nie garnęli się pod skrzydła Donka i Tomka. Może politycy PO nie byli wystarczająco wiarygodni jako patrioci i obrońcy ojczyzny? A może po prostu nie mieli dobrego pomysłu i korzystnej oferty dla chętnych?

Znam Antoniego Macierewicza od lat, spędziłem wiele godzin na rozmowach z nim (jedna z nich, najdłuższa, znalazła się w wydanym przez Wydawnictwo M zbiorku wywiadów „Kompendium partiotyzmu"). Nie powiem, że się lubiliśmy i sobie ufaliśmy – bo on uważał mnie za agenta pewnej półtajnej międzynarodówki (wcale nie lewicowej, wręcz przeciwnie), a ja – szanując jego historyczne i polityczne zasługi – trochę obawiałem się jego uporu.

Ale gdy został szefem MON, wspomniana sprawa Wojsk Obrony Terytorialnej ruszyła z kopyta. Opozycja usiłowała ją blokować i kompromitować. Jednak okazało się, że są chętni, są Polacy gotowi na szkolenia, obronę ojczyzny.

Dzięki Bogu. Bo czytając relacje z Ukrainy, widzimy, jak ważna jest obrona terytorialna w nowoczesnej wojnie konwencjonalnej. Dobrze uzbrojeni – a wcześniej wyszkoleni – ochotnicy mogą przesądzić o losie państwa.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 22b9a0cb92

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jak Berlin kształtował III RP

Historyk prof. Bogdan Musiał ujawnił szyfrogram wywiadu RP z 1990 r., w którym polski oficer przytacza wypowiedź niemieckiego informatora o kryptonimie „Wolf". „Według »Wolfa« i kół doradców polityczno-gospodarczych rządu RFN korzystnym z punktu widzenia RFN jest rozbicie politycznych ugrupowań w Polsce, brak dominującej partii i podziały w Solidarności. Optymalnym dla jednoczących się Niemiec byłby ostateczny rozpad Solidarności i odrodzenie się w Polsce ze znacznej części jej członków silnego ugrupowania chłopskiego, składającego się z kilku partii chłopskich popieranych przez Kościół. Skutecznie zahamuje to odrodzenie się stabilnego życia politycznego w RP oraz powstanie na gruncie ustaw reprywatyzujących warstwy drobnych i średnich polskich przemysłowców. A więc warstwy średniej, która na Zachodzie odgrywa decydującą rolę w rozwoju kraju. Dla Niemiec tworzy to szansę gospodarczej ekspansji (tak jak to było w okresie II RP) i inwestycji przemysłowych w Polsce ze strony małego i średniego kapitału niemieckiego. Przybliżyłoby to też Polskę do strefy bezpośrednich wpływów Niemiec w Europie Wschodniej".

Doradcy rządu przygotowują jego działania. Jeśli więc czytamy, że coś „jest korzystne z punktu widzenia Niemiec", to mamy pewność, że państwo to podejmowało i podejmuje działania w tym celu. I tak należy rozumieć politykę Berlina wobec Polski.

Odkrycie prof. Musiała jest rewelacją. Nie dlatego, że ujawnia, iż kraje występują na rzecz swojego interesu, ani dlatego, że Niemcy są w takich działaniach wyjątkowo przewidujący i sprawni. To banały. Ale fakt, że już w 1990 r., w momencie zjednoczenia RFN z NRD, gremia decyzyjne tego państwa uznały, iż Polskę trzeba przekształcić w kolonię, powinno dawać do myślenia. A inaczej nie można zinterpretować tego, że rząd RFN uznaje za korzystną polityczną i gospodarczą destabilizację Polski, która „otworzy drogę dla ekspansji kapitału niemieckiego". Mógłby przecież wspierać budowę zdrowej demokracji i gospodarki u swojego sąsiada, co czyniłoby z niego przewidywalnego partnera. Niemcy preferowały co innego.

Nie tylko w tej sprawie nie doceniałem trwałości i dalekowzroczności hegemonistycznej polityki Berlina. Sądziłem, że projekt przekształcenia UE w imperium niemieckie rodził się niejako spontanicznie, a przywódcy RFN po prostu wykorzystali utopijne przedsięwzięcie, które samo się im pchało w ręce. Nadal uznaję, że czynnik nieprzewidywalny, który niesie z sobą każda tego typu ideologiczna, a więc nielicząca się z rzeczywistością i prowadząca w odwrotnym do zamierzonego kierunku inicjatywa, odgrywał w ugruntowaniu berlińskiej dominacji rolę istotną. Ostatnio jednak „Der Spiegel" ujawnił, że pierwszy kanclerz zjednoczonych Niemiec, Helmut Kohl, przeciwstawiał się rozszerzeniu NATO na wschód oraz niepodległości Ukrainy i krajów bałtyckich. Upadek Związku Sowieckiego nazwał jak potem Putin – „katastrofą". Ta ocena wynikała z chęci budowania swojej pozycji między Stanami Zjednoczonymi, wobec których Niemcy zawsze będą partnerem słabszym, a więc od których chcą się zdystansować, a imperium sowieckim, którego dziedzictwa pogrążona w „smucie" Rosja Jelcyna nie była w stanie udźwignąć. Jeszcze więc przed powstaniem UE Berlin projektował swoją szczególną rolę między wschodem a zachodem – co pokazuje, jak iluzoryczne jest odwoływanie się do zachodniej wspólnoty dziś – a dla ziem między Rosją a Niemcami przewidywał rolę kolonii, może zresztą formę kondominium, które RFN wykorzystywałby ekonomicznie, a Kreml kontrolował politycznie. Prawie udało się ten plan zrealizować.

Można spekulować, jak duży wpływ na historię III RP miał Berlin. Reprywatyzacji, oczywiście nie tylko ze względu na jego działania, nie było. Inwazja kapitału niemieckiego, który w wielu przypadkach przejmował polski przemysł, by go likwidować, tak jak w wypadku cukrownictwa czy cementowni, a także spore ekonomiczne uzależnienie naszego kraju od Niemiec w wielu dziedzinach, w tym tak newralgicznym jak media, jest faktem. Lata 90. wydają się realizacją projektu „Wolfa". Wprawdzie od 2005 r. następuje stabilizacja polskiej sceny politycznej, ale uznać można, że jedno jej skrzydło reprezentowane przez PO wraz z wszystkimi jego również lewicowymi przyległościami to po prostu partia niemiecka, chociaż wymachuje europejską flagą. W obecnej UE interes Europy okazuje się tożsamy z niemieckim. Niektórzy politycy PO bardziej bezpośredni ze względu na swoją intelektualną prostotę mówią to i manifestują wprost, jak choćby Radosław Sikorski, który w 2011 r., pełniąc funkcję szefa MSZ, wzywał Niemcy do pełnego „wzięcia odpowiedzialności za Europę". Dziś jeden z przywódców rewolty sędziowskiej, która prowadzi do anarchizacji polskiego wymiaru sprawiedliwości, Igor Tuleya, dostaje niemiecki order.

Należy mu się.

Rozmowa z prof. Bogdanem Musiałem na str. 55

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 22b9a0cb92

Walizka Małgorzaty Żaryn

historyka, wicenaczelnej „wSieci Historii”

My – Małgorzata i Jan – bardzo lubimy podróżować. To jest dla nas rodzaj odpoczynku, sposób poznawania historii i teraźniejszości, a ponieważ kochamy cywilizację śródziemnomorsko-chrześcijańsko-łacińską, to podróżujemy bardzo często w tamte rejony. Napawamy się atmosferą starej kultury, której symbolami są przepiękne katedry (to mój konik) i cieszymy się odkrywaniem *genius loci*, który daje się poznać swoim fanom. Mamy zresztą bardzo wielu przyjaciół we Włoszech i Francji i dzięki nim oglądamy piękne miejsca nie tylko z pierwszych stron przewodników. Inny rodzaj naszych podróży to wyjazdy z wnukami. Mamy taki zwyczaj, że spędzamy z nimi jakiś tydzień wakacji. Mottem tych podróży jest zakaz nudzenia się dla dzieci i dorosłych, co wymaga odpowiednich przygotowań i wyposażenia. Podsumowując, kochamy podróżować i sami, i z dziećmi.

ZWIASTOWANIA

Jestem zafascynowana sceną, w której do Maryi przychodzi Anioł, by oświadczyć, że jej życie ulegnie kompletnemu odwróceniu. Opowiada jej coś, co z „racjonalnego” punktu widzenia jest nie do przyjęcia i nie do uwierzenia. A ona to przyjmuje i w to wchodzi! Podczas wyjazdów, gdy zwiedzamy kościoły i muzea, zawsze szukam obrazów tego zwiastowania. To bardzo popularny motyw malarski. Artyści różnych epok malowali tę scenę niby tak samo, ale zawsze inaczej. Maryja na tysiąc sposobów, ale zawsze mówi „tak” i w tym można uchwycić Bożą iskrę.

RÓŻANIEC

Zawsze ze mną jeździ. Dostałam go od naszego przyjaciela jezuity, który chrzcił wszystkie nasze wnuki ze strony córki. Mimo że zgubiłam go dwa razy, zawsze do mnie wracał.

eprasa.pl 22b9a0cb92

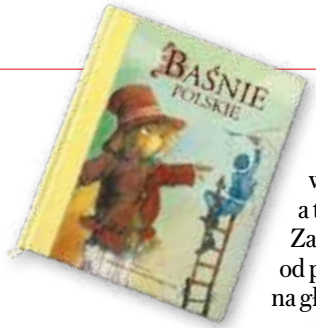

BAJKI
Zabierane na wyjazdy z dziećmi, a teraz z wnuczętami. Zawsze czytamy od początku do końca na głos.

GRA
Pokazuje charakter naszych wyjazdów. Gra przedstawiająca realia polskiej przeszłości jest doskonałą okolicznością do opowiadania wnuczętom o historii naszej rodziny i Polski. Dzieci to uwielbiają.

NOTESIK Z PIÓREM
Ważny notesik, bo wszystko, co ciekawe, notuję lub uwieczniam w postaci ilustracji. A pióra wieczne to moja słabość.

SAMOCHODZIK I LALKA
Mamy wnuki płci obojga i jako przeciwnicy dżenderów, jesteśmy wyposażeni w potrzebne zabawki. Poza tym często podróżujemy samochodem, co pozwala nam zatrzymać się tam, gdzie chcemy zobaczyć coś interesującego.

APARAT
Z obiektywem na zmianę. Nie jestem profesjonalnym fotografem, ale na koncie mam całkiem sporą kolekcję wykonanych zdjęć.

PROGRAMÓWKA
Zawsze przygotowujemy się do wyjazdów z dziećmi, zabierając farby, płótna i inne narzędzia plastyczne, żeby coś ciekawego stworzyć.

WAŁEK
Jest bardzo ważny, ponieważ mam cztery koty. Najchętniej zabierałabym je w podróże, ale nie mogę tego zrobić. Wożę za to to, co mi wcale nie sprawia przyjemności, czyli kilogramy ich sierści na ubraniu. Dlatego rolka jest niezbędna, by wyglądać w miarę porządnie.

FLAGA
Gdziekolwiek wyjeżdżamy, w sposób naturalny zabieramy z sobą naszą polskość. Wszelkie polskie pozostałości i pamiątki za granicą są naszym obowiązkowym punktem zwiedzania.

ALBUM
Jesteśmy historykami, dlatego do każdej podróży podchodzimy profesjonalnie i się przygotowujemy. Czytamy książki, przeglądamy albumy, żeby być świadomymi miejsc, które warto zobaczyć, i wczuć się w klimat.

TORBA
Wiekowy niezbędnik pełniący funkcję torby, plecaka i przerośniętej nerki. Chowam tu wszystko, czyli picie, ładowarki, aparat, zeszyty, sweter, pieniądze i dokumenty.

UŚMIECH
Zadowolenie i dobry humor zawsze zabieramy z sobą. I jeszcze jeden bardzo ważny dla podróżnych stan – ciekawość!

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 22b9a0cb92

OGNIEM NA WPROST

Sześć sekund

Dziś na tapecie o Łukaszence w akcji oraz innych popaprańcach, którzy dla władzy i korzyści majątkowych trzymają z reżimem na Kremlu. Ostatnio były kierownik kołchozu, obecnie kierownik państwa białoruskiego spotkał się z dziećmi, zapowiadając, że w nadchodzącym czasie odtworzy ruchy pionierskie, które zostały zlikwidowane po upadku ZSRS. Pionierzy to była komunistyczna organizacja dla dzieci (9–14 lat) utworzona, by prać mózgi najmłodszym obywatelom krajów socjalistycznego bloku. Efekty tej pracy niestety są widoczne do dziś, co odzwierciedla poparcie Białorusinów dla bandyckiego najazdu na Ukrainę. Podczas spotkania doszło do incydentu, z którego śmieje się prawie cały świat. Jeden z obecnych na sali chłopców miał problem z tym, by otworzyć butelkę soku. Wówczas Łukaszenka przywołał go do siebie. Wziął butelkę, wstrząsną nią, uderzył w denko i otworzył. Po tym rozległy się gromkie oklaski. Jak podaje ranking brytyjskiego portalu The Telegraph, najbardziej rozpitym krajem na świecie jest Białoruś. 17,5 litra na głowę mieszkańca rocznie. Polska zajmuje dopiero 15. miejsce, choć system otwierania butelek, uderzając dłonią w denko à la Łukaszenka, był znany u nas jeszcze w czasach komuny. Widać satrapa nie chce, by jego kraj stracił pozycję lidera w tym smutnym rankingu (jedyna dyscyplina, w której dziś Białoruś prowadzi na świecie), uważając, że należy przygotować dzieci i młodzież do wyzwań, które staną przed nimi po wyjściu ze sklepu monopolowego. Zgodnie zresztą z zasadą „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci".

Kołchozowy dyktator zza naszej wschodniej granicy powołuje właśnie nowy rodzaj sił zbrojnych – obronę terytorialną, złożoną z rezerwistów i byłych białoruskich zawodowych wojskowych. Po co mu to wojsko? Do walki z żywiołami, jak pożary czy powodzie? Nie! Reżimowe media przekonują, że polski rząd i prezydent szykują inwazję, by odebrać część terytorium Białorusi oraz okupować zachodnią Ukrainę. Dyskusja o morale tej formacji praktycznie mija się z celem, ponieważ jest żadne. W każdym mieście powiatowym miałby powstać batalion liczący 300–700 żołnierzy. Powstaje zasadnicze pytanie. Po co Polska armia miałaby wkraczać na Białoruś? Przecież wszyscy wiedzą, że jak tylko nadarzy się okazja, sami Białorusini zrobią wszystko, żeby wysadzić dyktatora z fotela. Tylko czekają.

Odezwał się Ramzan Achmatowicz Kadyrow. Zawód wyuczony – pastuch, zawód wykonywany – satrapa i morderca na rozkaz. Moskiewski pies gotowy wykonać każdą mokrą robotę zleconą przez Kreml. Od zabójstwa opozycjonisty Borysa Niemcowa po wysłanie swoich milicjantów na ukraiński front. Niegdyś w swoim domu we wsi Centaroj (Chosi-Jurt) urządził katownię dla przeciwników ojca – Achmata. Nawiasem mówiąc, tatuś zginął w zamachu przeprowadzonym przez Czeczeńców, którzy nie zdradzili dla moskiewskich srebrników swojej ojczyzny. Teraz ten Kadyrow grozi Polsce w związku z oblaniem farbą rosyjskiego ambasadora Siergieja Andriejewa. „Jeśli padnie rozkaz, w sześć sekund pokażemy, na co nas stać" – odgraża się. Jeden rozkaz już padł: zdobyć lotnisko w Hostomelu! Skończyło się koncertowym łomotem i śmiercią jego generała Magomieda Tuszajewa, dowódcy 141. Pułku Zmotoryzowanego Czeczeńskiej Gwardii Narodowej im. Achmata Kadyrowa. Od tamtej pory oddziały Rosgwardii Kadyrowa plączą się na tyłach. Ich wyczyny, jak ostrzeliwanie pustego budynku czy znaków drogowych, można podziwiać na TikToku. Stąd nazwa przybocznych czeczeńskiego satrapy – tiktokowe wojska. Do ich zadań na tyłach należy m.in. pełnienie funkcji oddziałów zaporowych (wyłapywanie dezerterów) i pastwienie się nad ludnością cywilną na podbitych terenach.

A propos sześciu sekund. Na TikToku pojawiło się nagranie kadyrowca, który chwalił się, że właśnie „wykonał zadanie na piątkę z plusem". Po tych słowach eksploduje ukraiński pocisk i widać płomienie, zapada ciemność i obraz znika. Końcówkę klipu nakręcił, już stojąc osobiście przed Allahem. Jego ziemska wypowiedź trwała mniej więcej sześć sekund.

Generale Denaturatow (Zołotow – dowódca rosyjskich wojsk MSW Rosgwardii) mam dwie wiadomości – mówi jeden z oficerów. – Dobrą i złą. – Zacznij od złej. – Nie żyją – pada odpowiedź. – A ta dobra? – Nasze asy z Czeczenii weszły właśnie do bitwy.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 22b9a0cb92

Głód

Marta Kaczyńska-Zielińska

Wojska rosyjskie z premedytacją wydają się brać na cel magazyny z żywnością na Ukrainie – czytamy w analizie Komisji Europejskiej dotyczącej ryzyka kryzysu żywnościowego na świecie. Wskutek działań wojennych z ukraińskich portów nie można eksportować zbóż do państw Bliskiego Wschodu i Afryki, którym grożą niedobory żywności. Deficyt produktów rolnych zagraża też niektórym miejscowościom ukraińskim. Od dłuższego czasu media donoszą o kradzieżach sprzętu rolniczego, a także usiłowaniu przez Rosjan sprzedaży skradzionych towarów rolniczych do państw, które były głównymi odbiorcami ukraińskich plonów. Terrorystyczny proceder wymierzony w ukraińskie rolnictwo nasuwa skojarzenia z metodami, z których korzystali radzieccy poprzednicy ekipy Putina sprzed niemal 100 lat.

Obszary Ukrainy to jedne z najżyźniejszych ziem na świecie, które zamiast stać się spichlerzem świata, stały się tłem do bezprecedensowej klęski głodu w XX w., spowodowanej decyzjami ówczesnych władz ZSRS. Wśród mieszkańców Związku Sowieckiego, którzy w latach 30. ub.w. zmarli z powodu braku dostępu do pożywienia, było aż 5 mln Ukraińców, a wedle niektórych szacunków nawet 8 mln. Hołodomor został celowo wywołany przez władze ZSRS i dotknął najsilniej obwód kijowski i charkowski, które stawiały największy opór bolszewikom i kolektywizacji. Zniszczenie chłopstwa z punktu widzenia Stalina miało przede wszystkim służyć unicestwieniu ruch narodowego.

Ukraina gwałtownie się wyludniała. Dziennie umierało 25 tys. ludzi. W miejsce zagłodzonych na śmierć obywateli tego państwa przesiedlano ludność z terenów Rosji, co prowadziło do rusyfikacji naszego wschodniego sąsiada. Oficjalna propaganda oskarżała chłopów o ukrywanie produktów żywnościowych. Wspominanie o Hołodomorze podlegało odpowiedzialności karnej, podobnie jak dziś wspominanie o prawdziwym obliczu wojny na Ukrainie.

Blokada informacyjna obejmowała także międzynarodowe media. Brytyjski dziennikarz Malcolm Muggeridge, moskiewski korespondent „The Manchester Guardian", opisujący los kolektywizowanych, po kilku publikacjach został zwolniony z pracy, co z kolei wskazuje na skuteczność i siłę oddziaływania stalinowskiej propagandy także na zachodzie Europy. Tragiczny los spotkał też korespondenta „The Evening Standard" Garetha Jonesa, który za swoje artykuły został wydalony z ZSRR, a następnie porwany i zamordowany. Słynny pisarz George Bernard Shaw, odwiedziwszy ZSRR, zachwycał się rajem dla robotników, w którym żyje się dostatnio. Podobnie fałszywie entuzjastyczne opinie wygłaszali niektórzy dziennikarze amerykańscy na czele z Walterem Durantym, który otrzymał Nagrodę Pulitzera za publikacje poświęcone sukcesowi kolektywizacji. Po latach udowodniono, że był agentem stalinowskiej policji politycznej GPU i znając prawdę o ludobójstwie Stalina, świadomie zakłamywał rzeczywistość. Po swojej wizycie w Związku Sowieckim premier Francji Édouard Herriot, który jako jeden z pierwszych przywódców zachodnich uznał nowy reżim bolszewicki (w 1924 r. i w listopadzie 1932 r. podpisał z Moskwą pakt o nieagresji), zapewniał, że Ukraina kojarzyła mu się z urodzajem. O głodzie raportowali do Mussoliniego włoscy dyplomaci. Bezskutecznie. W lecie 1933 r. Włochy zawarły z Sowietami układ handlowy i pakt o nieagresji.

Wiosną 1933 r. głodowała cała Ukraina, a Moskwa, zamiast pomóc, zdecydowała się przekazać 5 mln ton zboża krajom zachodnim w zamian za sprzęt niezbędny do modernizacji radzieckiej gospodarki. Zaplanowana przez ZSRS klęska głodu objęła także mieszkańców Kazachstanu, których zmarło od 1,5 do 3 mln, oraz Polaków zamieszkujących zachodnią Ukrainę w połowie lat 20. w liczbie pół miliona osób.

Żadne z państw zachodnich nie udzieliło pomocy głodującym. Przez cały okres trwania ZSRS nie można było wspominać na Ukrainie o Wielkim Głodzie. Badanie materiałów archiwalnych rozpoczęto dopiero po odzyskaniu niepodległości. Od 2006 r. Polska, podobnie jak ponad 20 innych państw, uznaje Wielki Głód na Ukrainie za zbrodnię ludobójstwa. Rosja do dzisiaj nie przyznaje się, że była to zaplanowana zbrodnia i wypiera się, że ponosi za Hołodomor jakąkolwiek odpowiedzialność.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

MARKA BARANA

rzecznika i dyrektora Biura Komunikacji LINK4

Rodzinie i Bliskim

Składamy najszczersze wyrazy współczucia

Zarząd i pracownicy
Grupy Medialnej Fratria

eprasa.pl 22b9a0cb92

Jedyna taka opozycja w Unii Europejskiej

Samuel Pereira

W ubiegłą środę w Senacie padło wiele pięknych słów o „demokracji, konstytucji i praworządności", czyli o tym, co rzekomo łączy polityków PO, PSL, Lewicy i Hołowni. Niestety, rzeczywistość jest zgoła odmienna, bo jeśli spojrzeć na to, co faktycznie ich łączy w kontekście europejskim, to są to głosowania przeciwko przelaniu Polakom należnych im z budżetu unijnego środków i zablokowanie projektu potępiającego na arenie unijnej zachodnich polityków skorumpowanych przez Rosję.

„Stary niedźwiedź mocno śpi. My go nie zbudzimy, bo się go boimy. Jak się zbudzi, to nas zje". Te znane niejednemu dziecku słowa oddają poniekąd postawę zachodniego świata wobec Rosji, a przynajmniej jego części. Po tym, jak media ujawniły, że wielu prominentnych urzędników z Niemiec, Austrii czy Francji pracuje dziś dla rosyjskich firm państwowych, europosłowie PiS złożyli w Parlamencie Europejskim poprawkę w sprawie „potępienia byłych polityków UE skorumpowanych przez Gazprom", jednak projekt został przez większość zablokowany. „Chcemy wezwać rząd niemiecki do zamrożenia wszystkich europejskich aktywów byłego kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera, którego powołano niedawno do zarządu Gazpromu, jeżeli nie zrezygnuje z wszystkich stanowisk w rosyjskich przedsiębiorstwach energetycznych" – napisano w projekcie, co było niedopuszczalne, bo w końcu prorosyjscy politycy, którzy mają niemieckie plecy, są w PE nietykalni. Rządzący izbą Niemcy inicjatywę zablokowali i znaleźli wsparcie posłusznych sobie polityków z polskiej opozycji. Przeciwko potępieniu dla rosyjskiej korupcji wobec zachodnich elit byli m.in. Ewa Kopacz, Bartosz Arłukowicz, Jarosław Kalinowski, Leszek Miller, Róża Thun, Marek Belka, Robert Biedroń, Włodzimierz Cimoszewicz i Bogusław Liberadzki.

Do tej sytuacji doszło kilka dni przed rosyjską inwazją na Ukrainę, a przypomniała mi się teraz, gdy oglądałem w Senacie sceny z serialu „jednoczenie opozycji" i słuchałem pięknych haseł o tym, co łączy polityków PSL, PO, Lewicy i Hołowni. Panowie, dajcie spokój. Jesteście jedyną opozycją w UE, która głosuje za sankcjami na swój kraj, i to jest to, co realnie was łączy, a nie okrągłe słówka.

Autor jest szefem portalu tvp.info

W sercu nadal jestem dzieckiem

Z Idą Nowakowską, aktorką, prezenterką telewizyjną, tancerką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Jan Bogacz/TVP

Gratuluję zdobycia tegorocznego Wiktora. Za co najbardziej ceni pani tę nagrodę?

Ida Nowakowska: Jest dla mnie szczególnie ważna, ponieważ głosowali widzowie, a my dla nich tworzymy telewizję. Chciałam tu bardzo podziękować moim fanom. Ich obecność daje mi siłę i wiarę, że to, co robię, jest ważne. Pragnę również podkreślić, że tegoroczne Wiktory były historycznym wydarzeniem, ponieważ honorowego Wiktora otrzymał prezydent Wołodymyr Zełenski. Wszyscy obecni na gali mieliśmy uczucie, że dzieje się coś wyjątkowego.

Czy bycie mamą zmieniło pani podejście do programów związanych z dziećmi, takich jak m.in. „The Voice Kids"?

Myślę, że w sercu nadal jestem dzieckiem, ale teraz również patrzę z perspektywy rodzica. Jestem świadoma, jak ciężką pracą jest wychowanie dzieci i jak bardzo jesteśmy odpowiedzialni za ich los, poczucie bezpieczeństwa i szczęście. Jak ważne jest odkrycie ich talentów i podążanie za marzeniami.

Gdzie możemy panią zobaczyć?

Trwają zdjęcia do kolejnych odcinków programu, który jest mi szczególnie bliski – „Od niemowlaka do przedszkolaka" (na antenie TVP ABC i TVP Kobieta). Jestem też, oczywiście, w „Pytaniu na śniadanie". Bardzo cieszy mnie, że te programy są emitowane również w TVP Polonia i mogą łączyć ludzi poza granicami naszego kraju. Podobnie jak TVP World, kanał w języku angielskim, dostępny także w internecie – niezwykle ważny i potrzebny, szczególnie w czasach niebezpiecznej wojny, fake newsów i dezinformacji.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A WIKTOR, J.A.MACIEJEWSKI, LAURENS HODDENBAGH, GRAND WARSZAWSKI, DROP OF LIGHT, KIBRI_HO /SHUTTERSTOCK

pracownia **Social Changes** dla **wPolityce.pl**

nasz **sondaż**

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

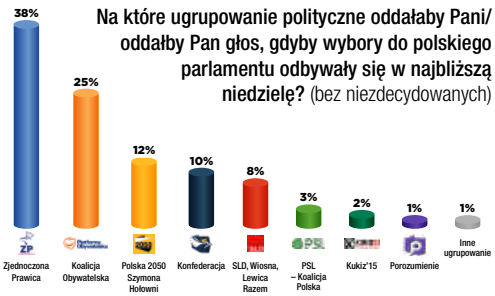

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby w najbliższych wyborach wspólnie startowały PO, Polska 2050, PSL i Lewica, a wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

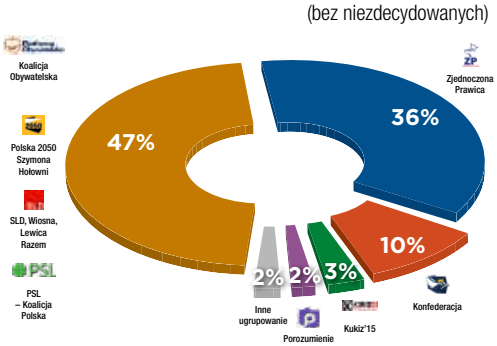

Czy według Pani/Pana marszałek Senatu Tomasz Grodzki mówi prawdę, że nigdy nie przyjął żadnej łapówki od pacjentów, gdy pełnił funkcję dyrektora szpitala w Szczecinie?

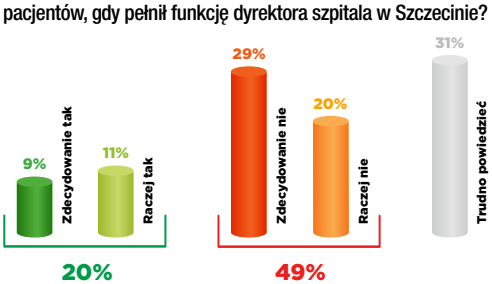

Jak Pani/Pan ocenia likwidację gimnazjów i przywrócenie 8-letniej szkoły podstawowej oraz 4-letniego liceum w Polsce?

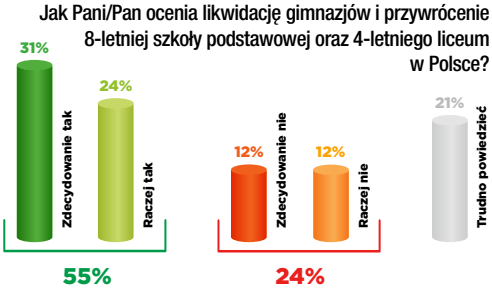

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1074.

Zakres czasowy badania 20–23 maja 2022 r.

eprasa.pl 22b9a0cb92

„Batman" wiecznie w ruchu. Tutaj podczas wizyty u ukraińskich żołnierzy

Relacja z Ukrainy

Polski ochotnik na wojnie w Donbasie

Trzeba było spędzić w Donbasie 25 dni, żeby znaleźć polskiego ochotnika, który wspiera tutaj obrońców Ukrainy w walce z rosyjskim najeźdźcą. Ale to właśnie świadczy o jego profesjonalizmie – zawodowiec z wojskowym doświadczeniem, szacunkiem u ukraińskich mundurowych, a przede wszystkim z determinacją, by – jak mówi – „pomóc ludziom, którzy zostali napadnięci"

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Mimo entuzjazmu zagranicznych ochotników do walki w obronie Ukrainy sprawa zagranicznych żołnierzy jest bardziej skomplikowana. Choć już 27 lutego prezydent Zełenski ogłosił powołanie Międzynarodowego Legionu Obrony Terytorialnej Ukrainy, to jednak próżno znaleźć o nim konkretne relacje. Świadoma strategia ochrony informacji jest tutaj tylko częściowym wyjaśnieniem.

– Wojna przyciąga różnych ludzi – mówi tygodnikowi „Sieci" jeden z tutejszych rekruterów. – Są wśród nich fachowcy, którzy potrafią posługiwać się zarówno bronią, jak i głową, ale trzeba ich wyłuskiwać z grona ludzi, wśród których są poszukiwacze przygód, znający wojnę z seriali – opowiada. W wielu mediach społecznościowych presja na pokazanie spektakularnych nagrań wygrywa często ze zdrowym rozsądkiem – młodzi ochotnicy próbują lekceważyć wprowadzone tutaj zasady, np. o wyłączeniu geolokalizacji w telefonie czy niełączeniu się ze znajomymi w swoich krajach, by pochwalić się swoimi wyczynami. – Im kogoś więcej na TikToku, tym mniej go na wojnie – opowiada oficer, który prześwietlał już setki ochotników.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Jest jeszcze inny, delikatniejszy problem. – Przyjeżdżają też ludzie ze swoimi problemami. A to facet zdradzony i upokorzony przez żonę albo ktoś, kto stracił w nieprzyzwoity sposób swój majątek, szukają tutaj nie sprawiedliwości i obrony przed Rosjanami, ale udowodnienia własnej wartości. A nie o to chodzi w wojnie – komentuje ukraiński wojskowy. Trzeba zatem odsiać „tiktokerów", „frustratów" i wreszcie amatorów, którzy po szkolnym konkursie strzeleckim myślą, że psychicznie wytrzymają ostrzał rakietowy. A ta wojna nie bardzo przypomina hollywoodzkie produkcje, zwłaszcza że zniszczenie przychodzi z powietrza: bomby, moździerze, rakiety i cały ten arsenał sowiecko-rosyjski spada na głowy ukraińskich chłopaków w wymiarze katastroficznym. I paradoksalnie o tych, którzy wnoszą solidny wkład w obronę Ukrainy, słyszymy najmniej – to twardziele i profesjonaliści, a tacy nie potrzebują rozgłosu. Nie potrzebuje go też „Batman", polski ochotnik w Donbasie, którego udaje się spotkać w jednym z miasteczek regionu okrążanego przez Rosjan.

OPOWIEŚĆ „BATMANA"

Polskiego ochotnika udało się znaleźć po rozpuszczeniu w Donbasie wici wśród ukraińskich wojskowych. „Batman" miał małe opóźnienie w dojeździe na spotkanie, bo rosyjska ofensywa na odcinku Bachmutu przyniosła kilka trudniejszych niespodzianek. Wreszcie usiedliśmy na ławce przed budynkiem i gdyby nie ostrzał artyleryjski w tle, można by zapomnieć, że kilka kilometrów dalej Rosjanie znowu przygotowują się do ataku.

Polak właściwie nie planował wylądować na donbaskim froncie, w ogóle nie planował brać karabinu do ręki, po prostu ruszył się z fotela, gdy na Ukrainie była potrzebna pomoc. Będąc wojskowym, świetnie znającym angielski i rosyjski, mającym odpowiednie doświadczenie, już na kilka dni przed rosyjską napaścią zgłosił się do Amerykanów jako tłumacz. Zanim przebrnął przez biurokratyczne procedury, armia Putina zaatakowała. Rzeczywistość przyspieszyła.

– Widzę to wszystko, co się dzieje, i wzbiera we mnie przekonanie, że przecież mam wszystko, co potrzeba, by wyciągać ludzi z tego piekła, ewakuować cywilów – mówi tygodnikowi „Sieci". „Batman" zna się na wojnie, ma zacięcie filantropa, sporo kontaktów w różnych częściach Ukrainy, no i tę energię, która mu nie pozwala wysiedzieć bezczynnie. – Taki ze mnie typowy Polak – uśmiecha się. Kiedy więc napływają pierwsze informacje o całych rodzinach bez dachu nad głową, o australijskim żołnierzu potrzebującym pomocy, o chińskiej dziennikarce, którą trzeba wywieźć z atakowanego miasteczka, „Batman" rusza na wschód. I zaczyna wsiąkać w wojenną, ukraińską rzeczywistość.

Gdy zacznie się pomagać, trudno potem przestać. „Batman" zaczyna wywozić z objętych wojennymi działaniami miejsc kolejne rodziny – sześć osób z bombardowanego Charkowa, rodzinę z Nieżyna, łącznie przez dwa miesiące uratuje 66 osób, wykorzystując własne środki oraz stosunkowo niewielką pomoc finansową ze strony rodziny i znajomych.

Nasz rozmówca ma w sobie te cechy, które otwierają we wschodniej Europie wiele możliwości. To polska fantazja, dowcip, nutka bezczelności przy rozmowach na kolejnych posterunkach, wreszcie odwaga, która na wojennych odcinkach jest warunkiem działania. „Batman" jest tam, gdzie najgoręcej. Trwają walki o Hostomel? Wywozi człowieka z Hostomela. Rosjanie zarzucają rakietami Charków? Zabiera ludzi ze słynnej już z powodu zniszczeń dzielnicy – Sałtiwki.

Symboliczny medalion – polski orzeł przylatuje na pomoc ukraińskiemu gryfowi zaatakowanemu przez niedźwiedzia

– Najgorzej na wojnie mają zawsze dzieciaki – komentuje. Faktycznie, produktów dla dzieci i niemowląt brakuje najszybciej, więc Polak kupował, co się dało, i zawoził potrzebującym. Jego samochód, jadąc we wschodnim w kierunku, był naładowany pomocą humanitarną, w zachodnim – uchodźcami z zagrożonych miejsc.

ANIOŁ STRÓŻ IDZIE NA WOJNĘ

Mężczyzna wkłada w to coraz więcej pieniędzy, na potrzeby kolejnych kursów kupuje dwa samochody, angażuje się pełną parą. Zaprzyjaźniony grafik podchwytuje określenie, którym uratowani Ukraińcy ochrzcili swojego wybawcę. „Anioł Stróż" – po ukraińsku „Janhol Ohoronec" – pod tą nazwą można go znaleźć w serwisach społecznościowych i w internetowej zbiórce funduszy. Zresztą symbole dla „Batmana" nie są bez znaczenia. Zaraz po inwazji wziął udział w aukcji, której przychód poszedł na pomoc Ukrainie. W ten sposób nabył medalion, na którym orzeł biały przylatuje na pomoc ukraińskiemu gryfowi zaatakowanemu przez rosyjskiego niedźwiedzia. Zapłacił za to 2402 zł, czyli odpowiednik daty początku pełnoskalowej wojny 24.02. To był zresztą maleńki początek większych wydatków, ale człowiek w bezmiarze wojennych tragedii i niedostatków widzi, że potrzeby są jeszcze większe.

– Jeżdżę, znajduję najlepsze drogi wyjazdu, przejazdu, poznaję kolejnych wojskowych, a także widzę, kurde, temu brakuje latarki, tamtemu specjalnych spodni – a ja to wszystko mam, albo wiem, jak to załatwić – opowiada. „Batman" wsiąka więc dalej – na razie tylko pomaga wojskowym, ale już jedną nogą zdaje się na froncie. Pieniądze na pomoc humanitarną powoli się kończą, ileż zresztą można samemu jeździć po rozległej Ukrainie, a rasowemu żołnierzowi myśl o wsparciu innym niż cywilne pewnie już wcześniej chodziła po głowie.

Polak 4 kwietnia składa do odpowiedniego ministerstwa zapytanie o zgodę na służbę za granicą, a już 19 kwietnia przychodzi odpowiedź: można dołączyć do Ukraińców. I oto taki człowiek obeznany z wojną, bronią, wojskowymi zasadami, a przede

eprasa.pl 22b9a0cb92

wszystkim rozumiejący Ukraińców językowo, mentalnie i kulturowo odnajduje się w jednej z jednostek Donbasu.

ZADAJEMY KACAPOM BARDZO DUŻE STRATY

„Batman" zapewnia, że nie strzelał do Rosjan. Nie musiał. Przyucza do strzelania innych, akurat tych, którzy wykonują specjalne zadania na froncie. – Jeżeli my byśmy musieli strzelać, to znaczy, że popełniliśmy w naszej robocie bardzo duży błąd lub zawiodło planowanie operacji, które tak usilnie staram się tutaj wdrożyć. Praca, którą wykonujemy, jest specyficzna, niemniej dzięki niej zadajemy kacapom bardzo duże straty – mówi z pobłażliwym uśmiechem.

Mężczyzna z jednej strony zapewnia, że w sumie nie robi nic wielkiego, ale gdy pokazuje na mapie trasę z wcześniejszych kilku godzin, widać już, że to gruba sprawa. Jechał ze swoimi chłopakami przez piekło rosyjskiej ofensywy i przez wioski, o które trwała walka. Z rozmowy stało się jasne, że to człowiek o bardzo dużym doświadczeniu, o którym mówi jedynie tyle, że od wielu lat bardzo lubi „podróżować po świecie". A że jest to świat ogarnięty wojnami, to możemy się tylko domyślać.

Teraz towarzyszy swoim nowym uczniom, a w realiach tej specyficznej wojny sam wynajduje nowe metody oszukiwania i tropienia Rosjan – z racji tajemnic wojskowych trzeba je na razie zachować dla siebie. Uczy Ukraińców nie tylko strzelania, zwiadu, podchodzenia wroga, lecz także odpowiedzialności za swoich. Na wschodzie za często wygląda to tak, że gwiazdka na pagonie zwalnia z osobistego udziału w zadaniach, tymczasem „Batman" daje przykład, jeździ ze swoim oddziałem tam, gdzie kule mu świszczą nad uchem.

– Czy się z nimi związałem? Zawsze się łapie jakieś więzi, oni mnie potraktowali jak swojego człowieka, więc staliśmy się taką wojskową rodziną – mówi „Batman". – Miałem też znajomych w Rosji, ale już zerwałem kontakty – dodaje wymownie.

Braterstwo broni – pamiątkowe podpisy na fladze Ukrainy

> Polak 4 kwietnia składa do ministerstwa zapytanie o zgodę na służbę za granicą, a już 19 kwietnia przychodzi odpowiedź: można dołączyć do Ukraińców. I oto taki człowiek obeznany z wojną, bronią, wojskowymi zasadami, ale przede wszystkim rozumiejący Ukraińców językowo i kulturowo odnajduje się w jednej z jednostek Donbasu

Polak za dobrze zna wojskowe realia, by idealizować stronę ukraińską w tej wojnie – widzi błędy, wpadki, braki. Ale mówi też to, co złożyło się na skuteczną obronę kraju. – Ten bojowy duch, ten entuzjazm, widzę w ich oczach, że oni chcą tego zwycięstwa na poważnie. Ostatni raz widziałem taki zapał, gdy tworzyły się Wojska Obrony Terytorialnej w Polsce – opowiada. Tak, „Batman" był związany z WOT-em, teraz tym doświadczeniem dotyczącym szkolenia cywilów może się podzielić w gorącym od bombardowań Donbasie. – Nie mam dalszych planów, siedzę tutaj i wykonuję swoje zadania – przyznaje. Pewnie będzie dalej wsiąkał w tę rzeczywistość, bo raz podjętego zadania nie sposób porzucić.

WOJENNY TANIEC W DONBASIE

Fatalne morale rosyjskich żołnierzy zamieniło front we wschodniej Ukrainie w osobliwy, złowieszczy koncert artylerii, bombardowań i ostrzałów. Najeźdźcy z daleka zarzucają obrońców tysiącami różnych pocisków, a gdy domy, okopy i ziemia usiane są jamami po wybuchach, wtedy „dzielna" armia rusza zająć ruiny i pola trupów. Wygląda więc to tak, że front stoi, dopóki mundurowi Putina nie upewnią się, że przeciwnik nie jest zniszczony wielodniowymi bombardowaniami. Ale w tym czasie, gdy Rosjanie stoją i z daleka „bohatersko" kierują ostrzałem, ukraińscy obrońcy ruszają w teren szarpać ich, zadawać im straty, niszczyć ich ciężki sprzęt. Przypomina to kozackich harcowników z XVII w. czy ówczesne wypady ze swojego obozowiska na pozycję wroga, by go zaskoczyć, osłabić i bezpiecznie wrócić do siebie. Tak działają tu liczne grupy, „duchy Donbasu", odsyłające najeźdźców do piekła. Wśród nich właśnie przebywa też polski „Batman". Ale nie tylko on. Wędrując między frontami Słowiańska i Bachmutu, wokół Popasnej, pod Lisiczańskiem i w Siewierodoniecku, słyszy się czasem o jakimś Polaku, „mołodcy", „bohaterze", który zadziwia swoich ukraińskich druhów spokojem i odwagą. Czy mowa o tym samym, jednym człowieku? Czy jeszcze inni nasi rodacy pojawiają się nad spalonym sprzętem rosyjskich okupantów? Donbas kryje wiele wojennych tajemnic, a polska nuta pozostaje jedną z nich.

Fot. Jakub Augustyn Maciejewski

Reklama | 69/0522/F

eprasa.pl 22b9a0cb92

Mobilna stacja ładowania

Zasil swój samochód elektryczny lub hybrydowy plug- in zieloną energią od Energa Obrót

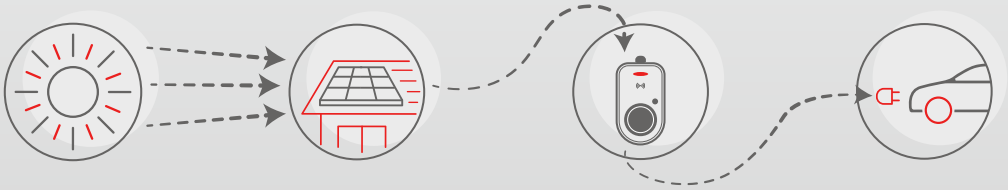

Zadzwoń na 555 555 505 lub wejdź na energa.pl

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

Materiał nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Putin wywołał III wojnę światową

Jeśli wojska NATO nie spotkają się z armią rosyjską na Ukrainie, Putin użyje taktycznej broni jądrowej. Nie z terytorium Rosji, ale z wyrzutni, które rozmieści w Donbasie lub na Białorusi. Uważa, że dzięki temu Rosja stanie się wielkim mocarstwem. Gra o wszystko, a Ukraina jest tylko pierwszym etapem

Maciej Walaszczyk rozmawia z Jurijem Felsztinskim, mieszkającym w USA rosyjskim historykiem i współautorem książek m.in. „Wysadzić Rosję" napisanej wspólnie z Aleksandrem Litwinienką i „Korporacja zabójców. Rosja, KGB i prezydent Putin". Obie demaskowały rządzących Rosją ludzi służb specjalnych

Co stanie się z Władimirem Putinem?

Jurij Felsztinski: Uważam, że rozpoczynając 24 lutego br. inwazję na Ukrainę, Putin jednocześnie zapoczątkował III wojnę światową. A ta pochłonie zarówno jego samego i reżim, który zbudował, oraz doprowadzi do rozpadu Federacji Rosyjskiej. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale cena, którą Putin będzie musiał zapłacić za ten samobójczy atak, jest podobna do tej, którą zapłacił Hitler, atakując 1 września 1939 r. Polskę. Wtedy doprowadziło go to do klęski i upadku jego państwa. Teraz taki los czeka Putina.

Od Rosji miałby odpaść Daleki Wschód?

Nie, raczej chodzi republiki kaukaskie, takie jak Dagestan, Czeczenia i nadwołżańskie, jak Baszkiria czy Tatarstan.

Czy w pana ocenie państwa takie jak Niemcy, Francja czy nawet Izrael i USA dopuszczą do rozpadu Federacji Rosyjskiej? Czy nie potrzebują jej do utrzymania międzynarodowej równowagi?

Właśnie obecna sytuacja związana z Putinem jest spowodowana faktem, że Stany Zjednoczone i kraje europejskie chciały zachować status quo. Wszyscy wielcy chcieli mieć Rosję za przyjaciela i gospodarczego partnera. Jednak zwróćmy uwagę, że relacje te z czasem stawały się coraz trudniejsze, choć nie wywoływało to w nich refleksji na temat tego, co dzieje się w tym kraju, do czego dążą Putin i elita na Kremlu. Wiedziano najwyżej, że rządzą tam służby specjalne, ale już nie jakiś wielki tyran, despota czy imperator. Takie przekonanie było poprawne i przydatne, by uzasadniać dobre relacje z Rosją. Wszystko do momentu, gdy zagrożenie wychodzące z Rosji było mniejsze niż te, z którymi świat zachodni się dotąd borykał, jak choćby międzynarodowy terroryzm, kwestie ekologiczne i klimatyczne, kontrola nad rozprzestrzenianiem się broni nuklearnej. Okazało się tymczasem, że to Rosja stanowi największe zagrożenie dla stabilności w Europie i na świecie. I to ona jest głównym ośrodkiem destabilizującym sytuację międzynarodową, zagraża pokojowi i odpowiada za rozprzestrzenianie broni jądrowej.

Decyzja o wywołaniu tej wojny była decyzją irracjonalną? Czy jednak jest skalkulowana strategicznie i politycznie?

Główny problem z Rosją polega na tym, że chcemy ją zrozumieć, wychodząc z założenia, że obowiązuje w niej racjonalna kalkulacja. Rosja, rozumiejąc ją jako państwo wraz z jej elitami rządowymi, jako społeczeństwo jest wprost irracjonalna. Wracając do analogii z hitlerowskimi Niemcami, podobnie jak działania Hitlera były irracjonalne, także to, co robi Putin, jest też irracjonalne. Jednak dyskusje o kondycji i stanie umysłu Putina nie mają sensu, ponieważ nie zmienia to politycznej rzeczywistości.

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 22b9a0cb92

Dlaczego pan tak sądzi?

Ponieważ irracjonalność w myśleniu i decyzjach Putina ma różne podłoża, ale ważny jest fakt, że państwem rosyjskim, instytucjonalnie, kieruje grupa ludzi wywodząca się z bezpieczeństwa i resortów siłowych. W sytuacji tak skonstruowanego państwa nawet usunięcie Putina nic nie zmieni. A irracjonalny charakter samej Rosji i jej społeczeństwa wiąże się głównie z samoidentyfikacją tego kraju jako imperium, do 1917 r. funkcjonującego jako Imperium Rosyjskie, a po rewolucji jako imperium sowieckie. Więc i dziś Rosjanie uważają siebie samych jako naród imperialny. Wierzy w to większość z nich. Problem pojawia się wtedy, gdy większość ludzi na świecie nie podziela tej wizji. I ten rozdźwięk pozwala Putinowi manipulować własnym społeczeństwem. Biorąc pod uwagę czynnik racjonalny, Putin nie musiał wywoływać tej wojny, kontynuując politykę gospodarczą, której celem było tłoczenie rosyjskiego gazu do Europy przez Nord Stream 2. Ale uważam, że z jego punktu widzenia nie popełnił błędu, ponieważ on nie potrzebuje tylko Ukrainy, on gra o wszystko.

Chce przejść do historii?

On już stał się historią. Jego logika jest następująca: pod koniec II wojny światowej Amerykanie użyli broni atomowej, a Stany Zjednoczone stały się wielkim mocarstwem. Putin kalkuluje analogicznie, w taki sposób, że także on w pewnym momencie użyje broni atomowej i dzięki temu Rosja stanie się wielkim mocarstwem. Jest przekonany o tym, że im jest brutalniejszy, tym większy strach wywołuje, a przez to zyskuje większy szacunek. W języku rosyjskim jest takie powiedzenie: „Boją się, znaczy, że szanują".

Czy nawet w jego bezpośrednim otoczeniu, wśród ludzi wywodzących się z bezpieczeństwa, nie ma osób dostrzegających grozę sytuacji, że po ewentualnej przegranej Rosji będzie grozić dalszy rozpad, poważny kryzys?

Uważam, że nikt tego nie widzi. Powiem dlaczego. Ponieważ już w 2000 r., gdy ludzie z KGB przejęli kontrolę nad państwem, stało się to, do czego oni dążyli od wielu lat. W sierpniu ukaże się po polsku moja nowa książka pt. „Od Dzierżyńskiego do Putina. Służby specjalne Rosji w walce o dominację nad światem". Odsłaniam w niej mechanizmy, za pomocą których ludzie wywodzący się ze służb specjalnych przejęli kontrolę nad państwem. To dekady budowy systemu, w którym służby sprawują kontrolę nad społeczeństwem. Są to oficerowie bezpieki, którzy po przeniesieniu ich do rezerwy zostali rozmieszczeni na stanowiska cywilnych. Przez 20 lat do kierownictwa państwa dobierano takie osoby, które w jego ramach będą realizowały politykę służb. Takich ludzi, którzy w swoich decyzjach i działaniach pójdą do końca. Ten projekt jest skierowany na to, by podporządkować sobie resztę świata.

Naprawdę?

Kierownictwo państwa uważa, że to możliwe, ponieważ Rosja jest państwem atomowym. Są przekonani, że nikt na świecie nie przeciwstawi się ich atomowym groźbom. Już w 2007 r. podczas konferencji bezpieczeństwa w Monachium Putin oznajmił przecież, że nie podoba mu się obecny ład międzynarodowy powstały po rozpadzie ZSRR. Szczerze próbował Zachodowi wytłumaczyć, że jeśli będzie powstrzymywany, to rozpęta wojnę. Jego ulubionym sformułowaniem, powtarzanym regularnie, było zwracanie światu uwagi: „Nie jesteśmy słyszani". Więc robi dziś wszystko, by być słyszanym, by zgodzono się na to, co chce – w jego mniemaniu – dla Rosji odzyskać. To dlatego 24 lutego br. wywołał wojnę, która miała skończyć się blitzkriegiem. Tak się jednak nie stało. Wszyscy potwierdzą, że takie założenie było błędem. Przeliczono się też, myśląc na Zachodzie, że Kijów zostanie zdobyty w tydzień, a wojna zakończy się po miesiącu. Choć najazd na Czeczenię czy Afganistan też był błędem, nie miał on wpływu na zmianę rosyjskiej polityki.

Skąd się to bierze?

Rosja ma nad innymi państwami historycznie i psychologicznie tę przewagę, że nie kalkuluje, ilu ludzi straci życie w wyniku takiej wojny. Im więcej osób zginie, tym większe będzie jej znaczenie, tym ważniejsze będzie osiągnięcie w niej zwycięstwa. W mojej opinii przekonanie, że Putin zakończy tę wojnę tylko ze względu na wysokie, wielotysięczne straty wśród własnych żołnierzy, jest naiwnością.

Powiedział pan, że nie chodzi mu tylko o Ukrainę.

Jego ambicje terytorialne konsekwentnie się zwiększają. O ile na początku mówił o odbudowie Związku Radzieckiego, następnie przebąkiwał o rozwiązaniu NATO, to obecnie mówi, że w orbicie jego zainteresowania jest Europa Środkowo-Wschodnia do granic Niemiec. Jego apetyt więc rośnie. Słyszymy nawet, że Rosjanie nie tylko nie uznają ładu granicznego z 1991 r., ale nawet tych granic, które pojawiły się w 1918 r. po I wojnie światowej. Putin twierdzi przecież, że Rosja nigdy nie wyraziła zgody na rozpad Związku Sowieckiego, a były to jedynie decyzje władz poszczególnych republik związkowych. Z kolei to, co robiły władze bolszewickie w 1918 r., także jest nieuznawane. Ukraina nie jest jego celem, ale pierwszym etapem. Bardzo szybko zobaczymy, że wojna obejmuje również inne terytoria, zanim skończą się działania wojenne na Ukrainie.

Skąd ta pewność? Na razie armia rosyjska utknęła tam na dobre.

W swoich ostatnich przemówieniach Putin opowiedział nam, co będzie się działo w najbliższej przyszłości. On cały czas szczerze mówi o swoich planach, chce, by Zachód go usłyszał.

Kto będzie następny?

Następnym etapem będzie Mołdawia. Stanie się to przez Naddniestrze i według scenariusza, który widzieliśmy w Donbasie. Terytorium to zamieszkuje spora grupa Rosjan, którym rozdaje się rosyjskie paszporty, stacjonuje tam także armia rosyjska. Według rosyjskiej narracji pretekstem będzie powstrzymanie „ludobójstwa" i prześladowań

eprasa.pl 22b9a0cb92

ludności rosyjskiej. Jako ludzie racjonalni widzimy, że Putin, zajmując jakiekolwiek terytorium, doszczętnie je niszczy. Widzieliśmy to w Buczy, Donbasie. Za każdym razem, gdy będziemy widzieć takie obrazki, zadamy sobie pytanie: co z tym robić? Dziś te obrazy widzimy na Ukrainie, potem zobaczymy je w Mołdawii, a następnie możemy się spodziewać ultimatum atomowego, by wyprowadzić kraje bałtyckie z NATO. I znów pojawi się jego pytanie: „Słyszycie mnie"? Szczerze powiedziawszy, nie sądzę jednak, by kraje bałtyckie zostały mu oddane. Będziemy się jednak zastanawiać, czy on użyje broni atomowej.

A pan jak sądzi?

Uważam, że jej użyje. Nie będzie to wyglądało w ten sposób, że z terytorium Federacji Rosyjskiej będzie ostrzeliwany Londyn lub Stany Zjednoczone. On użyje taktycznej broni jądrowej, która zostanie rozmieszczona na terenie Donbasu. Z kolei rakiety strategiczne pojawią się na Białorusi. To zresztą tłumaczy, dlaczego do tej pory nie zajął tego kraju. To bardzo niebezpieczna sytuacja. Przymiarką do tego scenariusza były rewelacje agencji TASS z 6 marca, według której od 2014 r. Ukraina produkuje broń atomową. To oczywiście kłamstwa, które są ogłaszane całemu światu. Jeśli spojrzymy na mapę, zobaczymy, że bardzo trudno odpowiedzieć na uderzenie atomowe na terytorium Białorusi ze względu na promieniowanie radioaktywne i bezpośrednią bliskość granicy z np. Polską. To największe niebezpieczeństwo, jakie grozi nam od 24 lutego.

Ale kto miałby być celem ataku atomowego? Warszawa?

Nie chciałbym nikogo straszyć, ale potencjalne cele zostały już przez Rosję wskazane. Sama Ukraina we wspomnianej depeszy TASS z 6 marca. Z kolei Polskę i Litwę wymienił Aleksander Łukaszenka, twierdząc, że według posiadanych przez niego informacji NATO planuje przerzucenie broni atomowej do Polski i na Litwę.

Jak można odwrócić ten scenariusz?

Jedyną możliwością, by do tego nie dopuścić, jest nie tylko obrona Ukrainy, ale bezpośrednie zaangażowanie w wojnę NATO jako całej struktury militarnej.

Wojna na pełną skalę?

Moim zdaniem, by nie doszło do tego scenariusza, armia NATO musi się spotkać z armią rosyjską na terytorium Ukrainy. W przeciwnym razie ten konflikt rozleje się na inne kraje. Na razie broni atomowej na Białorusi lub w Donbasie nie ma. Jednak wraz z rozwojem sytuacji wojskowej na Ukrainie i w Mołdawii, wzrostem kosztów wojny i ofiar Putinowi łatwiej będzie podjąć decyzję o jej użyciu. Społeczeństwo rosyjskie jest gotowe na taki scenariusz, wskazują na to sondaże. Możemy oczywiście wziąć poprawkę na wyniki takich badań. Jednak tego rodzaju tematy są w Rosji otwarcie podnoszone. Putin kalkuluje w ten sposób: jeśli tę wojnę przegramy, to w takim razie wszyscy trafimy do raju. I w tym sensie możemy powiedzieć, że mamy do czynienia z irracjonalnym rządem, państwem i społeczeństwem.

Czy w pana ocenie zagrożenie atomowe będzie wystarczającym argumentem dla USA i krajów UE, by dać jednak dopalić się tej wojnie i dalej się w nią nie angażować, zgodzić się na kompromisowy pokój?

Wszyscy mają nadzieję, że ta wojna nie rozleje się poza terytorium Ukrainy. Dlatego NATO pomaga władzom w Kijowie, przekazując taką broń, która nie powoduje przełomu, nie łamie woli armii rosyjskiej. Celem Zachodu wydaje się utrzymanie tego konfliktu w ryzach na terytorium Ukrainy. Ale cel Putina jest zupełnie przeciwny. Więc nie jest to scenariusz afgański, gdy armia radziecka na dekadę ugrzęzła w tym konflikcie, a celem nie było przyłączenie Afganistanu do Związku Sowieckiego. Teraz celem wojny jest aneksja terytorium Ukrainy i pójście dalej. Bardzo chciałbym, by – mając oczywiście świadomość ogromu cierpień, których doznają Ukraińcy – realizował się scenariusz afgański, ale nie sądzę, by tak się stało.

W ostatnich trzech miesiącach odnotowano liczne tajemnicze zgony ważnych rosyjskich menedżerów sektora paliwowego. Związani z Gazpromem Władysław Awajew, były wiceprezes Gazprombanku, Andriej Krukowskij, kierujący kurortem koncernu w Soczi, w Hiszpanii makabryczna śmierć związanego z sektorem gazowym Siergieja Protosenina wraz z rodziną. To tylko kilka przykładów. Jak pan je tłumaczy?

Są one z pewnością związane z pieniędzmi, a nawet bardzo dużymi pieniędzmi, które są lub były wyprowadzane z Rosji w bezpieczniejsze miejsca. Nie ma wątpliwości, że za nimi stoi FSB. Likwidują takich, którzy o kradzieży wiedzą, albo tych, którzy po prostu ukradli. Z Rosji w ostatnim czasie wyjechało wielu ludzi. Każda inteligentna osoba wie przecież, że wojna to dopiero początek kłopotów. Że w tej sytuacji zostaną zamknięte granice, zabiorą pieniądze, zamkną lub ograniczą biznesy. Po raz ostatni takie zajwisko, a więc liczne tajemnicze zgony, a także transfery finansowe miały miejsce w sierpniu 1991 r., po puczu Janajewa i w momencie, gdy rozpadał się Związek Sowiecki. Jeśli ktoś chce schować pieniądze, to najlepiej tak, by nikt poza nim o tym nie wiedział. A likwiduje się wszystkich, którzy mogą coś na temat takich transferów wiedzieć.

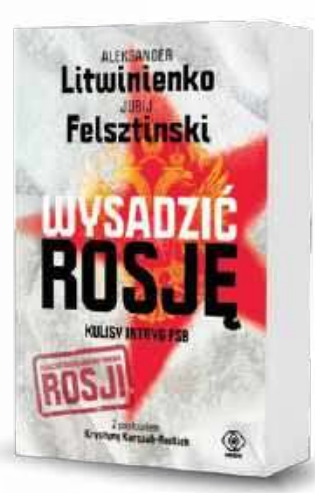

Reklama | 56/0522/F

eprasa.pl 22b9a0cb92

ODJECHANE RATY 0%

Teraz za OC/AC zapłacisz w 4 ratach

Bank Polski
dzień dobry

PKO Bank Polski działa jako agent ubezpieczeniowy. Organizatorem promocji „Ubezpiecz auto na raty" jest bank. Promocja trwa do 30.06.2022 r. Płatność składki ubezpieczeniowej w ratach nie wiąże się z dodatkowymi kosztami. Szczegóły i warunki promocji w regulaminie.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

eprasa.pl 22b9a0cb92

Pomoc, której od początku rosyjskiej agresji Polska udziela Ukrainie, nie wynika wyłącznie z naszej szlachetności czy współczucia. Jej źródłem jest również obrona naszych własnych, absolutnie fundamentalnych interesów. Dlatego mimo wysokich kosztów i pewnego ryzyka musimy wspierać Ukrainę. Alternatywą może być bowiem dalszy wzrost zagrożenia ze strony Rosji i wybuch wojny na znacznie szerszą skalę

Dlaczego pomagamy Ukrainie

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ciągu trzech miesięcy rosyjskiej agresji Polska udzieliła Ukrainie wsparcia w sprzęcie wojskowym o wartości 2 mld dol. O ilości przekazanego przez nasz kraj uzbrojenia: czołgów, amunicji, broni strzeleckiej i przeciwlotniczej świadczy choćby fakt, że jesteśmy drugim donatorem po Stanach Zjednoczonych. Ta broń – co trzeba podkreślić – została wykorzystana zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Jej zadaniem była bowiem obrona przed agresją ze strony Rosji. Niektórzy twierdzą, że przekazując Ukrainie zapasy broni, sami uszczuplilismy swój potencjał obronny. Nie do końca. Lepiej jest bowiem wykorzystać tę broń już teraz, rękami Ukraińców, aniżeli biernie czekać, aż Rosjanie dotrą do naszej granicy.

Ukraińcy walczą zresztą nie tylko o siebie, lecz także o bezpieczeństwo swoich bliskich, którzy schronili się w Polsce. Do tej pory przyjęliśmy na swoim terytorium blisko 3,5 mln uchodźców wojennych, głównie kobiet i dzieci, nadając im podobne prawa socjalne, jakimi cieszą się polscy obywatele. Nie trzeba chyba wyjaśniać, jakie to ma znaczenie dla walczących na froncie ich mężów i ojców oraz jak to wpływa na ich determinację.

Do tego doszedł jeszcze 1 mld dol. pomocy finansowej ze strony NBP na utrzymanie płynności ukraińskiej hrywny. Wszystko to – podobnie jak wiele innych, mniej spektakularnych, choć równie ważnych działań, takich jak np. synchronizacja ukraińskiej sieci energetycznej z Europą i ułatwienia w przesyłaniu gazu z Polski – ma jeden cel: pomóc Ukrainie przetrwać rosyjską agresję, tak by nie doszło do załamania tego państwa i jego klęski na froncie.

Owszem, koszty wsparcia, które z każdym miesiącem wojny ponosi Polska, stają się coraz większym obciążeniem dla naszego budżetu, zwłaszcza że – nie mogąc doprosić się o dodatkowe środki ze strony Unii Europejskiej – dźwigamy je głównie na własnych barkach. Niewykluczone zresztą, że – zgodnie z oczekiwaniami Moskwy (i pewnie nie tylko Moskwy) – może to doprowadzić do poważnych perturbacji gospodarczych i politycznych w naszym kraju. Mimo to nie mamy innego wyjścia. Alternatywą jest bowiem porażka Ukrainy i bezpośrednie zagrożenie ze strony Rosji. Nie żyjemy przecież w normalnych, pokojowych czasach.

eprasa.pl 22b9a0cb92

TAMA PRZECIW AGRESJI

Trzeba mieć świadomość, że wojna, którą Rosja prowadzi dziś na Ukrainie, nie jest wyłącznie agresją przeciwko naszemu wschodniemu sąsiadowi. Cele Moskwy są znacznie bardziej dalekosiężne i sięgają naszej części Europy, w tym przede wszystkim Polski, czego zresztą Kreml nigdy nie krył. Świadczy o tym nie tylko bezprecedensowa skala agresji propagandowej skierowanej przeciwko naszemu krajowi, lecz także treść ultimatum, które Moskwa wystosowała przed rozpoczęciem wojny na Ukrainie. Kreml wprost domagał się w nim wycofania sił NATO do granic sprzed 1997 r., a więc jeszcze sprzed pierwszego rozszerzenia paktu północnoatlantyckiego o państwa Europy Środkowo-Wschodniej. Gdyby do tego doszło, Polska – podobnie jak inni sojusznicy z naszego regionu – znalazłaby się w szarej strefie bezpieczeństwa i byłaby wystawiona na bezpośrednią napaść ze strony Rosji. Skoro Moskwa zażądała takiego ruchu ze strony Zachodu, to musi to oznaczać, że jej apetyt nie ogranicza się wyłącznie do Ukrainy.

Z tego punktu widzenia opór Ukrainy ma zarówno dla Polski, jak i dla całej wschodniej flanki NATO fundamentalne znaczenie. Po pierwsze, im dłużej Moskwa walczy na Ukrainie i im więcej traci na wojnie żołnierzy oraz broni, tym bardziej ogranicza swoje zdolności ofensywne. Po drugie zaś, istnienie niepodległej Ukrainy jest rodzajem buforu oddzielającego Europę od bezpośredniej bliskości Moskwy i związanych z tym zagrożeń. Ten czynnik nabrał jeszcze dodatkowego znaczenia po tym, jak Rosja zwasalizowała Białoruś.

Dlatego Ukraina i jej żołnierze bronią nie tylko własnego państwa, ale faktycznie walczą o całą Europę. Można wręcz powiedzieć, że Zachód toczy dziś na ukraińskiej ziemi wojnę z rosyjskim najazdem. Bo to właśnie dzięki wytrwałości ukraińskich obrońców moskiewska agresja nie dotarła do naszych granic. Pomoc udzielana walczącej Ukrainie nie jest więc żadną łaską, ona po prostu leży w naszym najlepiej pojętym interesie. Nikt z nas nie chciałby przecież, by rosyjskie rakiety spadały na polskie domy, a hordy nabuzowanych nienawiścią najeźdźców mordowały bezbronnych cywilów.

Nic zatem dziwnego, że w swoim przemówieniu wygłoszonym 22 maja w ukraińskiej Radzie Najwyższej prezydent Andrzej Duda podziękował Ukrainie za jej opór, nazywając żołnierzy ukraińskich bohaterami Polski, Europy i całego świata. Bo to przecież oni stawiają dziś główną tamę rosyjskiej agresji skierowanej przeciw Europie.

80 MILIONÓW

Oczywiście poza kosztami finansowymi Polska ponosi pewne polityczne ryzyko tak mocnego wsparcia Ukrainy. Moskwa nieustannie przecież wygraża każdemu, kto ośmiela się wchodzić jej w drogę. Polska jest zresztą postrzegana na Kremlu jako największy wróg w naszej części Europy. Nie ma sensu przytaczać wszystkich inwektyw i pogróżek, które codziennie pod naszym adresem wypluwa z siebie moskiewska propaganda. Ogólnie przyjmuje się tam wizję, że Polska próbuje podporządkować sobie Ukrainę i odbudować Rzeczpospolitą Obojga Narodów, a jeżeli to się nie uda, to po prostu zająć terytoria, które przed 1939 r. były częścią II Rzeczypospolitej.

> Musimy mieć świadomość, że możemy nie doczekać się z unijnych stolic stosownej rekompensaty za naszą pomoc udzielaną dziś Ukrainie. To ma nas ostatecznie zmusić do podkulenia ogona

Każdy, kto choć trochę zna polskie realia, ma pełną świadomość, że są to prymitywne łgarstwa, bo nie ma dziś w Polsce żadnej siły, która chciałaby rewizji granic. Przeciwnie, to Rosja jest taką siłą, która opierając się na własnych resentymentach, szuka do nich fałszywych analogii w innych krajach, w tym w Polsce. Faktem jest jednak, że atakując 24 lutego Ukrainę, Moskwa poważnie naruszyła dotychczasowy ład międzynarodowy. Polska jako beneficjent tego ładu nigdy nie była zainteresowana jego podważaniem, jednak wywołana przez Moskwę do tablicy, musi brać dzisiaj pod uwagę różne scenariusze.

Jednym z tych scenariuszy, z pewnością pożądanym przez Polskę, jest przetrwanie niepodległej Ukrainy i późniejsza ścisła współpraca z tym państwem, która została niejako sprowokowana przez rosyjską agresję. Nie chodzi tu jednak – jak twierdzi Moskwa – o żadne formy podległości czy jakiejś konfederacji, lecz o wzajemne wsparcie w obliczu wspólnego zagrożenia, którym jest dla obu państw Rosja. Jak zauważył w Kijowie prezydent Andrzej Duda, cytując Wołodymyra Zełenskiego, Polaków i Ukraińców jest łącznie 80 mln, a zatem razem jesteśmy silniejsi. Silniejsi to znaczy bezpieczniejsi.

Idzie więc przede wszystkim o szeroką współpracę na gruncie międzyludzkim, bo postrzegając podobnie rzeczywistość międzynarodową, mamy zbliżone interesy. Co może się potem przekładać na wspólne inicjatywy gospodarcze czy dyplomatyczne. Tym bardziej że jeszcze przed rosyjską agresją istniało wiele więzów między Polską i Ukrainą. Duży napływ Ukraińców do pracy czy na studia w Polsce wyraźnie wzmacniał – ku rosnącej irytacji Moskwy – atrakcyjność naszego kraju na Ukrainie. Na gruncie „soft power" odnieśliśmy, choćby i mimowolnie, przytłaczające zwycięstwo nad Rosją. Wystarczy spojrzeć, jak wielu ludzi na Ukrainie rozumie dziś język polski. Brutalna próba powstrzymania ukraińskiego zwrotu na Zachód, podjęta przez Moskwę 24 lutego, doprowadziła do zupełnie odwrotnych dla Rosji skutków. Agresorzy szybko się przekonali, że nikt na Ukrainie nie tęskni za Moskwą i nie będzie jej tu witał kwiatami.

Rzecz jasna, dla Rosji, która w ogóle kwestionuje jakąkolwiek odrębność Ukrainy i całkiem jawnie dąży dziś do odbudowy jednolitego państwa złożonego z Rosji, Ukrainy i Białorusi, jest to kamień rzucony w szprychy. Dlatego dobrowolnie nigdy nie zrezygnuje ze swoich

Fot. Jakub Szymczuk / KPRP

eprasa.pl 22b9a0cb92

imperialnych planów. A Polska, którą dotąd Moskwa ostentacyjnie ignorowała jako „nieistotnego pionka" na światowej szachownicy, staje się w obecnej, coraz bardziej niepoczytalnej optyce Moskwy, niemalże głównym, wszechmocnym wrogiem.

EGZYSTENCJALNE ZAGROŻENIE

Kremlowska propaganda ciągle grozi światu, że w przypadku „egzystencjalnego zagrożenia" Rosja gotowa jest pójść na całość i np. użyć broni nuklearnej. Trudno jednak ocenić, co jest dla Rosji „egzystencjalnym zagrożeniem", nikt przecież nie chce pozbawić tego państwa suwerenności czy uznanego prawem międzynarodowym terytorium. Nikt też nie czyha na życie jego obywateli. Jeśli więc ktokolwiek może czuć się dziś w Rosji w jakikolwiek sposób zagrożony możliwymi skutkami wywołanej awantury wojennej, to jedynie reżim na Kremlu. Zresztą na własne życzenie. Nie odnosi się to jednak do państwa rosyjskiego ani jego obywateli.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja Ukrainy, która w tej chwili, walcząc z agresją, stoi w obliczu egzystencjalnego zagrożenia ze strony Rosji. Co więcej, w przypadku porażki Ukrainy i zniszczenia jej państwowości przez Moskwę widmo egzystencjalnego zagrożenia przesunie się na zachód: nad Polskę, państwa bałtyckie i szerzej – na całą wschodnią flankę NATO. To my, tutaj w Europie Środkowo-Wschodniej, stoimy dziś przed egzystencjalnym zagrożeniem, przed groźbą wojny, zniszczenia i utraty państwowości. W związku z tym mamy nie tylko prawo, lecz także obowiązek zrobić teraz, co w naszej mocy, by to zagrożenie odsunąć, a najlepiej całkiem wyeliminować. Trwający konflikt z Rosją nie jest więc kwestią polityki czy dyplomacji (choć chciałoby się, by taki był). To kwestia przetrwania. A z tego wynika, że nie wolno nam stać z założonymi rękami, gdy brutalny agresor chce zbliżyć się do naszych granic.

Nie chodzi oczywiście o to, by ruszać ze zbrojną pomocą, nikt przecież nie chce w Polsce wojny. Ale właśnie dlatego, że chcemy uniknąć wojny, musimy zrobić wszystko, żeby nie rozlała się ona poza granice Ukrainy. A nie dojdzie do tego tylko wtedy, gdy Ukraina przetrwa. Wiemy jednak dobrze, że bez pomocy z zewnątrz, z Polski, ze Stanów Zjednoczonych, z Europy, Ukraina nie zdoła powstrzymać rosyjskiej agresji. Nie mamy więc żadnego innego wyboru. Moskwa nam go nie dała.

MOSKIEWSKI BLOK

Niestety, Rosja mimo trudności na Ukrainie nie jest pozbawiona nadziei na zwycięstwo. Tę nadzieję dają jej niedawni sojusznicy w Europie, rządy Niemiec, Francji, Włoch czy Węgier wyłamujące się ze wspólnego frontu przeciwko rosyjskiej agresji. Znacznie łatwiej byłoby powstrzymać najeźdźców, gdyby nie istniał ten „moskiewski blok" w sercu Europy.

> W przypadku zniszczenia ukraińskiej państwowości przez Moskwę widmo egzystencjalnego zagrożenia przesunie się nad Polskę, państwa bałtyckie i szerzej – na całą wschodnią flankę NATO

Członkowie tego nieformalnego bloku werbalnie sprzeciwiają się rosyjskiej agresji, jednak w rzeczywistości sabotują wszelkie bardziej stanowcze kroki przeciwko Moskwie. To prawda, że wskutek swojej skrajnie nieodpowiedzialnej polityki państwa te stały się zakładnikami Rosji. Jednak prawdą jest też to, że zwycięstwo Ukrainy nie leży w ich interesie. Z różnych zresztą powodów. U Węgrów ciągle silna jest trauma po traktacie z Trianon, który w 1920 r. pozbawił ich 2/3 terytorium, zatem – podobnie jak w Rosji – część polityków ulega tam rewizjonistycznej pokusie. Z kolei Niemcy, Francja i Włochy przyzwyczaiły się do postrzegania Rosji jako „protektora" Europy Wschodniej. Tam nigdy nie uważano Ukrainy ani – szerzej – krajów Europy Środkowo-Wschodniej za pełnoprawnych członków wspólnoty europejskiej. Nasz region postrzegano raczej jako strefę buforową, coś, co leży między Rosją i Europą i co w imię bezpieczeństwa Zachodu może zawsze stanowić przedmiot negocjacji oraz targów z Moskwą. Z tej perspektywy trudno więc oczekiwać, by w Paryżu, Rzymie czy Berlinie ryzykowano własny spokój dla niepodległości Ukrainy. Tym bardziej że przetrwanie Ukrainy może znacząco zmienić układ sił w Europie.

Warto powrócić tu do słów Andrzeja Dudy z Kijowa: „Polaków i Ukraińców jest łącznie 80 mln, a zatem razem jesteśmy silniejsi". Dla niektórych zachodnich rządów taka siła na wschodzie Europy mogłaby okazać się zbyt dużym zagrożeniem nie tylko dla ich interesów w regionie, ale w ogóle dla ich pozycji na kontynencie. Zwłaszcza że patronami takiego układu byłyby zapewne Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. To właśnie w tym miejscu punkt widzenia wspomnianych państw „starej Europy" przecina się z punktem widzenia Moskwy. I można być niemal pewnym, że rządy tych krajów zrobią wiele, by nie dopuścić do takiego rozwoju wydarzeń. Być może właśnie tymi obawami należy również tłumaczyć opieszałość Niemiec w dostarczaniu pomocy Ukrainie lub przeciąganie dyskusji na temat pomocy finansowej dla Polski.

Ta strategia jest w istocie działaniem, nie zawsze zresztą intencjonalnym, na rzecz Moskwy. Z jednej strony może ona doprowadzić do dalszego wzrostu zagrożenia w naszej części Europy, a z drugiej – podkopać wiarygodność zachodnich demokracji.

Musimy mieć zatem świadomość, że możemy nigdy nie doczekać się z unijnych stolic stosownej rekompensaty za naszą pomoc udzielaną dziś Ukrainie. To ma nas zniechęcić do dalszej aktywności i ostatecznie zmusić do podkulenia ogona. Jeżeli ulegniemy tej presji, to nie tylko powrócimy do drugiej ligi europejskiej, ale przede wszystkim narazimy na szwank nasze bezpieczeństwo. Trudno chyba o lepszy dowód na to, że pomagając Ukrainie, budujemy w dłuższej perspektywie siłę naszego państwa i w ten sposób pomagamy samym sobie.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Tragedia upływającego czasu

W wojnie wschodniej zbliża się nieuchronne przesilenie, trudne do przecenienia dla przyszłych losów Europy. Wskazują na to zarówno coraz bardziej oczywiste zmiany zachodzące na frontach wojennych na Ukrainie, jak i nowy klimat politycznego zniecierpliwienia, który wobec wojny zaczyna panować na Zachodzie

Były sekretarz stanu USA Henry Kissinger oświadczył w Davos, że Ukraina powinna się zgodzić oddać część swojego terytorium Rosji, aby rozpocząć rozmowy pokojowe. To niejedyny głos zachodniego polityka namawiający Ukraińców do kapitulacji

JAN ROKITA

Jeśli rzeczy będą się rozwijać w takim jak obecnie kierunku jeszcze przez parę najbliższych tygodni, to czas zacznie pracować na niekorzyść Ukrainy. Z jednej bowiem warunki hipotetycznego rozejmu ze strony Rosji będą z czasem dla Kijowa coraz trudniejsze, w miarę jak krok po kroku jej armia będzie rozszerzać swoją strefę okupacyjną na terytorium Ukrainy. Z drugiej zaś – coraz głośniejsze zrzędzenie na przedłużającą się wojnę i ryzyko jej rozlania się na Europę zdominuje politykę wolnego świata, czego skutkiem stanie się rosnąca presja na ustępstwa Kijowa wobec Kremla. Klimat panujący w ubiegłym tygodniu na spędzie w Davos najlepiej charakteryzuje wystąpienie blisko 100-letniego Kissingera, który ku ogólnej aprobacie uczestników wyrażał oczekiwanie okazania przez Ukraińców „mądrości". Dwa miałyby być dowody owej „mądrości": oddanie kawału własnego państwa Rosji i uznanie, iż Ukraina jest „strefą buforową", czyli państwem z ograniczoną suwerennością. Takim zresztą, jakim była do czasu pierwszego narodowego przebudzenia, czyli sławnej pomarańczowej rewolucji z 2004 r.

ROSYJSKIE SUKCESY W DONBASIE

Oblicze wojny zmieniło się po ostatecznym upadku Mariupola. W ten sposób spełniło się rosyjskie marzenie o otwarciu autostrady M14, prowadzącej wzdłuż Morza Azowskiego na wschód w stronę Rostowa nad Donem, a na Zachód w stronę Krymu. Całe wybrzeże stało się częścią rosyjskiej strefy okupacyjnej, więc tym samym armia rosyjska osiągnęła pierwszy istotny sukces wojenny. Co więcej, Rosjanom udało się zmusić do kapitulacji najbardziej znienawidzoną formację ukraińskiego wojska – pułk Azow, traktowany nie bez racji jako symbol antyrosyjskiej wrogości i desperacji, gdyż w ciągu ostatnich

Fot. Truba7113/Shutterstock.com, Russian Defense Ministry Press Service via AP

eprasa.pl 22b9a0cb92

ośmiu lat ochotnicy z tej jednostki nieźle zaszli armii rosyjskiej za skórę. Dziś azowczycy po kapitulacji siedzą w obozie koncentracyjnym w Oleniwce, a o ich losie debatuje moskiewska Duma i hersztowie rosyjskich najemników z Donbasu, rozważając publicznie, czy jeńców należałoby wszystkich rozstrzelać, postawić przed trybunałem wojennym, a może jednak wymienić na jeńców rosyjskich. W jakimś, choćby niewielkim stopniu, spełniło się zatem rosyjskie pragnienie upokorzenia Ukrainy.

Po tych zdarzeniach rosyjskie dowództwo dokonało już drugiej z kolei korekty wojennych planów. Tak jak swego czasu postanowili zwinąć fatalny dla Rosji front północny i odstąpić od Kijowa, tak teraz podobny manewr wykonali na froncie północno-wschodnim, uwalniając Charków. Po czym zawiesili nawet ambitny plan okrążenia głównych sił ukraińskich walczących w Donbasie, koncentrując cały wysiłek na przełamaniu ukraińskich linii obronnych w regionie ługańskim, co (warto przypomnieć) nie udawało się ani tzw. separatystom, ani armii rosyjskiej w ciągu długich ośmiu ostatnich lat. W najbliższym czasie Rosjanie będą tam zdobywać miasto po mieście, równając je z ziemią, o ile będzie taka militarna potrzeba, tak jak z sukcesem zrobili to z Mariupolem, a teraz właśnie czynią z Sewierodonieckiem – przeszło 100-tys. ośrodkiem przemysłowym, który (jak raportuje na Facebooku szef tamtejszych władz) „już ledwo zipie". Takie zmasowane uderzenia na skoncentrowanych odcinkach frontu sprawiają, że bitwa o Donbas – krwawa, przewlekła i zacięta – jest coraz wyraźniej przez Ukraińców przegrywana.

Po zajęciu regionu ługańskiego armia rosyjska w taki sam sposób ruszy na region doniecki albo może – ku powszechnemu zaskoczeniu – na Mikołajów i w stronę Naddniestrza, tak by odciąć Odessę, a Ukrainę pozbawić dostępu do morza. W każdym razie Rosjanie chyba się nauczyli, że nadmierna pewność siebie może ich zgubić, więc nie będą już rozpraszać sił i z lekceważeniem przeciwnika uderzać na wielu frontach naraz.

Andrij Zahorodniuk, minister obrony w poprzednim rządzie ukraińskim, informuje teraz, że w bitwie o Donbas armia rosyjska ma 20-krotną przewagę w sprzęcie i uzbrojeniu. Przebywająca w USA posłanka Aleksandra Ustinowa, liderka niewielkiej liberalnej partii Głos w ukraińskiej Radzie Najwyższej, została zaproszona do Kongresu, gdzie amerykańskim posłom wyjaśniała, iż „sytuacja na polu bitwy jest znacznie gorsza niż na początku wojny". „Tam jest teraz piekło" – mówiła. „Tracimy o wiele więcej ludzi niż na początku". Jej zdaniem bez nowoczesnych myśliwców bojowych i systemów rakietowych bitwa o Donbas jest nie do wygrania. Dobrą minę do złej gry powoli przestaje już robić również prezydent Zełenski. Na konferencji prasowej podaje uśrednioną liczbę 100 żołnierzy ukraińskich, którzy każdego dnia giną w bitwie o Donbas. A zgromadzonych w Davos zachodnich liderów retorycznie pyta: „Na co jeszcze czekacie? Na zrzucenie bomby atomowej na Ukrainę?".

Zmasowany atak w regionie ługańskim – to rzecz jedna. Druga – to konsekwentne rujnowanie infrastruktury całego kraju atakami lotniczymi i rakietowymi. Słabym echem odbiły się w mediach dane przekazane po raz pierwszy przez ukraińskiego ministra transportu Kubrakowa. Według niego na terenie Ukrainy zburzono 300 mostów, 23 tys. km dróg, 6 tys. km linii kolejowych, 20 stacji kolejowych, a wszystkie lotniska były bombardowane. Warte uwagi są suche i wyzbyte emocji komunikaty rzecznika rosyjskiego MON gen. Konaszenkowa. Na przykład 22 maja informował on, iż armia rosyjska atakowała Ukrainę z powietrza w 583 punktach, m.in. niszcząc jednostki artylerii i moździerzy, składy amunicji, centra dowodzenia i stacje walki elektronicznej, zabijając przy tym znaczną liczbę skoncentrowanych tam ukraińskich żołnierzy. Jeśli wojna przeciągnie się o parę najbliższych miesięcy, na Ukrainie może już nie być głównych dróg, jeżdżących pociągów, czynnych stacji kolejowych ani nieuszkodzonych pasów startowych. Rosyjski cel jest jasny: Zełenski ma namacalnie zobaczyć, jakie będą skutki jego suwerennej postawy i braku uległości.

NIEMORALNA PROPOZYCJA

Te wszystkie fakty nie odbijają się w mediach, zwłaszcza polskich, zbyt dużym echem, gdyż nie sprzyjają proukraińskiej propagandzie wojennej. Przyznam, że z poczuciem gorzkiej ironii czytam np., jak dziennik „Rzeczpospolita" o fakcie kapitulacji obrońców Mariupola informuje pod nagłówkiem: „Niepokonany bastion oporu", a gdy świat huczy już od wieści na temat głębokich rozdźwięków, które na tle wojny pojawiły się wśród zachodnich przywódców, ten sam dziennik na czołówkę wybija tytuł: „Putin jednoczy Zachód". Tego typu relacje wojenne w mediach są typowe w ostatnim czasie, a choć zapewne tkwi u ich podstaw szlachetna intencja kibicowania napadniętej Ukrainie, to coraz mocniej wprowadzają one w błąd opinię publiczną. Oczywiście politycy są doskonale świadomi realiów wojny, stąd też takie nasilenie w ostatnim czasie niby realistycznych i pełnych zatroskania zachodnich głosów jak owa głośna wypowiedź Kissingera z Davos.

Zaczęło się to (jak wiemy z włoskiego wywiadu samego Zełenskiego) od Macrona, który dzwonił do ukraińskiego przywódcy, apelując o oddanie Rosji części terytorium Ukrainy. Potem bliski doradca Zełenskiego z sarkazmem wyjaśniał, że „Francuz nie był bynajmniej jedyny". Włoski premier Draghi zgodził się z Macronem, a stary sojusznik Kremla Berlusconi wypowiedział owo żądanie publicznie bez ogródek. Na łamach „Le Figaro" ukazał się żywo teraz dyskutowany we Francji tekst Henriego Guaino (polityka gaullistowskiego i autora przemówień prezydenta Sarkozy'ego), który dowodzi, iż kapitulacja Ukrainy jest jedynym ratunkiem nie tylko dla Europy, lecz także dla samej Ukrainy. Co jednak istotne, ci przywódcy państw wolnego świata, którzy nie występują publicznie z takimi tezami ani nie dzwonią z takim przesłaniem do Kijowa, zachowują w tej materii dystans i milczenie. Nawet ci, którzy jak Biden czy Johnson najhojniej i najbardziej ochoczo zaopatrują Kijów w broń potrzebną do dalszego oporu wobec inwazji.

Na dobrą sprawę jedynym istotnym przywódcą politycznym, który uznał,

eprasa.pl 22b9a0cb92

że należy ostro i zdecydowanie przeciwstawić się takiej logice politycznej Zachodu, jest Andrzej Duda, który zrobił to na dodatek spektakularnie, w precedensowej mowie w ukraińskiej Radzie Najwyższej. No i w jakimś sensie jeszcze Trump, który domaga się zagrożenia Rosji wojną nuklearną i wysłania amerykańskich atomowych okrętów podwodnych, by „cały czas pływały wokół wybrzeży Rosji". Ale Trump nie ma na razie żadnego znaczenia w globalnej polityce.

Czego zatem boją się zachodni politycy? W kręgach najbardziej przyjaznych Ukrainie pojawiła się nawet taka spiskowa teoria, iż tak naprawdę Francuzi, Włosi czy Niemcy życzyliby sobie szybkiego rosyjskiego zwycięstwa, gdyż to wizja porażki Putina najbardziej ich niepokoi. Prawdę mówiąc, nie ma żadnego wiarogodnego dowodu, by dziś wysuwać tego rodzaju oskarżenia, które (jeśliby miały być prawdziwe) całe poparcie Zachodu dla zaatakowanej Ukrainy czyniłyby od początku jakąś straszną fikcją i wielkim kłamstwem. To przesada. Prawdziwy powód owego strachu jest bardziej wyrafinowany i chyba dość uczciwie został wyłożony we wspomnianym tekście francuskiego gaullisty. Świat ludzi dobrze poinformowanych rozumie, że jeśli dotychczasowy paradygmat wojny wschodniej nie ulegnie zmianie, to Ukraina będzie tę wojnę przegrywać. Powoli, krok po kroku, z heroicznym oporem, z olbrzymimi zniszczeniami i hekatombą krwi. A jeśli taki rozwój zdarzeń jest dziś najbardziej realistycznym scenariuszem, to po kilku dalszych miesiącach wojny, być może już wczesną jesienią, Ameryka i jej sojusznicy staną wobec iście diabelskiego dylematu, którego za wszelką cenę wszyscy chcieliby uniknąć.

Trzeba będzie wówczas albo przyjąć do wiadomości militarną katastrofę państwa ukraińskiego, która musiałaby być w takich okolicznościach spektakularną polityczną klęską Zachodu, i to tym większą, im więcej broni wysłano na Ukrainę i im więcej wygłoszono deklaracji, iż „Ukraina nie może tej wojny przegrać". Racja okazałaby się wtedy po stronie tych, którzy (jak choćby papież czy rządy Węgier i Szwajcarii) przekonywali, iżby broni do Kijowa nie posyłać, bo to tylko powiększy skalę katastrofy i niebotycznie zwiększy liczbę ofiar. W takim rozwoju zdarzeń terytorium Ukrainy nieuchronnie przekształciłoby się w obszar trwałej insurekcji i partyzantki, do której zresztą władze Ukrainy powoli zaczynają przygotowywać myślowo i emocjonalnie swoich obywateli. Nie przypadkiem szef MON Reznikow mówi ostatnio, iż „planujemy uzbroić milion ludzi, przygotowując ich do nowej, długiej fazy wojny, gdyż przed nami niezwykle trudne tygodnie, w których będziemy potrzebować jedności, spójności, woli i cierpliwości". Zresztą na okupowanym południu kraju partyzantka ukraińska działa już dziś i wydaje nawet wyroki śmierci na kolaborantów, czego dowodem był parę dni temu zamach na kolaboracyjnego mera Enerhodaru na Zaporożu.

> Im dłużej trwa wojna i im więcej terytorium Ukrainy znajdzie się pod okupacją, tym mocniejsze środki będą potrzebne, by pokonać i wygnać stamtąd wygrywającego Putina. Tego boją się zachodni politycy

DIABELSKA ALETRNATYWA

Jeśli zatem Ameryka, a wraz z nią cały wolny świat zamierzałby przeciwstawić się takiemu rozwojowi zdarzeń, to jest skazany na zmianę dotychczasowego paradygmatu wojny wschodniej i podniesienie jej na wyższy poziom. Możliwości jest wiele, ale każda z nich wydaje się zachodnim politykom ciągle nazbyt ryzykowna.

Trump domaga się wysłania atomowych okrętów na brzegi Rosji, Zełenski rozpaczliwe prosił o ogłoszenie no-fly zone nad Ukrainą, Polska proponowała wysłanie Ukrainie bojowych myśliwców albo i nawet misję NATO na Ukrainie, ostatnio zaś pojawiła się koncepcja szefa litewskiej dyplomacji Landsbergisa, by „koalicja chętnych" (bez formalnego angażowania NATO) siłowo odblokowała czarnomorskie porty Ukrainy. Tak czy inaczej, każdy tego typu krok oznacza bardziej bezpośredni udział armii zachodnich w tej wojnie, a to właśnie jest ciągle traktowane jako swoiste polityczne tabu, równoznaczne z wybuchem wojny globalnej.

Niestety, im dłużej trwa wojna i im więcej terytorium Ukrainy znajdzie się pod okupacją, tym mocniejsze środki będą potrzebne, by pokonać i wygnać stamtąd wygrywającego Putina. Na tym właśnie polega dzisiejsza tragedia upływającego czasu. To, co nie było nazbyt trudne w lutym, dziś już jest skomplikowane i trochę ryzykowne, a za pół roku będzie obarczone ryzykiem wielkich rozmiarów. Dokładnie tak samo jak w Europie lat 30. XX w.

Ci spośród zachodnich polityków, którym jak Macronowi, Draghiemu czy Scholzowi, złamanie tego tabu śni się po nocach jako najgorszy senny koszmar, woleliby oczywiście, by Ukraina okazała uległość wcześniej niźli później. To znaczy jeszcze wówczas, gdy armia rosyjska nie okupuje całej wschodniej i południowej części kraju, ale jedynie jego skrawki. Zakładają oni, że taka strata powinna być dla Ukrainy akceptowalna w charakterze „mniejszego zła". W tyle głowy wiedzą przecież doskonale, że jeśli Putin przejmie siłą sporą część terytorium Ukrainy, to żadne polityczne rozwiązanie kryzysu wschodniego nie będzie już możliwe. Zostanie wówczas tylko owa naga diabelska alternatywa: pogodzić się z klęską całego Zachodu i uznać terytorium Ukrainy za dymiący i krwawy kocioł, z którego ustawicznie będzie się wylewać na Europę partyzancka wojna. Albo samemu zabrać się za wypędzenie zwycięskiego Putina z zajętej połowy Ukrainy. No, ale wtedy to już naprawdę nie będą wojenne przelewki...

eprasa.pl 22b9a0cb92

Wojna wykuwa nową Ukrainę

Wojna na Ukrainie to prócz zniszczeń, bestialstwa Rosjan i heroizmu obrońców również gigantyczny wstrząs psychiczny dla całego narodu. Zmienia się panteon narodowych świętości, myślenie na temat historii, polityki, sytuacji geostrategicznej i tego, kto z sąsiadów jest wrogiem, a kto przyjacielem. Właśnie z tym mamy teraz do czynienia na Ukrainie, gdzie zmiany są tak głębokie, iż można śmiało powiedzieć, że kształtuje się nowe społeczeństwo i nowe państwo

MAREK BUDZISZ

Wojna na Ukrainie to prócz zniszczeń, bestialstwa Rosjan i heroizmu obrońców również gigantyczny wstrząs psychiczny dla całego narodu. Zmienia się panteon narodowych świętości, myślenie na temat historii, polityki, sytuacji geostrategicznej i tego, kto z sąsiadów jest wrogiem, a kto przyjacielem. Właśnie z tym mamy teraz do czynienia na Ukrainie, gdzie zmiany są tak głębokie, iż można śmiało powiedzieć, że kształtuje się nowe społeczeństwo i nowe państwo.

Ihor Terechow, mer Charkowa, miasta uznawanego przed wojną za jeden z bastionów opcji prorosyjskiej, powiedział w jednym z wywiadów, że „dziś Charków i wschód Ukrainy tak zradykalizowały się w stosunku do Federacji Rosyjskiej, że zachodniej Ukrainie jest jeszcze od tego bardzo daleko". Komentując przyszłość polityków z prorosyjskiej Opozycyjnej Platformy – Za Życie, formacji, którą faktycznie kierował oligarcha i przyjaciel Putina Wiktor Medwedczuk, Terechow powiedział, że podjęta już po wybuchu wojny decyzja o zakazie jej działalności była „cudowną wiadomością". Dodał przy tym, że „po tym, co zrobili rosyjscy agresorzy, w Charkowie i w ogóle na Ukrainie nie ma miejsca na partie prorosyjskie". Na razie ostateczne decyzje nie zostały jeszcze podjęte, ale w Radzie Najwyższej już znalazł się projekt ustawy zabraniający kandydowania w wyborach różnych szczebli, włącznie z parlamentarnymi, wszystkim, którzy w przeszłości zostali wybrani z list formacji prorosyjskich.

POROSZENKO NA RÓWNI POCHYŁEJ

Intensywność walki politycznej na Ukrainie w czasie wojny wcale nie uległa zmniejszeniu. Świadczy o tym choćby afera z oskarżeniami zatrzymanego Medwedczuka formułowanymi pod adresem Petra Poroszenki, byłego prezydenta i obecnie lidera opozycyjnej formacji Europejska Solidarność. Jeśli się one potwierdzą, to pozycja polityczna byłego prezydenta i jego partii może ulec szybkiej erozji, a powstałą próżnię zajmą nowe formacje. Medwedczuk powiedział mianowicie, że na osobistą prośbę byłego prezydenta, współdziałając bardzo ściśle z jego ludźmi, rozpoczął przed laty operację, której celem była prywatyzacja rurociągu Samara–Zachód, który ostatecznie trafił do jednej ze spółek kontrolowanych pośrednio przez Poroszenkę (w 2021 r. został on decyzją Zełenskiego znacjonalizowany). Były prezydent miał kupić dzięki pomocy Medwedczuka, która była niezbędna, bo rurociąg przeznaczony do transportu diesla ma początek w Rosji, przez podstawione spółki firmę za 28 mln dol., a już w pierwszym roku rurociąg przyniósł mu 40 mln dol. czystego zysku.

Ponadto Medwedczuk powiedział, że nielegalna operacja ze sprowadzaniem węgla z Donbasu, który miał rzekomo formalnie pochodzić z RPA, została wymyślona i przeprowadzona „praktycznie przez całe kierownictwo państwowe" za czasów Poroszenki. Złamano w ten sposób nie tylko obowiązujące na Ukrainie prawo, lecz także zarobiono przy okazji miliony dolarów, które wytransferowano do rajów podatkowych.

Partia Poroszenki w całości odrzuca oskarżenia wobec swojego lidera, który zresztą został objęty śledztwem prokuratorskim jeszcze przed wybuchem wojny, ale rewelacje przyjaciela Putina wpisują się w narrację obozu obecnej władzy o zdradzie wewnętrznej i mają wyjaśnić, dlaczego mimo upływu ośmiu lat od wybuchu wojny w Donbasie Ukrainie nie udało się wiele zrobić, by uniezależnić się w większym stopniu ekonomicznie od Rosji. Dlaczego kraj był

Fot. eugenevishnya / Shutterstock

eprasa.pl 22b9a0cb92

toczony przez korupcję i nie związał się silniej z Zachodem? Jeszcze przed wojną Petro Poroszenko był uważany za jednego z głównych rywali urzędującego prezydenta w zbliżających się wyborach prezydenckich. Wielu ekspertów było zdania, że jego szanse były niemałe, bo jeszcze w lutowym, przeprowadzonym przed wybuchem wojny badaniu agencji Rating 67 proc. obywateli Ukrainy było zawiedzionych polityką Zełenskiego, uważało, że „sprawy kraju idą w złym kierunku". Dzisiaj obecny prezydent jest narodowym bohaterem, a Poroszenko, główny do niedawna jego rywal, stoi na progu politycznej katastrofy.

ROSJANIE ŹLE OCENIANI

O skali zmian świadczy i to, że obecnie złego zdania o biegu spraw publicznych jest jedynie 10 proc. ankietowanych, a 80 proc. uważa, że kierownictwo państwa prowadzi dobrą dla Ukrainy politykę. Z innego badania, przeprowadzonego w kwietniu przez agencję Sapiens, wynika, iż coraz więcej Ukraińców podkreśla, że za okropności wojny, bestialstwo rosyjskich wojsk i samą agresję odpowiadają „zwykli Rosjanie", a nie wyłącznie Putin i jego otoczenia. W marcu taki pogląd prezentowało 79 proc. ankietowanych, w kwietniu było to już 84 proc. Do państwa rosyjskiego źle odnosi się obecnie 92 proc. Ukraińców, choć ekspertów dziwi to, że nadal 2 proc. rodaków żywi odczucia pozytywne. Zmiana i tak ma charakter tektoniczny, bo jeszcze dwa lata temu negatywnie o Rosji myślało niecałe 40 proc. obywateli Ukrainy. Nic dziwnego zatem, że, jak wynika z przeprowadzonych już w maju badań Kijowskiego Instytutu Socjologii, 80 proc. obywateli Ukrainy „pod żadnym pozorem" nie dopuszcza możliwości oddania Federacji Rosyjskiej choćby najmniejszego skrawka terytorium i chce walczyć do zwycięstwa.

Zmiany psychologiczne, w mentalności społecznej, myśleniu o własnej historii i miejscu Ukrainy w Europie i świecie są zresztą znacznie głębsze. Można mówić o rewolucyjnym, jeśli chodzi o skalę i ekspresowe tempo, przewartościowaniu zarówno ideologii państwowej, jak i myślenia o sobie Ukraińców. Trzeba też mieć świadomość, że Ukraina przeżywa obecnie niespotykanie silny nawrót do ukraińskości. Pozytywnie są wzmacniani wszyscy bohaterowie z przeszłości, których można wpisać w ukraiński panteon narodowy. Z innego badania opinii publicznej, przeprowadzonego przez grupę Rating, wynika, że ludzie z różnych epok, o różnych poglądach i różnych drogach życiowych, których łączy jedno – oddanie idei Ukrainy – są obecnie pozytywnie oceniani i szanowani. Jest to zarówno Bohdan Chmielnicki (92 proc. ocen pozytywnych i raczej pozytywnych), jak i Iwan Mazepa (76 proc.), Mychajło Hruszewski (83 proc.) i Stepan Bandera (74 proc.). Ten ostatni jest popularniejszy wśród Ukraińców jedynie od Semena Petlury (49 proc. ocen pozytywnych, choć 15 proc. ankietowanych nie wiedziało, kto to taki).

Zmianom towarzyszy pozytywne waloryzowanie ukraińskości. 87 proc. nie żałuje, że ZSRS się rozpadł, 44 proc. ankietowanych uważa, że w II wojnie światowej ukraiński żołnierz walczył o wyzwolenie Ukrainy, a 39 proc., iż bił się „za ojczyznę sowiecką (ZSRS). W 2008 r. ten ostatni pogląd wyznawało 74 proc. Ukraińców, a z pierwszą tezą godziło się 13 proc.

KTO WRÓG, KTO PRZYJACIEL

O zmianach świadczy też choćby ostatnia decyzja mera Lwowa Andrija Sadowego o odsłonięciu lwów na cmentarzu Orląt i skierowane przy okazji do nas (po polsku) słowa tego polityka, w przeszłości uznawanego za nieprzychylnego Warszawie. Napisał on, że „groby są po obu stronach" i historyczne podziały były wykorzystywane przez wspólnego wroga, a teraz wojna pokazała, kto jest przyjacielem. W myśleniu Ukraińców tym przyjacielem w trudnych chwilach okazała się Polska i nawet jeśli politycy w rodzaju mera Lwowa podejmują decyzje pod wpływem impulsu czy – jak chcą sceptycy – koniunkturalizmu, to o tej zmianie nastrojów społecznych trzeba pamiętać, bo to one w związku z faktem, że Ukraina jest demokratycznym państwem, będą długofalowo wpływać na postawy nawet najbardziej niechętnych Polsce polityków. Dzisiaj nawet na zachodzie Ukrainy, w regionie uznawanym przez ostatnie lata za bastion agresywnego nacjonalizmu, uprawianie antypolskiej polityki nie przyniesie popularności. Tym bardziej w sytuacji zmian społecznych, bo prócz migracji zagranicznej Ukraina doświadcza ogromnej migracji wewnętrznej. Na zachód ze wschodu przemieszczają się ludzie, są przenoszone fabryki, znika wyraźny do wojny podział również w ocenie historii i geostrategicznych opcji, a kraj staje się bardziej jednorodny. Radykałowie tracą znaczenie i wpływy. Z jednym oczywiście wyjątkiem.

Można mówić o znaczącym, skokowym wzroście nastrojów antyrosyjskich. Ihor Terechow powiedział, że rada miejska Charkowa już przemianowała nazwy kilku głównych arterii. Zniknął Moskiewski Prospekt, zastąpiony przez Bohaterów Charkowa, zniknął Moskiewski Rejon i Białoruska Trasa. Przy czym nie była to decyzja wąskiej grupy polityków zasiadających w radzie miejskiej, ale 228 tys. mieszkańców, którzy wzięli udział w głosowaniu w tej sprawie. Ale to dopiero początek i z toponimii miasta i regionu zostanie wymazane wszystko, co ma związek z Rosją. W Stryju zdemontowano pomnik upamiętniający żołnierzy sowieckich, w Charkowie obalono statuę Aleksandra Newskiego. Na Ukrainie likwiduje się monumenty na cześć Puszkina, Czechowa czy Lwa Tołstoja. W Kijowie rozpoczęto przygotowania do likwidacji pomnika „trzech sióstr" symbolizującego jedność Rosji, Białorusi i Ukrainy. Dziś już takiej jedności nikt nie chce i nawet w najmniejszych miasteczkach są zmieniane nazwy ulic, placów czy skwerów, tak by nie kojarzyły się one z Rosją i przynależnością Ukrainy do „ruskiego miru". To z tego powodu w Odessie nie znajdziemy już ul. Mendelejewa czy Machaczkalskiej, bo rada miejska już zmieniła 117 nazw.

Wachtang Kipiani, redaktor naczelny czasopisma „Historyczna Prawda", powiedział w jednym z wywiadów, że wszystkie te na pierwszy rzut oka obojętne nazwy w rodzaju ul. Moskiewskiej czy zaułka im. Musorgskiego były znakami imperium i miały przyzwyczaić Ukraińców, iż są oni częścią rosyjskiego świata, a nie odmiennym narodem, z własną bogatą tożsamością i historią. To wszystko teraz w jego opinii się zmieni, bo Ukraińcy chcą radykalnego zerwania z wszystkim, co rosyjskie, i trwałego zakorzenienia na Zachodzie.

eprasa.pl 22b9a0cb92

ROZBRAT Z MOSKIEWSKIM PATRIARCHATEM

Zmianę nastrojów widać też w nadal silnej, bo mającej 12 tys. parafii i przy tym bardzo konserwatywnej Ukraińskiej Cerkwii Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego. Już 400 parafii przeszło w czasie wojny do Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, który powstał za czasów prezydentury Poroszenki i jest silnie skonfliktowany z tą częścią ukraińskiego prawosławnego świata, który uznaje zwierzchność Moskwy. Po tym jak patriarcha Cyryl wprost poparł wojnę i Putina, 16 ukraińskich eparchii, czyli biskupstw, z ogólnej liczby 53 przestało w modlitwach wymieniać jego imię, co w prawosławiu jest uznawane za poważne wykroczenie kanoniczne. Ale to nie jedyne świadectwo fermentu. 65 proc. duchowieństwa i kleryków we wschodniej, sumskiej eparchii, która bardzo ucierpiała w związku z agresją rosyjską, w głosowaniu opowiedziało się za rezolucją, w której wzywa się Ukraińską Cerkiew Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego do zerwania związków kanonicznych z Moskwą i uzyskania autokefalii, czyli niezależności. W takiej sytuacji metropolita Onufry został zmuszony do zwołania narady duchowieństwa i świeckich, której celem jest podjęcie decyzji co do dalszych kroków. Jak powiedział dziennikarzom BBC Kiryło Goworun, profesor teologii prawosławnej na Uniwersytecie w Sztokholmie, możliwe są dwa scenariusze – w świetle jednego na zapowiadanym synodzie, który ma się niedługo odbyć, jego uczestnicy skoncentrują się na narzekaniach, ale nie zdecydują się na radykalne posunięcia, ale równie prawdopodobne jest to, że zwycięży opcja uniezależnienia się od Moskwy.

PROUKRAIŃSKI ZWROT OLIGARCHÓW

Nawet wśród oligarchów widać zmianę nastawienia. Są co prawda tacy, jak Ihor Kołomojski, którzy zniknęli i od początku wojny nie wypowiadają się publicznie, jednak większość zachowuje się tak, jak Rinat Achmetow, najbogatszy Ukrainiec, który jest w Kijowie i oświadczył, że nie zamierza nigdzie wyjeżdżać. Swoje zaangażowanie sprzed 10 lat w prorosyjską Partię Regionów, na której czele stał Janukowycz, określił mianem pomyłki i dziś mówi, że zawsze był, jest i będzie proukraiński. Jego fundusz charytatywny wydał już 100 mln euro na pomoc dla najbardziej potrzebujących, a od Rosji ma zamiar wyprocesować „we wszystkich możliwych instancjach i wszystkich sądach świata" dziesiątki miliardów dolarów odszkodowań, bo na tyle szacuje straty swojego koncernu, który notabene był właścicielem słynnego Azowstalu. Przeniósł swoje firmy do zachodniej Ukrainy, dziś pracują one na pełną parę, wspierając ukraiński wysiłek wojenny, a także umożliwiając, np. w energetyce, normalne funkcjonowanie kraju. Jak deklaruje, „będziemy pomagać Ukrainie i Ukraińcom tyle, ile trzeba", a po zwycięskiej wojnie zapowiada przystąpienie do odbudowy kraju.

> Coraz więcej Ukraińców podkreśla, że za okropności wojny, bestialstwo rosyjskich wojsk i samą agresję odpowiadają „zwykli Rosjanie", a nie wyłącznie Putin i jego otoczenia. W kwietniu taki pogląd prezentowało 84 proc. ankietowanych

WIELKIE ZNISZCZENIA, WIELKA ODBUDOWA

Będzie to już inny kraj. Nie tylko dlatego, że skala zniszczeń jest gigantyczna. Jak oblicza ukraiński rząd, na odbudowę zniszczonej infrastruktury, budynków, szkół, fabryk potrzeba będzie już teraz – a przecież wojna się jeszcze nie skończyła – od 600 mld do 1 bln dol. Tylko w Charkowie zniszczonych zostało 100 szkół i 69 przedszkoli, nie zapominając o tysiącach domów. Jeśli plan odbudowy ma się udać i być skuteczny, to wiele musi się zmienić, w tym trzeba będzie zerwać z silnie zakorzenioną korupcją.

Ukraińcy mają świadomość zagrożenia, bo w jednym z niedawnych sondaży niemal 90 proc. ankietowanych opowiedziało się za konstrukcją prawną, w której o rozdysponowaniu funduszy na odbudowę decydowaliby ci, którzy pieniądze dają, a nie lokalne sitwy i układy polityczne. Ekipa Zełenskiego, nie wolna przecież od pokus i wpadek również i w tych kwestiach, wspiera ten antykorupcyjny trend. Nie wyłącznie z powodów altruistycznych, ale ma świadomość, że w przeciwnym razie pomoc może nie dotrzeć albo dotrzeć w mniejszym zakresie, albo zbyt późno.

Dobrym przykładem są tutaj wypowiedzi ministra obrony Ołeksija Reznikowa, który proponuje, by sojusznicy Ukrainy w ramach pomocy wojskowej uzbrajali, wyposażali i szkolili całe jednostki wojskowe, a nie przysyłali jedynie sprzęt i amunicję. Pomoc będzie z wojskowego punktu widzenia lepiej adresowana, a przy okazji ukraińska armia stopniowo będzie przechodziła na standardy i procedury NATO. Podobnie może być w gospodarce. Andrij Deszczyca, ukraiński ambasador w Polsce, mówi w wywiadzie dla portalu NV o tym, że trzeba się poważnie zastanowić nad wspólnymi przedsiębiorstwami polsko-ukraińskimi, w tym w sektorze zbrojeniowym, które mogłyby zdobywać światowe rynki. Zaznacza też, że docelowo granica między Polską a Ukrainą powinna przestać istnieć. Niedawne, wypowiedziane 3 maja słowa Andrzeja Dudy na ten temat wywołały na Ukrainie wiele pozytywnych komentarzy i były szeroko dyskutowane.

Wszystko to oznacza, że Ukraina chce się zmienić i wie, że musi się zmienić. Przed nią gigantyczny wysiłek, nie tylko niezbędny, by zwyciężyć w wojnie, lecz także potrzebny po to, by zmodernizować i odbudować państwo. Ten proces, niewolny przecież od zagrożeń, jest też – zarówno dla Ukrainy, jak i jej europejskich sąsiadów – wielką szansą. Być może będziemy w stanie razem zbudować coś nowego.

Reklama | 38/0522/F

eprasa.pl 22b9a0cb92

asa.pl 22b9a0cb92

W ZHP od dłuższego czasu nie dzieje się dobrze. Harcerze wprost mówią, że istniejący od ponad 100 lat związek coraz bardziej odchodzi od ideałów, na których był budowany. A dopuszczenie alternatywnej wersji przyrzeczenia, w którym nie trzeba już powoływać się na Boga, to jaskrawy tego przykład

Krzysztof Pater

Druh mimo Boga

MARCIN WIKŁO

Niedawny zjazd Związku Harcerstwa Polskiego i decyzje, które na nim zapadły, każą być pesymistą. – Był taki czas, gdy słusznie nazywano nas „czerwonym harcerstwem", gdy na Boga się nie przysięgało. Ale to była komuna. Przykro, że właśnie do tego chcemy wracać – mówi mi jeden z instruktorów, który był na zjeździe. Gdy przyszło do głosowania nad nową wersją treści przyrzeczenia, został z mniejszością. Dziś już młodzi druhowie i druhny nie muszą przysięgać „na Boga". Mają wybór.

Pierwsza wersja roty brzmi: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym/posłuszną Prawu Harcerskiemu". Druga wersja z kolei to: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Polsce, stać na straży harcerskich zasad, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym/posłuszną Prawu Harcerskiemu".

LOGIKA CZY WSPÓLNOTA?

– Gdyby przyjąć to tylko na logikę, to może i ma sens. Nie każdy, kto chce być harcerzem, musi być wierzący. Ja tu jednak widzę wyzbywanie się elementu tradycji, który w harcerstwie ma swoją niezaprzeczalną wartość. Podstawą ruchu skautowego od początku jego istnienia były dwa filary: Bóg i Ojczyzna – mówi nam ks. Tomasz Trzaska, kapelan Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL oraz instruktor harcerski ZHP. I przestrzega przed obranym teraz kierunkiem. – Dzisiaj dajemy dowolność w odwołaniu się do Boga, chociaż tu chodzi o coś więcej niż samo słowo. Czy za chwilę nie będziemy rezygnowali z krzyża harcerskiego, bo to symbol, który może kogoś wykluczyć? A może będzie harcerstwo bez mundurów? Zrywane są po kolei drobne niteczki, które nas łączą, dzięki którym tworzymy wspólnotę.

Harcerze, z którymi rozmawiam, odsyłają mnie do nowego przewodniczącego. Został nim kilkanaście dni temu hm. Krzysztof Pater. W rozmowie z tygodnikiem „Sieci" tłumaczy, że celem dopuszczenia dwóch możliwości przyrzeczenia harcerskiego było „stworzenie formuły, w której każdy będzie kierował się wartościami skautowymi, ale będzie też postępował z własnym sumieniem".

– Jeszcze kilka lat temu nikomu by nie przyszło na myśl, by w ogóle proponować coś takiego jak wersję roty przysięgi harcerskiej „bez Boga". Nie da się jednak

Fot. PAP / Leszek Szymański, Fratria

eprasa.pl 22b9a0cb92

zaprzeczyć, że laicyzacja grup społecznych, szczególnie młodzieży, następuje w ogromnym tempie – mówi tygodnikowi „Sieci" bez emocji hm. Krzysztof Pater. Przypomina, że podobna propozycja pojawiła się na zjeździe w 2017 r., ale upadła. W obecnym głosowaniu przewodniczący widzi więc odzwierciedlenie nastrojów społecznych, a także kumulację emocji, która wybuchła w dyskusji przed decyzją. – Było nerwowo. Padły słowa w stylu, że „nie ma przymusu, jak ktoś nie wierzy, to nich sobie idzie gdzie indziej". Myślę, że zadziałał instynkt obronny, taki ton zmotywował tych, którzy chcą nie zakazów i nakazów, ale dowolności – dodaje Pater.

– Praktyka wygląda tak, że mamy w swoich szeregach harcerzy niewierzących i to szanujemy. Z drugiej strony oni chodzą z nami do kościoła, ale po prostu nie biorą udziału w liturgii. Czy naprawdę była potrzebna decyzja zjazdu, by zmieniać coś, co nie jest problemem? Gdy wejdziemy za bardzo w szczegóły, to może nas to zgubić – przestrzega Beata Jabłonowska-Naumuk, drużynowa 63. Drużyny Harcerskiej Szare Szeregi im. Henryka Kończykowskiego ps. „Halicz" z Dziwnowa.

Kolejny z instruktorów mówi nam, że kłopotem jak w innych dziedzinach życia w Polsce staje się swego rodzaju „tęczowy terror". – Druhny czasem wymagają, by zwracać się do nich bezosobowo, bo wskazanie płci „je naznacza". Wydaje mi się, że wszystkie problemy biorą się z tego samego źródła, ze zideologizowania, któremu Bóg stoi na drodze. Harcerstwo właśnie takie miało nigdy nie być. Dokąd my zabrnęliśmy? – zastanawia się harcerz ZHP z Warszawy.

Harcmistrz Pater mówi nam także, jak widzi swoją misję: – Chcę mieć oczy i uszy otwarte, żeby nikt nie czuł się wykluczony.

I tutaj pojawia się kolejny, być może większy problem. Słyszę, że nowy przewodniczący mimo ładnych zapowiedzi nie daje gwarancji komfortu wszystkim, a na pewno pod jego rządami nie będzie ochrony konserwatywnych wartości.

PRACA Z NINĄ

Po wyborze Krzysztofa Patera na przewodniczącego ZHP zawrzało, szczególnie w internecie. Na forach harcerskich pojawiły się komentarze, że to nie jest człowiek, który powinien mieć wpływ na wychowanie 100-tys. rzeszy młodzieży skupionej w związku wywodzącym się z konserwatywnego brytyjskiego skautingu. Przypomniano mu karierę w PZPR i udział w rządzie SLD – u premiera Marka Belki był ministrem polityki społecznej. Największe oburzenie wywołała jednak informacja, że był zarejestrowany jako TW „KRX". Miał zostać pozyskany 28 czerwca 1989 r., a rezygnacja z jego usług miała nastąpić 30 stycznia 1990 r.

– Moje życie jest moją wizytówką. Na temat mojej teczki TW wypowiadałem się wielokrotnie. Byłem poddany procedurze lustracyjnej, gdzie rzecznikiem interesu publicznego był sędzia Bogusław Nizieński. Wszyscy zdają sobie sprawę z jego bezkompromisowości, gdy on miał jakiekolwiek wątpliwości, od razu wysyłał sprawę do sądu. Ja mam czyste sumienie. Przez całe życie szukałem z ludźmi porozumienia – tłumaczy Krzysztof Pater. W 2001 r. złożył oświadczenie lustracyjne, w którym stwierdził, że nigdy świadomie nie współpracował z bezpieką. Przyznaje, że z racji obowiązków służbowych kontakty z MSW miał.

W archiwach IPN poza kartą rejestracyjną nie ma innych dokumentów dotyczących działalności TW „KRX", zostały zniszczone. Jest jednak dopisek, że współpracownik „został pozyskany do sprawy »Nina«". Jak czytamy w aktach, w 1989 r. „uzyskano szereg informacji wskazujących na prawdopodobieństwo czerpania korzyści materialnych przez niektórych pracowników Departamentu Prawnego Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą w związku z prowadzeniem przez nich spraw związanych z udzielaniem jednostkom gospodarki nieuspołecznionej koncesji na obrót towarowy z zagranicą".

Jednym z głównych podejrzanych był Waldemar Popiołek, pracownik departamentu prawnego MWGzZ, który „przyczynił się do udzielenia koncesji firmie Informa, której udziałowcem jest jego żona Zofia Czechowska-Popiołek". Znając specyfikę PRL-owskich urzędów, trudno nie zrozumieć, o co chodzi w takiej charakterystyce pracownika: „Popiołek ma tendencje do komplikowania spraw związanych ze złożonym wnioskiem oraz – pozornie bez żadnego związku – narzeka na »ciężkie życie«, co mogło być odczytane jako »przymilanie się« o łapówkę".

O wiele więcej materiałów zgromadzono jednak w sprawie Niny Targos, która w tym samym ministerstwie kierowała sekcją ds. koncesji. Począwszy od precyzyjnego wywiadu wśród sąsiadów: „Nie dba o wychowanie syna, materialistka, lubi towarzystwo mężczyzn dobrze sytuowanych", a skończywszy na konkretnych przykładach spraw, które miała przyspieszać i otrzymywać za to pieniądze i prezenty. W jednym przypadku było to „2 mln zł i narty marki Fischer". Ten wydział w ministerstwie był objęty dokładną inwigilacją bezpieki. W jednym z raportów z 1990 r. zachowanych w aktach IPN odnajdujemy nazwisko Krzysztofa Patera: „Z danych operacyjnych wynika, że przyjął ok. 100 tys. zł od bliżej nieustalonej firmy polonijnej za szybkie wydanie koncesji".

Zarzut został sformułowany na podstawie notatki pracującego w resorcie tajnego współpracownika, który miał doskonałe rozeznanie w panujących wewnątrz relacjach i zwyczajach. „Krzysiu z punktu wyczuł, że tu można sobie

eprasa.pl 22b9a0cb92

dorobić i pozawierał szereg umów z właścicielami spółek. [...] załatwił od ręki koncesję dla firmy zagranicznej (której właścicielem był Turek czy Arab). Od pełnomocnika wziął 50–100 tys. zł. Za dwa czy trzy dni Targos została ostrzeżona przez właściciela innej firmy, że ów Arab chełpi się, że za 700 tys. dostał koncesję od ręki. Sprawdziła, że Krzysio to załatwiał, i ostrzegła jego (oraz zbeształa). Pełnomocnik wziął 700 tys. od właściciela, dał jemu marny grosz i »bomba« może lada moment wybuchnąć. Sprawa jest ewidentna (że załatwiono błyskawicznie)".

– To nieprawda. Nie miałem z tym nic wspólnego. A poza tym ja nie wiem, za co oni płacili. Przecież w tym czasie uzyskanie koncesji było formalnością, tylko trzeba było spełnić wymogi formalne – zaprzecza stanowczo Pater.

KARIERA W URZĘDZIE

Analiza wewnątrzresortowa sporządzona w maju 1990 r. przez kpt. L. Brzezińskiego, inspektora w wydziale VII departamentu V MSW mówi jasno, że w ministerstwie „uprawiany jest proceder przyjmowania korzyści majątkowych". Spośród 800 firm, które otrzymały w tym czasie koncesję na handel zagraniczny, łatwo wskazać te, których przypadki były „nietypowo załatwiane". Szczegółowe zeznania w sprawie operacji „Nina" wskazują jednoznacznie, że uzyskanie koncesji jednak taką zwykłą formalnością nie było. Biznesmeni zeznają, że urzędnikom dawali pieniądze (od 300 tys. zł do blisko 1 mln starych złotych) oraz prezenty (magnetowid, mikrokomputer Atari lub ZX Spectrum, kosmetyki), które bywały później sprzedawane na targowiskach albo przy pomocy zaprzyjaźnionych ekspedientów w sklepach Baltona.

– Nina była moją szefową. Gdy wróciłem z wojska, chciałem trafić do komórki, w której pracuje się z językiem obcym. Powiedziano mi, że w wydziale obsługującym firmy zagraniczne jest miejsce, ale najpierw muszę pomóc koleżance uporać się z gigantycznymi zaległościami w wydawaniu koncesji. Siedziałem więc i robiłem to, by jak najszybciej z problemem się uporać. I w krótkim czasie ten natłok został usunięty. Rzeczywiście przyspieszyliśmy, może to komuś było nie na rękę? – zastanawia się Pater.

Częściowe potwierdzenie tych słów znajdujemy w dokumentach z IPN: „Krzysztof pomagał jej w pracy przez okres trzech miesięcy w końcu ub.r. Od września do połowy grudnia [1989 – przyp. red.]. Przez pierwszy miesiąc pracy ona podpisywała koncesje, które od wydawał. Potem on sam podpisywał pod jej pieczątką w zastępstwie i ona nie wtrącała się do spraw załatwianych przez niego (tyle że pouczyła jego, żeby był ostrożny)" – czytamy w notatce. I dalej: „A poza tym miał jej ułatwić załatwienie pracy w nowo powstałej Agencji ds. Inwestycji Zagranicznych. Umówiona już była z prezesem agencji na rozmowę. Akurat ją aresztowano i nie doszło do rozmowy". Pater przyznaje, że po zatrzymaniu Niny Targos nikt ze współpracowników nie interesował się dalszymi losami „koleżanki".

> Po wyborze Krzysztofa Patera na przewodniczącego ZHP zawrzało. Na forach harcerskich pojawiły się komentarze, że to nie jest człowiek, który powinien mieć wpływ na wychowanie 100-tys. rzeszy młodzieży

JAKI KIERUNEK?

Wszyscy moi rozmówcy przyznają, że władzom ZHP od dawna nie jest po drodze z wartościami konserwatywnymi, na których ruch skautowy opierał się od początku. – Staram się nie wchodzić na szczebel polityczny, ale jest coraz trudniej. Dzisiaj w ZHP jest za dużo polityki, za dużo stanowisk, prestiżu i pieniędzy, a za mało pracy z dziećmi i młodzieżą – przyznaje z żalem Beata Jabłonowska-Naumuk.

Wielu harcerzom nie jest łatwo znosić polityczne wyskoki innych druhów. W 2016 r. komendantem opolskiej chorągwi ZHP został hm. Adam Mazguła. Szybko zrobiło się o nim głośno. Był bardzo aktywny w politycznych, antyrządowych wystąpieniach Komitetu Obrony Demokracji. Coś pękło, gdy na manifestacji byłych esbeków publicznie nazwał stan wojenny „kulturalnym wydarzeniem". ZHP oficjalnie się od tych słów odciął i to wtedy zaczęła się na serio dyskusja, czy związek ma iść właśnie w tym kierunku. Czy chce mieć taką twarz, czy zdoła jeszcze z tej drogi zawrócić? Wniosków brak.

Efekt tych podziałów już widać. Niedawno od hufca ZHP w Kędzierzynie-Koźlu odłączyły się cztery drużyny. „Powodów jest sporo, brak wizji wspólnej przyszłości, brak wspólnej pasji, do tego wieloletnie spory" – mówi portalowi kk24.pl Jakub Gomuła, koordynator stowarzyszenia Harcerska Organizacja Wawelberg. Kolejny przykład, tym razem z Legnicy: „W akcie protestu przeciw działaniom chorągwi trzy czwarte instruktorów w legnickim hufcu zrezygnowało z funkcji. Zakładają własne stowarzyszenie harcerskie, bo – jak mówią – w ZHP nikt już się nie liczy z dobrem dzieci" – czytamy na 24legnica.pl.

Związek Harcerstwa Polskiego istnieje tak długo, że jego losy to wielokrotne przemieszanie blasków i cieni. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że to historia Polski w soczewce. Da się tu odnaleźć piękne, przedwojenne wychowanie, a także zakłamanie mrocznych czasów PRL. – Ale z tego samego ZHP wywodzili się np. Rudy, Zośka i Alek, wielu uczestników powstania warszawskiego. Czy to zła tradycja? Polska przez lata była zniewolona przez Sowietów, ale czy to znaczy, że należało się z niej wypisać? – pyta mnie jeden z instruktorów zagadnięty o spuściznę czasów komunistycznych. Problem widzi w czymś innym. W tym, czy te złe czasy odejdą, czy związek będzie chciał do nich, choćby symbolicznie wracać. – Jeśli tak, to najlepsza szkoła braterstwa, patriotyzmu, solidarności i służby – Bogu i Ojczyźnie – rzeczywiście rozpłynie się w świecie, który zasad potrzebuje coraz mniej.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Marszałek Grodzki trwoni autorytet Senatu

Większość senacka rzeczywiście próbuje tworzyć państwo w państwie, wychodząc poza prerogatywy, które daje nam konstytucja. To zła droga, trzeba z niej zawrócić. Ale mam nadzieję, że to będzie tylko epizod i po kolejnych wyborach wrócimy do najlepszych senackich tradycji

Fot. Andrzej Wiktor

Jacek Karnowski rozmawia z Marią Koc, senator Prawa i Sprawiedliwości

Jak to jest pracować w Senacie, któremu marszałkuje Tomasz Grodzki? Jak to wygląda od środka?

Wielu senatorom, w tym mnie osobiście, ciąży to, co dzieje się wokół marszałka. Chcielibyśmy, by na czele naszej izby stała osoba, wobec której nie ma żadnych zarzutów, by nie było takiego zamieszania wokół trzeciej osoby w państwie. Wszystko to ciągnie się już ponad rok, marszałek nie chce się zrzec immunitetu, a większość senacka odrzuciła wniosek prokuratury. I jesteśmy, gdzie jesteśmy.

Senatorowie zapoznali się z wnioskiem prokuratury, która zarzuca marszałkowi Grodzkiemu przyjmowanie korzyści majątkowych w czasie, gdy pracował w szczecińskim szpitalu. Jakie są pani wrażenia po lekturze dokumentów?

Zapoznałam się z tymi materiałami i na jedno zwróciłam uwagę: te zeznania składają ludzie, którzy nie ukrywają się za żadnym immunitetem, którzy nie są anonimowi. To ma swoją wagę i to bardzo porusza. I na pewno nie powinno pozostać bez odzewu.

Marszałek Grodzki zachowuje się jednak tak, jakby naprawdę był przekonany, że tych zdarzeń nie było. To tylko gra polityczno-aktorska czy też rodzaj amnezji? Nie widać choćby poczucia zażenowania czy zawstydzenia.

Nie wiem. To znany lekarz, profesor medycyny, który mierząc się z takimi zarzutami, ma tak naprawdę tylko jedno wyjście: zrzec się immunitetu i wyjaśnić sprawę przed sądem. O niczym nie przesądzam, ale ta sprawa kładzie się cieniem na cały życiorys marszałka i również na Senat. Marszałek Grodzki powinien się skonfrontować z ludźmi, którzy postawili mu tak poważne zarzuty.

W jakim stopniu Senat, zarządzany przez obecną opozycję, to wciąż „izba refleksji"?

eprasa.pl 22b9a0cb92

W niewielkim. Atmosfera pracy jest inna niż w poprzednich kadencjach. Zawsze były podziały polityczne, ale temperatura sporu i debaty w Senacie zawsze była znacznie niższa niż w Sejmie. Wszyscy się bardzo pilnowali, by dyskusje były spokojne, merytoryczne, by pewnych granic nie przekraczać, by wzajemnie się nie obrażać. Teraz, gdy np. przemawiają ministrowie, to po stronie większości senackiej słychać krzyki, śmiechy, szyderstwa, docinki. Mnie to bulwersuje. Można się zgadzać, nie zgadzać, ale to powinno odbywać się kulturalnie. My powinniśmy dawać przykład.

Opozycja ma kawałek władzy i odreagowuje swoje frustracje, pokazując przy okazji brak wychowania?

Być może to jest właśnie frustracja, być może pogarda dla przeciwnika politycznego. Ale ten brak kultury dotyczy również traktowania przez większość senacką marszałków wywodzących się z tejże większości. Przerywa się ich wypowiedzi, poucza, poprawia. Tego dawniej nie było. To brak szacunku także dla swoich.

Może więc trzeba – jak chciałby Paweł Kukiz – Senat zlikwidować?

Senat to piękne tradycje I i II Rzeczypospolitej, to najstarsza izba parlamentu. W tym roku mija 100 lat od odrodzenia Senatu po okresie zaborów. Ale Senat to także instytucja po prostu potrzebna w sferze stanowienia prawa. Powinno to być miejsce, w którym na spokojnie analizuje się ustawy, zwraca się uwagę na jakość stanowionego prawa, naświetla się nowe przepisy z różnych punktów widzenia. To dobrze służy ustawom. Jeśli jednak trwoni się autorytet, jeśli unika się konfrontacji z poważnymi zarzutami, co czyni teraz marszałek Grodzki, to rzeczywiście pojawia się problem.

Dziś Senat to nie tyle „izba refleksji", ile ośrodek mający ambicję tworzenia alternatywnego, równoległego państwa.

Większość senacka rzeczywiście próbuje tworzyć państwo w państwie, wychodząc poza prerogatywy, które daje nam konstytucja. To zła droga, trzeba z niej zawrócić. Ale mam nadzieję, że to będzie tylko epizod i po kolejnych wyborach wrócimy do najlepszych senackich tradycji.

Czy pani zdaniem ordynacja wyborcza do Senatu, zgodnie z którą mamy 100 okręgów i w każdym z nich wybiera się jednego senatora, powinna zostać zmieniona? Są takie pomysły.

Nie popieram ich. To, że okręgi senacki są małe, pozwala nam na rzeczywistą pracę w okręgu. W okręgach sejmowych nie ma takich możliwości, to są duże obszary. A jeśli jako senator odpowiadam za trzy powiaty – węgrowski, garwoliński i miński – to mogę być wszędzie obecna, mogę służyć pomocą samorządowcom, mieszkańcom, mogę mieć bezpośrednie relacje. To znacznie zwiększa skuteczność działania.

Jak się dziś żyje ludziom w powiatach węgrowskim, garwolińskim, mińskim? Czy po siedmiu latach od zmiany politycznej w 2015 r. widać zmiany także na dole? Czy udało się choćby spowolnić wyludnianie się miasteczek i wsi?

Tak, udało się ten proces przynajmniej spowolnić. Oczywiście mój region leży niedaleko stolicy i ona zawsze będzie

eprasa.pl 22b9a0cb92

przyciągała młodzież. Ważne, że wielu ludzi widzi szansę na dobre życie u nas, na miejscu, a niektórzy z tych, którzy wyjechali, wracają.

Dlaczego wracają?

Bo różnice ekonomiczne nie są już tak rażące, a żyje się u nas bezpieczniej, spokojniej, bliżej przyrody. Pandemia i lockdowny pokazały, co to znaczy własny dom, własny ogród. Upowszechniły zdalną pracę. No i najważniejsze: także u nas jest już praca, nawet w małych miejscowościach bezrobocie jest niskie. Owszem, pensje są niższe, ale koszty życia też nieco mniejsze.

Jakość życia na polskiej prowincji – nie używam tego słowa w jego znaczeniu pejoratywnym – rzeczywiście się poprawiła?

To są zmiany wcześniej niemal niewyobrażalne. Dzięki programom społecznym, z 500+ na czele, wiele rodzin złapało oddech. Gdy po raz pierwszy objęłam mandat senatora w 2014 r., wygrywając wybory uzupełniające, wiele osób przychodziło do mnie z prośbą o pomoc w znalezieniu pracy, prosząc o jakąkolwiek pomoc materialną. Przychodzili ludzie z dziećmi z niepełnosprawnością, którzy nie mieli na leki, którym pomoc społeczna dawała miesięcznie 150 zł.

Teraz nie ma już takich wizyt?

Właściwie nie ma. Znacznie mniej jest też biedy wśród osób starszych, zwłaszcza samotnych, kiedyś naprawdę powszechnej. Nie wszystkie problemy zostały rozwiązane, ale zmiana jest ogromna.

Czy Polacy widzą, że nie byłoby to możliwe, gdyby państwo polskie nie zwróciło się ku obywatelom, ku ich potrzebom?

Widzą. Oczywiście są też głosy krytyki, wiele osób źle znosiło ograniczenia związane z pandemią, a teraz wojna przyniosła inflację. Ale Polacy wiedzą, że żyje się im znacznie lepiej i że to zaczęło się w 2015 r., gdy państwo przestało służyć wyłącznie elitom. Imponujący jest również rozwój infrastruktury, dróg, kanalizacji, wodociągów, gazociągów, budowa szkół, przedszkoli, żłobków. To infrastruktura zapewnia dobrą jakość życia. Powstają drogi, na które ludzie czekali 30–40 lat. Ja sama się zastanawiam, jak to możliwe, że wcześniej nie było na nic pieniędzy, a teraz są? Pod rządami Zjednoczonej Prawicy rozwijają się nie tylko wielkie miasta, ale także nawet najmniejsze gminy. Oczywiście jeśli są tam ludzie, którzy umieją skorzystać z szansy, chcą współpracować.

O ile Warszawa i okolice są w czołówce europejskiej pod względem dochodu i bogactwa, to już dalej położone powiaty mazowieckie były do niedawna bardzo biedne. Czy z pani perspektywy podział Mazowsza miałby sens?

Zapoznałam się z materiałami prokuratury w sprawie marszałka Tomasza Grodzkiego i na jedno zwróciłam uwagę: te zeznania składają ludzie, którzy nie ukrywają się za żadnym immunitetem, którzy nie są anonimowi. To ma swoją wagę i to bardzo porusza. I na pewno nie powinno pozostać bez odzewu

Poza Warszawą i sąsiadującymi z nią powiatami Mazowsze jest nadal biedne. Dochód na mieszkańca nie jest wyższy, a może nawet jest niższy niż w Polsce wschodniej. Jednocześnie z racji tego, że Warszawa zawyża średnią i nie mogliśmy korzystać z programu „Polska Wschodnia", z którego sfinansowano wiele ważnych inwestycji w województwach lubelskim, podkarpackim, podlaskim, świętokrzyskim i warmińsko-mazurskim. Z perspektywy funduszy unijnych całe Mazowsze również jest bogatą jednostką. Na szczęście mamy Polski Ład, który te różnice w dostępie do środków wyrównuje, choć musimy gonić czas. Podział Mazowsza miałby więc głęboki sens. Opozycja jednak była i jest przeciw podziałom administracyjnym, a kilka lat temu sprzeciwiała się nawet podziałowi statystycznemu. Widocznie interes bogatej Warszawy jest dla niej ważniejszy niż interes biednego Mazowsza.

„Kraj za miastem", czyli wsie i miasteczka, nie może być też kulturalną pustynią. W Węgrowie, w którym pani

Fot. Andrzej Wiktor

Reklama | 57/0422/F

eprasa.pl 22b9a0cb92

mieszka i który pani reprezentuje w Senacie, 2 czerwca zacznie działać Centrum Dialogu Kultur, ulokowane w pięknie odnowionym budynku dawnego klasztoru ojców reformatów, czyli jednej z gałęzi franciszkanów.

Klasztor ojców reformatów w Węgrowie został wzniesiony na przełomie XVII i XVIII w. To piękny barokowy obiekt, ufundowany przez Jana Kazimierza Krasińskiego, wybudowany przez jego syna Jana Dobrogosta Krasińskiego. Tego samego, który zbudował pałac Krasińskich w Warszawie, zwany pałacem Rzeczypospolitej, dziś będący siedzibą Biblioteki Narodowej. Co ważne, Węgrów był miastem, w którym silne były wpływy reformacji i dlatego Krasińscy, zgodnie z myślą kontrreformacyjną, fundowali w tym mieście kościoły i klasztory. Kompleks poreformacki, o którym mówimy, powstał według projektu niderlandzkiego architekta Tylmana z Gameren, pracami kierowali przybyli z Włoch bracia Ceroni, a freski namalował Michelangelo Palloni. Bracia reformaci przebywali w klasztorze do 1864 r., w ramach represji po powstaniu styczniowym wyrzucono ich z Węgrowa.

Jakie były dalsze losy tego pięknego budynku?

W kościele była przez jakiś czas cerkiew. Po wojnie, gdy węgrowski kościół farny był w ruinie, świątynia pod wezwaniem św. Piotra z Alkantary i św. Antoniego z Padwy pełniła funkcję kościoła parafialnego dla całego Węgrowa. Potem cały kompleks poreformacki zamknięto. Dopiero w 1970 r. utworzono tam kościół rektorski, a jego rektorem został nieżyjący już ksiądz kanonik Zbigniew Latosi. Kapłan ten stał się legendą Węgrowa, był wspaniałym nauczycielem religii. Co ważne, o ile budynek kościoła był zadbany, to sam klasztor był potężnie zniszczony i zaniedbany.

I tak pewnie stałby sobie do dziś, gdyby nie grupa lokalnych pasjonatów, którzy podjęli się tego zadania?

Zaczęło się 10 lat temu. Pojawił się pomysł zawiązania stowarzyszenia, które pomogłoby księdzu proboszczowi w odbudowie klasztoru. Ksiądz dr Romuald Kosk natychmiast się zgodził, czym zyskał naszą sympatię i szacunek, oznaczało to przecież wielkie zobowiązanie i olbrzymi wysiłek. Zaczęliśmy konsekwentnie pracować nad pomysłem zagospodarowania budynku, nad funduszami. Te ostatnie po latach nieudanych starań dostaliśmy z Programu Współpracy Transgranicznej Polska–Białoruś–Ukraina 2014–2020. Znaleźliśmy też partnera po drugiej stronie granicy, w Rawie Ruskiej. Tam też jest klasztor, też poreformacki, też barokowy, który właśnie został zwrócony archidiecezji lwowskiej. Oba kompleksy były remontowane równocześnie. W tym po stronie ukraińskiej miał powstać dom dziecka dla sierot z Donbasu. Dziś wiemy już, że będzie to dom dla sierot wojennych z całej Ukrainy.

W Węgrowie powstanie Centrum Dialogu Kultur. Nazwa ładna, ale co konkretnie będziecie robili?

Centrum Dialogu Kultur ma być miejscem działań kulturalnych, edukacyjnych, społecznych, także miejscem współpracy polsko-ukraińskiej, w przyszłości mam nadzieję również z udziałem Białorusinów. Chcemy, by spotykali się tu młodzi ludzie. Mamy dwie sale konferencyjne, miejsca noclegowe dla ponad 40 osób. Chcemy, by to miejsce stale żyło. Chcemy pomagać uchodźcom, także tym, którzy nie przekroczyli polskiej granicy i schronili się na terenie zachodniej Ukrainy. Będziemy opiekowali się domem dziecka w Rawie Ruskiej. A w podziemiach już działa muzeum wielokulturowego miasta Węgrowa, w którym część ekspozycji jest poświęcona największej bitwie powstania styczniowego, czyli bitwie pod Węgrowem.

> Centrum Dialogu Kultur w Węgrowie, mieszczące się w odbudowanym klasztorze, ma być miejscem działań kulturalnych, edukacyjnych, społecznych, także miejscem współpracy polsko-ukraińskiej, w przyszłości mam nadzieję również z udziałem Białorusinów

Odbudowa klasztoru to dla pani dzieło życia?

Tak, to dla mnie coś ważnego. Ale to wielkie dzieło udało się za sprawą wysiłku osób, takich jak wspomniany wyżej ks. Kosk, koordynator projektu Marek Soszyński, kustosz naszego klasztoru dr Marek Sobisz, przewodnicząca rady parafialnej Elżbieta Filipek, historyk sztuki Roman Postek, Jolanta Dejtrowska, Piotr Grabek, Grażyna Dębska i wszyscy mieszkańcy Węgrowa wspierający to przedsięwzięcie. Chcę też podziękować pracowni architektoniczno-projektowej Renaty Jaszczur-Dębiec, która przygotowała projekt rewitalizacji, pracowni M-Projekt Rafała Miałkowskiego, która opracowała wizualizację, i firmie ZKM-Asis, która przeprowadziła rewitalizację.

Wspomniała pani o pomocy dla uchodźców. Czy fala solidarności z tymi, których dotknęła rosyjska agresja, objęła również takie polskie miasta jak Węgrów?

Fala solidarności od pierwszych godzin była imponująca. Ukraińców przyjęto serdecznie, bo to ludzie pracowici, uprzejmi, z którymi dobrze się rozumiemy. Część pojechała na Zachód, ale wraca, bo w Polsce czują się lepiej. Z moich trzech powiatów tylko w marcu i kwietniu wyjechało łącznie 46 busów z pomocą, głównie z żywnością, do Lwowa, Żółkwi, Rawy Ruskiej, Łucka. Na początku maja kolejne sześć busów do Łucka. Ludzie rozumieją, że Ukraina walczy również za nas, że to jest także nasza wojna. We wschodniej Polsce wszyscy wiedzą, że jeśli oni przegrają, to i my możemy stać się uchodźcami. A jeśli wygrają, to razem możemy zbudować coś, co zmieni układ sił w całej Europie.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Fałszywe wojny opozycji

Po stronie opozycji realnie nie dzieje się nic przełomowego, więc trzeba sugerować, że jednak się dzieje i toczą się wielkie bitwy

STANISŁAW JANECKI

Opozycja wie już dwie rzeczy: że prawie na pewno nie będzie wcześniejszych wyborów parlamentarnych ani nie dojdzie do jej zjednoczenia w postaci jednego bloku. Platforma Obywatelska i Donald Tusk zrozumieli, że za wcześnie wystartowali z kampanią wyborczą oraz zbyt nachalnie namawiali potencjalnych sojuszników do współpracy. Polska 2050 Szymona Hołowni nie ma nic nowego ani przełomowego do zaproponowania, więc raczej nie jest w stanie być ośrodkiem jednoczącym dla innych. Koalicja Polska realnie się nie powiększa, a miała stanowić trzon dużego bloku centrowo-konserwatywnego. Z kolei Lewica ma taki problem, że właściwie nikt nie chce zawierać z nią koalicji, gdyż można ideowo ewoluować w stronę lewicy (jak Platforma Obywatelska), ale nie brać na pokład lewicy już istniejącej.

To sprawia, że wszystkie te ugrupowania zaczęły prowadzić różne wojny zastępcze, najczęściej fałszywe. Chodzi o to, żeby lewarować własną pozycję, głównie przez to, że się jest w centrum uwagi opinii publicznej. Pod hasłem: niech gadają! Dobrze czy źle, byleby mówili. Byleby opinia publiczna żyła problemami, choćby wydumanymi, poszczególnych partii opozycyjnych i ich liderów oraz toczonych między nimi bitew, zwykle zza biurek. Milczenie nie jest w tym wypadku złotem, tylko zagrożeniem, nawet gdy opozycyjne partie nie mają żadnej nowej, a wręcz jakiejkolwiek oferty programowej. A najwięcej uwagi przyciągają konflikty i wojenki, choćby wykreowane bądź fałszywe. A nawet te fałszywe przyciągają większą uwagę, gdyż znacznie więcej czasu zajmuje ich zrozumienie niż w wypadku konfliktów prawdziwych.

Fot. Andrzej Wiktor x3

Bywa też tak, szczególnie w PO, że konflikty są prawdziwe, ale opisy ich skali są mocno przesadzone.

BITWA O WASZYNGTON

W Platformie Obywatelskiej istnieją realne konflikty, z tym głównym – między Donaldem Tuskiem a Rafałem Trzaskowskim i ich zwolennikami na czele. Ale przed wyborami w 2023 r. są bardzo małe szanse na to, że dojdzie do rozłamu albo secesji, bowiem wszyscy w te konflikty zaangażowani wiedzą, że to by pogrzebało szanse tego ugrupowania. Istotą sporu między Tuskiem a Trzaskowskim nie jest nawet to, kto formalnie będzie kierował Platformą, tylko kto będzie traktowany jak przywódca poza Polską. Ta część konfliktu jest więc całkiem realna, choć jego kształt całkiem zmistyfikowany. Bardzo niewiele osób w PO zdaje sobie sprawę, że chodzi o to, kto będzie traktowany jako lider partii i polityk o większym potencjale, ale nie w Warszawie, tylko w Waszyngtonie, Brukseli i stolicach największych państw europejskich.

Pozornie Tusk powinien mieć mocną pozycję w Brukseli, ale realnie tak nie jest, bowiem nie stoi już za nim Berlin. Odeszła z niemieckiej, a więc i europejskiej polityki patronka, mentorka i opiekunka Tuska, czyli Angela Merkel. A to sprawia, że jego wpływy w Brukseli są już bardzo słabe. Dla najważniejszych unijnych instytucji politykiem perspektywicznym z Polski nie jest Tusk, tylko Trzaskowski, którego zresztą nieźle znają. Jest też perspektywiczny dla Berlina, który z Tuska wycisnął już wszystko i na więcej raczej nie może liczyć. Berlin zaś może liczyć na Trzaskowskiego, który będąc jeszcze w głębokim cieniu Tuska, dawał liczne sygnały gotowości postawienia na Niemcy. Podobnie obecnego prezydenta Warszawy traktuje się w Paryżu. Dla obu stolic Tusk jest już passé, więc popieranie go w polskich wyborach byłoby postawieniem na złego konia. Trzaskowskiemu przypisuje się przy tym większą skłonność do realizowania życzeń Berlina i Paryża, żeby się zasłużyć i zyskać opiekę w przyszłości (choćby dla robienia europejskiej kariery). Z kolei Tuskowi nikt już niczego ważnego nie zaoferuje, a on sam jest traktowany, przede wszystkim w Berlinie, jako część nieistniejącego układu.

Tusk chciał sobie zrekompensować straty w Brukseli, Berlinie i Paryżu, specjalnymi relacjami z Waszyngtonem. Przychylność Waszyngtonu nie jest negatywnie odbierana, w przeciwieństwie do opieki Berlina. I tu pojawiły się trudności nie do przeskoczenia. Tusk bardzo chce zmienić orientację z Berlina na Waszyngton, a Trzaskowski ustawia się w poważnej polityce, zaczynając od Waszyngtonu. Tyle tylko, że w USA na Tuska już nikt nie stawia. Gdy 25–26 marca 2022 r. prezydent Joe Biden przebywał w Polsce, Tusk robił wszystko, by być przez niego przyjętym. Uruchomił wszystkie swoje kontakty, łącznie z wykorzystaniem TVN (należącego do amerykańskiego Discovery), wstawił się za nim ambasador USA w Warszawie Mark Brzezinski, ale Biały Dom i Departament Stanu nie były zainteresowane żadną formą wyróżnienia byłego przewodniczącego Rady Europejskiej, a obecnie lidera największej opozycyjnej partii w Polsce. Podczas swojej drugiej kadencji w Brukseli Tusk atakował politykę USA wobec Unii Europejskiej. A nawet dawał do zrozumienia, że Ameryka nie jest Unii do niczego potrzebna. Dla Waszyngtonu nie ma znaczenia, że w Białym Domu zasiadał wtedy Donald Trump. Ważne jest obrażanie instytucji prezydenta USA, podważanie roli tego państwa jako supermocarstwa, a nawet popadanie w antyamerykańską histerię. To spowodowało, że jeszcze jako szef Rady Europejskiej Tusk faktycznie zaczął być dla Waszyngtonu persona non grata. Tusk wie, że nie sposób sobie wyobrazić premiera bądź prezydenta Polski, a choćby kandydata na te stanowiska, który byłby nikim dla Waszyngtonu. Tym bardziej w czasie trwania wojny na Ukrainie. I tym bardziej, gdy relacje między prezydentem Andrzejem Dudą, premierem Mateuszem Morawieckim i szefem MON Mariuszem Błaszczakiem a prezydentem USA, jego administracją i amerykańskim establishmentem są najlepsze w historii po 1989 r.

> Istotą sporu między Tuskiem a Trzaskowskim nie jest nawet to, kto formalnie będzie kierował Platformą, tylko kto będzie traktowany jak przywódca poza Polską

DWA KAMPUSY

Donald Tusk chciałby się wzmocnić, mając dobre relacje z Białym Domem i jego gospodarzem, ale nie ma na to szans. A przez to jego możliwości są ograniczone także w Polsce. Tym bardziej że Waszyngton ma już partnera po opozycyjnej stronie – Rafała Trzaskowskiego. Spotkał się on z prezydentem Bidenem podczas jego wizyty w Polsce, był wysłuchiwany w Kongresie, występował w wielkich amerykańskich telewizjach. I Waszyngton uważa go za przyszłość, podczas gdy Tuska za przeszłość. Trzaskowski trafnie wybrał Waszyngton przed Berlinem, który dużo stracił po ataku Rosji na Ukrainę. Stawiając na Waszyngton, Trzaskowski słusznie założył, że to największy atut w rozgrywce z Tuskiem. W czasie wojny na Ukrainie i w przededniu prawdopodobnie dużych geopolitycznych wstrząsów oraz zmian polski polityk skreślony w Waszyngtonie nie ma właściwie żadnych szans, także w polskiej polityce.

Porażkę w reorientacji z Berlina na Waszyngton Tusk rekompensuje sobie podróżami po Polsce, najchętniej tej powiatowej, gdzie PO przegrywa z PiS. Problemem jest to, że Tusk nie przechwytuje tam wyborców PiS, tylko uwodzi lokalnych działaczy i działaczki PO. Ma to pewne znaczenie w rozgrywkach wewnątrz partii, ale nie wpływa na wyborcze szanse. Nie mogąc pokonać Trzaskowskiego za granicą, gdzie postawiono na prezydenta Warszawy, Tusk chce pokazać, że potrafi wygrywać

eprasa.pl 22b9a0cb92

z rywalem nawet na jego terenie i w kręgach jego zwolenników. Dlatego zamierza zorganizować imprezę konkurencyjną do Campusu Polska Przyszłości, nad którego drugą odsłoną Trzaskowski pracuje. Tusk chce swoją wersję imprezy zorganizować przed drugą imprezą Trzaskowskiego. To wszystko nie oznacza jednak, że PO się rozpadnie, albo że Trzaskowski zdecyduje się organizować nowe polityczne ugrupowanie razem z Hołownią, albo wręcz przejdzie do Polski 2050.

Konflikt Tuska z Trzaskowskim jest realny, ale zdecydowanie wyolbrzymiany. Celowo. Takie działanie ma zatrzymać uwagę wyborców i opinii publicznej przy PO oraz jej liderach, a także sugerować, iż w partii panuje bardzo daleko posunięta wewnętrzna demokracja. Chodzi o to, żeby przez miesiące poprzedzające kampanię wyborczą w publicznej debacie dominowały sprawy Platformy. A to byłoby niemożliwe bez atmosfery konfliktów, bowiem tylko skandale przyciągają uwagę, choćby były wykreowane. Skupienie uwagi na konfliktach i alternatywnych scenariuszach rozwoju sytuacji w PO i polskiej polityce ma zapewnić tej partii stałą obecność w społecznej świadomości i uczynić najważniejszym podmiotem nie tylko po stronie opozycji. Dodatkowo ma to wzmacniać kampania prowadzona przez Donalda Tuska, czyli jego podróże po kraju. A wkrótce ma też zacząć jeździć Rafał Trzaskowski, żeby reklamować swoją wersję kampusu. De facto mamy zatem podział ról, a nie wojnę, choć konflikt nie jest wymyślony.

RAZEM, CZYLI OSOBNO

Polska 2050 nie potrafi wyjść poza codzienne transmisje z życia Szymona Hołowni, więc wymyślono ofertę dla Rafała Trzaskowskiego. Miałby on stworzyć z Hołownią jakąś nową polityczną jakość i być kandydatem na premiera tej nowej inicjatywy. Jest mało prawdopodobne, że w realnych wyborach wspólne działanie Hołowni i Trzaskowskiego znacząco i trwale podniosłoby notowania i szanse Polski 2050 lub czegoś na jej bazie, ale dzięki mówieniu o wspólnym działaniu obaj politycy zyskują. A najwięcej Polska 2050 jako siła, która mogłaby wyrwać jednego z najważniejszych polityków PO. Przy okazji kreowania nowej siły politycznej zarówno liderzy, jak i ich zaplecze sprawdzają, jakie efekty może dać wspólne działanie, choćby w formie politycznych fantazji.

Hołownia musi grać na własną partię, bowiem nie przeszła ona jeszcze żadnego testu wyborczego. Gdyby przed wyborami rozpuściła się w jakimś szerszym bloku, byłoby i po partii, i po jej liderze. Samo dywagowanie o transferze Trzaskowskiego lewaruje Polskę 2050, można się więc spodziewać wrzucenia jeszcze kilku znanych nazwisk jako tych, które poszłyby za Trzaskowskim. W tym nie musi być nawet cienia prawdy, gdyż chodzi wyłącznie o skupienie na sobie uwagi i udawanie silniejszego, niż się faktycznie jest. Dotychczas Hołownia i jego partia byli znani z relacji z otaczającej ich rzeczywistości, czyli z czegoś, co nie tyle jest polityką, ile widowiskiem, przedstawieniem. Teraz chcą być postrzegani jako siła sprawcza polskiej polityki, jako realna alternatywa. A sensacyjna aura ewentualnej współpracy z Trzaskowskim oraz konfliktu na tym tle z PO i Tuskiem byłaby bardzo Hołowni na rękę, choć wygląda to na wojnę fałszywą.

> Polska 2050 nie jest w stanie wyjść poza codzienne transmisje z życia Hołowni, więc wymyślono ofertę dla Trzaskowskiego. Miałby on stworzyć z Hołownią jakąś nową polityczną jakość i być kandydatem na premiera tej nowej inicjatywy

Wielką potrzebę lewarowania własnej pozycji ma Koalicja Polska. Mijają kolejne miesiące, a ten blok zasadniczo się nie wzmacnia, nie staje się silnym ośrodkiem centrowo-konserwatywnym. Dlatego politycy skupieni w Koalicji Polskiej, a głównie ci z Polskiego Stronnictwa Ludowego podbijają swoją wartość w ewentualnych przetargach koalicyjnych po stronie opozycji, stwarzając fikcyjne byty. Przecież Centrum dla Polski to tylko inna nazwa kilku konserwatystów w Koalicji Polskiej, głównie uciekinierów z PO. Z drugiej strony, odcinając się od PO i Lewicy jako partnerów, Koalicja Polska sugeruje, że sama jest na tyle silna, iż nie musi się wzmacniać żadną partią czy blokiem o innym profilu ideowym. A gdyby do jakiejś fuzji doszło, Koalicja Polska i tak niewiele by traciła, za to zyskiwała rozgłos jako ugrupowanie będące w samym centrum negocjacji i mające większe znaczenie, niż faktycznie ma.

Lewica, która jest dla innych atrakcyjnym partnerem tylko w jednym wielkim bloku opozycji, a ten jest bardzo mało prawdopodobny, stwarza legendy o własnej ważności i wartości. Nie potrafi z żadną partią dogadać się na bilateralną współpracę, więc lewaruje swoją wartość jako języczek u wagi, zarówno w przedwyborczej koalicji, jak i w powyborczych układankach. Niby jest na ideologicznej wojnie z Koalicją Polską i Koalicją Obywatelską, ale tylko czeka na znak i dobre warunki. Włodzimierz Czarzasty mówi wprawdzie, że nikt go nie zmusi do złego wyboru, gdy chodzi o wspólny blok, ale to tylko kwestia ceny i gwarancji sprawiedliwego podziału dotacji i subwencji po wyborach.

Po stronie opozycji realnie nie dzieje się nic przełomowego, więc trzeba sugerować, że jednak się dzieje, jest dramaturgia, są akcje, które wyborcy i opinia publiczna powinni śledzić z zapartym tchem. To ma skupić uwagę na opozycji i jej poszczególnych ugrupowaniach, a także przykryć brak porozumienia i pozorność dotychczasowych działań. Po stronie opozycji mamy zatem fałszywe wojny próbujące zmylić PiS i zamieszać w głowach wyborcom.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Dlaczego po dziesięciu latach kierowania tygodnikiem „Newsweek" pozbyto się z niego Tomasza Lisa?

Upadek niezatapialnego

WOJCIECH BIEDROŃ

Zaledwie 255 znaków liczyło pożegnanie Tomasza Lisa z czytelnikami tygodnika „Newsweek", które opublikował on na Twitterze 24 maja. Potem znany dziennikarz zniknął, co jest sytuacją w jego przypadku szczególną. Naczelny znanego tygodnika przyzwyczaił już nas do nawet kilkunastu wpisów dziennie w mediach społecznościowych. Czego boi się dziś niegdyś wszechwładny publicysta, którego słowa często były wyrocznią nie tylko dla liberalnych i lewicowych mediów, lecz także dla polityków? Afera związana z niewłaściwym zachowaniem wobec podwładnych? Zmęczenie materiału? A może stan emocjonalny dziennikarza?

„Jest czas powitań i czas pożegnań. Serdecznie dziękuję moim koleżankom i kolegom z »Newsweeka« za 10-letnią wspólną pracę, fascynującą przygodę w niezwykłych czasach. »Newsweek« jest w doskonałych rękach i ma przed sobą świetną przyszłość. Powodzenia" – napisał Tomasz Lis w mediach społecznościowych, a wpis ten wywołał falę komentarzy i spekulacji. Dziś wiemy już, że optymistyczny tweet był dobrą miną do złej gry, a forma pozbycia się Lisa z wydawnictwa Ringier Axel Springer Polska (RASP) wskazuje bardziej na pognanie, a nie czułe pożegnanie wieloletniego pracownika.

NIETYKALNY NA DWORZE

O Tomaszu Lisie mówiono, że jest „nietykalny", a jego pozycja w niemiecko-szwajcarskim koncernie z udziałem kapitału amerykańskiego (to ważne) jest równie mocna co fundamenty okazałego biurowca, w którym mieści się siedziba firmy. Jeszcze w ubiegły poniedziałek Tomasz Lis z kamienną twarzą prowadził redakcyjne kolegium. Nic nie zapowiadało, że już następnego dnia przestanie być jednym z najbardziej wpływowych ludzi w polskiej prasie. Czy spodziewał się zwolnienia? Z naszych ustaleń wynika, że miał już pełną wiedzę o tym, że jego pozycja w firmie jest zagrożona. Inaczej było z jego współpracownikami, dla których koniec epoki Lisa był szokującym zaskoczeniem.

– Nikt z nas nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Przecież odbyło się normalne poniedziałkowe kolegium. Nie przedstawiono nam nowego naczelnego, a przecież jest to wbrew korporacyjnym zwyczajom w naszej firmie. Oświadczenie Dekana [Mark Dekan, prezes wydawnictwa – przyp. red.] przez komunikator? To jakaś kpina – mówi nam jeden ze współpracowników „Newsweeka". Podobne wypowiedzi zapełniają dziś serwisy i komentarze w internecie.

Czy słusznie dziwią się dziś „wyznawcy" Tomasza Lisa? To określenie używamy nieprzypadkowo. Lis był otoczony ludźmi nim zachwyconymi, bezkrytycznymi, często w tym kontekście mówiono o dworze. To z tym gronem rozmawiał, planował i zawierał sojusze. Reszta była tylko tłem, nieistotnym dodatkiem. Członkowie tego dworu to całkowicie pozbawieni refleksji medialni żołnierze, znani z radykalnej niechęci wobec Zjednoczonej Prawicy, za to z sentymentem wspominający czasy Donalda Tuska.

W tym towarzystwie według naszych rozmówców Tomasz Lis całkowicie zatracił poczucie rzeczywistości. Także w mediach społecznościowych jego wpisy były coraz bardziej zajadłe, wręcz szaleńczo emocjonalne. Atakował nie tylko polityków, lecz także tzw. symetrystów, czyli ludzi, którzy sami siebie opisują jako stojących pośrodku polskich sporów. Ich krytyce poświęcał coraz więcej czasu i energii. W pewnym momencie ta krucjata przybrała formę obsesji. Sławny niegdyś publicysta i reporter na oczach całej Polski zamieniał się w internetowego mema. Szczególnie młodsi dziennikarze, z wyraźnie lewi-

Fot. Wojciech Strozyk/REPORTER

eprasa.pl 22b9a0cb92

cowymi poglądami, nie kryli swojej niechęci i zażenowania. Z czasem zaczęli się śmiać z byłego mentora.

JEDYNY SPRAWIEDLIWY

Szczytem i jednocześnie ostatnim akordem tej wściekłej wojny był ostatni wstępniak Tomasza Lisa dla „Newsweeka". W obszernym tekście uderzył w niemal wszystkich. Dostało się oczywiście „Sieci", ale to nie dziwi. Na odlew walnął też w dziennikarzy TVN24, portal wp.pl, radio RMF FM. „Działa redaktor »Suwart«, który dba o to, by internetowy portal [wp.pl – przyp. red.] dostał milion. Redaktor konsultant Dworczyka [Krzysztof Skórzyński – przyp. red.] po kilkutygodniowym przewietrzeniu na skoczniach narciarskich jakby nigdy nic powrócił na antenę. Przecież nic się nie stało, prawda? Rządowi konsultanci [Robert Mazurek – przyp. red.] doradzają władzuni, czy usunięcie z radiowej Trójki legendarnego Wojciecha Manna bardziej się władzy opłaci, czy jej zaszkodzi. I mają się świetnie" – ferował wyroki Lis.

Ten tekst słusznie jest dziś nazywany pożegnaniem Tomasza Lisa, który stawia się w roli jedynego sprawiedliwego, niezłomnego. A to, że pali tym tekstem mosty? Tym lepiej! Były naczelny „Newsweeka" wiedział już, że zebrały się nad nim ciemne chmury. Czuł, że wkrótce straci pracę w wydawnictwie. Czy agresywnym wstępniakiem chciał się wykreować na męczennika? To bardzo prawdopodobne. Sam Lis milczy na temat swojego „odejścia" z tygodnika. Pewne jest jednak, że wstępniak nie był powodem usunięcia dziennikarza z tygodnika, to raczej skutek, a nie przyczyna.

Tymczasem ten sposób prowadzenia „Newsweeka" – autorytaryzm w zarządzaniu zespołem i brak dbania choćby o pozory obiektywizmu – nie umykał uwadze polskiemu szefostwu koncernu. Okazuje się, że docierały do władz wydawnictwa sygnały dotyczące różnych nieprawidłowości.

NIEWŁAŚCIWE ZACHOWANIA? KOMISJA?

Chodzi o możliwe niewłaściwe zachowania w redakcji Tomasza Lisa. Nowe światło na tę sprawę rzuciła redakcja magazynu „Press". Jego dziennikarze przesłali do RASP zapytanie, czy w związku z zachowaniem Tomasza Lisa w redakcji nie toczy się jakaś wewnętrzna kontrola. Jak odpowiedział koncern? W ociekającej korporacyjną nowomową odpowiedzi nie zaprzeczono sugestii zawartej w pytaniu. „W naszej firmie od dawna prowadzone są działania mające na celu zapobieganie nieprawidłowościom. Jeśli ktoś z firmy zachowuje się niezgodnie z prawem lub w sposób nieetyczny, każdy pracownik może osobiście lub w pełni anonimowo zgłosić taką sytuację za pośrednictwem specjalnego systemu. Wówczas wiadomość zostaje przekazana do rozpatrzenia przez odpowiednie osoby. Na podstawie zgłoszenia zostaje powołana komisja, która bada okoliczności zdarzenia. Wyniki postępowania pozostają poufne, konkluzje są przekazywane jedynie osobom, których sprawa dotyczy lub które brały udział w postępowaniu jako świadkowie. Z uwagi na delikatny charakter zgłaszanych spraw, nie upubliczniamy informacji, które dotyczą postępowania – ani osobowo, ani przedmiotowo" – napisano w odpowiedzi na zapytanie magazynu branżowego.

> Czy Tomasz Lis wróci do pierwszej ligi dziennikarstwa? To bardzo wątpliwe. A może trafi do polityki? W hołubionej przez niego PO niestety go nie chcą

Forma, natychmiastowość i korporacyjna brutalność rozwodu z Tomaszem Lisem wskazują, że musiało wydarzyć się coś nagłego. Zresztą wystarczy posłuchać relacji byłych współpracowników Lisa, by dostrzec, że prowadził swoje redakcje bardzo twardą ręką. Pracownicy miewali w nich poczucie upokorzenia, ośmieszenia. Może Lis nie zauważył, że świat się zmienia? To, co jeszcze dekadę temu było nazywane „charyzmą" i przykrywane milczeniem, dziś nie jest akceptowalne.

Gorzko przekonał się o tym były pracodawca Lisa w Niemczech. Chodzi o słynną aferę z byłym naczelnym niemieckiego „Bilda", największej europejskiej gazety codziennej. Na początku roku w mediach za zachodnią granicą pojawiły się zarzuty wobec obecnego kierownictwa koncernu, z których wynikało, że korporacyjne szychy miałyby ukrywać szokujące praktyki w relacjach z pracownikami byłego naczelnego niemieckiej bulwarówki. Dyskusja na ten temat trwa do dziś. Firma jest więc „uczulona" na wszelkie sygnały dotyczące niewłaściwych form zachowania szefów. Być może ktoś poskarżył się na zachowanie naczelnego „Newsweeka", a koncern, nie chcąc ryzykować, przeciął temat, pozbywając się Tomasza Lisa z firmy. Możliwe, że uznano, iż zarzuty wobec redaktora naczelnego mają poważne podstawy? Jedno jest pewne – do koncernu nigdy nie wróci. Taka jest polityka tej firmy.

Czy Tomasz Lis wróci do pierwszej ligi dziennikarstwa? To bardzo wątpliwe. A może trafi do polityki, swego czasu miał takie ambicje? W hołubionej przez niego Platformie Obywatelskiej niestety go nie chcą, z wyjątkiem posła Pawła Kowala, szybko przygaszonego przez partyjnych kolegów. Gdzie więc znajdzie miejsce były naczelny „Newsweeka"?

„Wyrosło jedno pokolenie, które nie zna życia bez smartfona, nie czyta »Newsweeka« i nie bardzo wie, kto to redaktor Tomasz Lis i inne środowiskowe sławy. W konfrontacji z nimi jest oldskulowy, a jego pokolenie ma innych bohaterów zbiorowej wyobraźni, od byłego redaktora Szymona Hołowni począwszy" – mówił w rozmowie z portalem Wirtualne Media prof. Jan Kreft, medioznawca.

Nie można wykluczyć też, że Tomasz Lis pójdzie drogą Mariusza Maxa Kolonki. Stworzy własne wirtualne państwo, ogłosi się przywódcą i będzie się cieszył światem bez symetrystów, tygodnika „Sieci", a przede wszystkim niewłaściwych z jego punktu widzenia wyborów Polaków.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Solidarność czy egoizm?

Zachód wobec nowej wojny w Europie

JAN PARYS

Nie ma jednego Zachodu, Zachód jest podzielony, jest różny od dawna. Skoro fundament Europy – dziedzictwo Biblii – stawał się coraz mniej ważny, to i kontynent stawał się coraz bardziej podzielony. Najpierw nastąpił podział w Kościele: na zachodni w Cesarstwie Rzymskim i na wschodni w Bizancjum. Od wieków w Europie funkcjonują odrębne kręgi kultury łacińskiej i greckoprawosławnej. Potem Kościół zachodni znowu się podzielił, od katolicyzmu odszedł świat germański, tworząc Kościoły protestanckie. Oczywiście wiele można by mówić o innych przyczynach słabości Zachodu, o jego kryzysie, o tym, jak rewolucja francuska, bolszewicka, nazizm, zdrada jałtańska czy zwykła korupcja klasy politycznej osłabiały jedność naszego kontynentu.

INTERES WŁASNY PONAD WSZYSTKO

To wszystko prawda. Jednak dziś, w obliczu wojny Rosji z Ukrainą, warto popatrzeć na stosunek do agresji i ludzi, którzy są jej ofiarami. Zatem liczy się to, czy konkretny polityk i jego państwo potrafią troszczyć się o bezpieczeństwo w Europie, czy wspierają agresję i tym samym pomagają mordować ludzi, czy też pomagają walczyć z agresorem i ratować życie ofiar wojny.

Mam przekonanie, że różne podejście do wojny na Ukrainie nie wynika z innej moralności, ze sfery ideowej, bo oficjalnie wojnę potępiają prawie wszyscy. Brak solidarności z Ukrainą to rezultat świadomej polityki niektórych państw, takich jak Francja czy Niemcy. Możemy oczywiście dyskutować, czy polityka francuska i niemiecka to rezul-

eprasa.pl 22b9a0cb92

Fot. Shutterstock

tat korupcji, czy polityczna ślepota, czyli głupota i naiwność. Według mnie to są raczej specyficzne koncepcje polityczne, których celem jest dążenie do wykorzystania innych państw do umocnienia pozycji własnego kraju kosztem innych. Pewnym krajom idzie o to, by rozwijać się kosztem życia i wolności obywateli z mniejszych państw.

Niektórym państwom chodzi o korzyści gospodarcze, zamierzają dzięki nim umocnić pozycję polityczną. Są gotowe dążyć do własnych korzyści bez względu na czyjekolwiek koszty. Związek Niemiec i Rosji ma korzenie w korzyściach gospodarczych. Wiele lat temu w Berlinie postanowiono, że niemiecki przemysł można wspierać dzięki dostawom tanich surowców energetycznych z Rosji. Sam eksport niemiecki do Rosji nie znaczy wiele w niemieckiej gospodarce, ale tanie rosyjskie surowce bardzo wspomagają niemiecki przemysł. Na podstawie porozumień handlowych z Rosją kanclerz Angela Merkel pragnęła budować także porozumienia polityczne z Moskwą. Współpraca z Rosją sprzyjała ambicjom, by RFN dzięki wsparciu Moskwy zaczęła prowadzić niezależną od USA politykę globalną, jedynie dla własnych korzyści.

Po zakończeniu zimnej wojny USA zaczęły być traktowane przez polityków z Berlina jako kraj frajerów. Stany Zjednoczone wygrały zimną wojnę, co umożliwiło zjednoczenie Niemiec. USA nadal dużo wydawały na zbrojenia, chroniły Niemcy militarnie. To pozwoliło zredukować budżet militarny RFN z 3 proc. do 1 proc. PKB. Dzięki tym oszczędnościom Niemcy doinwestowały swój przemysł maszynowy, rozwinęły innowacje i zbudowały pozycje jednego z najważniejszych globalnych eksporterów. I dlatego parę lat temu prezydent Donald Trump na jednej sesji NATO wykrzyczał do Merkel: „Jesteś mi winna 400 mld dolarów. Bo tyle Niemcy oszczędzili przez 20 lat, korzystając z amerykańskiego parasola militarnego i redukując własne nakłady na wojsko".

Zatem polityka pozornego wspierania Ukrainy w obliczu rosyjskiej agresji, polityka wiecznego atakowania Polski w UE jest niczym więcej jak konsekwencją skrajnie prorosyjskiego kierunku niemieckiej dyplomacji. Ta prorosyjska polityka bardzo się Niemcom przez kilkadziesiąt lat opłacała. Stąd teraz, za czasów kanclerza Scholza, mówią, że od niej odejdą, ale tego nie robią, bo bardzo ich boli konieczność odejścia od rosyjskich korzyści. Boli ich także konieczność zwiększenia wydatków na zbrojenia i konieczność odejścia od rozwijania własnej gospodarki kosztem Stanów Zjednoczonych. USA, Kanada, Wielka Brytania oraz niektóre kraje Unii Europejskiej, jak Polska i Rumunia, starają się przekonać Berlin do zmiany polityki zagranicznej. USA nie chcą naciskać twardo, próbują perswazji i bodźców pozytywnych. Na przykład pozwoliły, by ostatnio poważnie wzrósł niemiecki eksport do USA.

O tym, że odejście RFN od prorosyjskiej polityki jest możliwe, można było się przekonać w 2020 r. Wtedy pod koniec października było blisko ponownej wygranej Trumpa w wyborach prezydenckich. Wówczas politycy CDU (konkretnie Annegret Kramp-Karrenbauer, ówczesna minister obrony i przewodnicząca CDU) proponowali USA, że mogą zmienić swoją politykę na wyraźnie proatlantycką. Stawiali wtedy USA całkiem jawnie warunki, na jakich mogą odejść od wspierania Rosji i odbudować silne relacje z USA. Proponowali, że mogą zmienić politykę wobec Rosji, ale muszą otrzymać możliwość ponoszenia odpowiedzialności za Europę, czyli dominacji w UE (bo wtedy zapewnią sobie możliwość eksploatacji gospodarczej kilkunastu państw Europy Środkowej). Europa Środkowa, czyli Mitteleuropa, to miało być w nowym układzie sił ich niemieckie żerowisko. Wówczas kongresmeni obu partii w USA szybko odrzucili te warunki. Dziś Niemcy wracają do tego pomysłu. Czego nie załatwili z USA, chcą przeprowadzić w Europie sami za pomocą tzw. federalizacji i zniesienia prawa weta w Unii.

ZA FASADĄ UNIJNEGO SUPERPAŃSTWA

Dla każdego myślącego człowieka zjednoczenie Europy i budowa państwa federalnego to kosmiczna sprzeczność. Europa zaczęła się jednoczyć po II wojnie światowej w bardzo konkretnym celu. Po to, by zapobiec jakiejkolwiek hegemonii, a zwłaszcza niemieckiej. Niemniej politycy z Berlina traktują dziś obywateli UE jak idiotów. Uważają, że wszyscy już zapomnieli, jakie były motywy jednoczenia kontynentu po wojnie. Dziś Niemcy chcą wmówić ludziom, że hegemonia niemiecka to największe szczęście i jedyne wyjście dla Europy. W rzeczywistości unijne superpaństwo ma być fasadą dla nowej formy kolonializmu niemieckiego w XXI w. Francuzi za wspieranie federalizacji dostaną wpływy w romańskiej części Europy. Tak naprawdę Niemcy chcą więc cofnąć Europę do XIX w., kiedy panowały imperia kolonialne.

Niemiecka chęć dominacji wynika nie tylko z tego, że chcą się rozwijać kosztem innych narodów. Oni naprawdę wierzą w to, że są najmądrzejsi, i dlatego po prostu muszą brać na siebie misję rządzenia innymi krajami. Tymczasem wszystko, czego się dotknęli w Europie, kończyło się katastrofą. Nie będę już wspominać zbrodni II wojny światowej. Wystarczy przypomnieć niemiecką politykę w kwestii migracji, bezpieczeństwa, wobec Rosji, wobec USA, brexitu, kryzysu

eprasa.pl 22b9a0cb92

finansowego w Grecji itd. W każdej z tych spraw Berlin narzucał Unii swoje koncepcje i dziś widać, że były to koncepcje fałszywe o negatywnych konsekwencjach dla całej Europy.

Dziś, by osiągnąć dominację w Europie, Niemcy chcą pozbawić europejskie narody wolności. Centralizacja władzy w UE pozwoli eksploatować gospodarczo słabsze kraje. Oczywiście w świecie budowanym dla korzyści jednego państwa nie ma miejsca na etykę, kulturę, prawdziwe wartości, np. szacunek dla innych narodów. Bo większość ludzi w superpaństwie ma być narzędziem hegemonii jednego kraju. Dziś Unia już walczy z dziedzictwem Europy, walczy z tradycją, religią, całym dorobkiem historycznym kontynentu. To, co było, trzeba unieważnić lub zbanalizować, jak w Domu Historii Europejskiej w Brukseli. Bo dotychczasowa historia Europy to historia rywalizacji i rozwoju wielu państw narodowych. Teraz wszyscy mają słuchać i wierzyć w to, co ustalają biurokraci w Brukseli. Sędziowie z TSUE mają zastąpić autorytet Boga, który od wieków stał ponad prawem stanowionym przez ludzi. Dla nich nie liczą się normy prawne, lecz tylko ideologia globalizmu, interesy niemieckie i absolutna bezideowość. Narody i państwa mają zniknąć lub stać się atrapami. Tymczasem Europa jest podmiotem ponadnarodowym, bo składa się z wolnych narodów.

PRZEPIS NA KATASTROFĘ

Dla twórców Unii Europejskiej – Schumana, Gasperiego, Monneta, Adenauera – było oczywiste, że fundamentem dziedzictwa europejskiego jest tradycja chrześcijańska. Ojcowie zjednoczenia naszego kontynentu uważali, że klęski, które poniosła Europa w wyniku totalitaryzmu nazistowskiego i komunistycznego, to skutek odwrócenia się dwóch dużych państw, Niemiec i Rosji, od chrześcijaństwa.

Powstaje pytanie, dlaczego w obecnych dokumentach Unii Europejskiej nie ma odwołania do Biblii? Odrzucenie odwołania do korzeni chrześcijańskich Europy i brak odniesień do Boga w tych dokumentach nie jest wyrazem przypadku. Nie można tego uzasadniać tolerancją dla niewierzących. To pierwsze jest odrzuceniem faktów. To drugie jest zdegradowaniem pozycji człowieka, który pozbawiony boskiej godności już nie jest osobą, lecz staje się jedynie instrumentem europejskiego superpaństwa. Tymczasem każde prawo potrzebuje odniesienia do etosu. Polityka nie może być jedynie technokratyczna, dotyczy ludzi, ma więc komponent moralny. Każdy człowiek sam dokonuje wyboru między dobrem i złem, między prawdą a fałszem. Wielkie struktury, jak UE, mają mu to umożliwiać, ale nie mogą go zastępować w dokonywaniu tych wyborów.

> Niemcy, które aspirują do roli lidera w Europie, są niezdolne do solidarności, zatem nie są zdolne do ponoszenia odpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy

Warto zadać pytanie: jak w ogóle można budować jakąkolwiek wspólnotę, odrzucając jej tożsamość i historię? Obecnie w Unii świeckość staje się narzędziem nietolerancji. Bo świecki rozum, wyzwolony z tradycji i tożsamości, nie jest zdolny do dialogu na żadnym szczeblu. W świecie nastawionym na wyrachowanie nie ma miejsca nie tylko na Boga, lecz także na normy moralne. Bo o tym, co dobre, decyduje rachunek korzyści materialnych, w tym przypadku niemieckich. Kraj, który będzie kwestionował orzeczenia TSUE lub decyzje komisarzy, będzie nazwany faszystowskim, wrogiem postępu i praw człowieka. Kraj, który nie będzie uznawał hegemonii Brukseli, będzie karany finansowo, a kiedy powstanie unijna armia, będzie po prostu najechany, a jego liderzy znajdą się w więzieniu europejskiego gestapo. Wymuszona centralizacja władzy nie zapewni ani siły, ani jedności UE, to będzie jedność pozorna.

Już dziś, by przyśpieszyć budowę superpaństwa, Unia dąży do unifikacji wszystkiego. Cała różnorodność i bogactwo krajów europejskich mają być zastąpione przez uchwały Komisji Europejskiej. Rządy poszczególnych państw członkowskich mają stać się agendą wykonawczą UE. Tymczasem epidemia COVID-19 oraz wojna na Ukrainie dowiodły, że żadna organizacja czy instytucja międzynarodowa nie potrafi zapobiec wojnie ani rozwiązać poważnego kryzysu. To państwa narodowe walczyły z epidemią, a teraz udzielają pomocy walczącym o wolność Ukraińcom i troszczą się o bezpieczeństwo kontynentu. Unia Europejska jest w takich trudnych sytuacjach bezradna. Zatem federalizacja UE nie ma sensu. To przepis na katastrofę dla naszego kontynentu.

Nie można zatem centralizować władzy w UE ani redukować pozycji państw członkowskich. Niemcy, które aspirują do roli lidera w Europie, są niezdolne do solidarności, zatem nie są zdolne do ponoszenia odpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy. Ich dążenia do hegemonii w UE są dla naszego kontynentu poważnym zagrożeniem, zagrażają nie tylko naszej wolności, lecz także naszemu bezpieczeństwu.

Na początku maja 2022 r. podczas przemówienia w Parlamencie Europejskim przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen zapowiedziała szybką i uproszczoną procedurę zmiany traktatów europejskich. Postulowała rezygnację z prawa weta w kluczowych kwestiach w Radzie UE, bo jej zdaniem weto w ważnych sprawach nie ma sensu. W ten sposób głos silniejszego stanie się jedynym źródłem prawa, a statystyka podczas głosowania zastąpi rozwagę władzy ustawodawczej. Postulat rezygnacji z zasady jednomyślności spotkał się z protestem 13 państw członkowskich, głównie z flanki wschodniej. Te kraje leżą blisko Rosji i wiedzą, czym grozi oddanie pełnej władzy w Europie chorobliwie prorosyjskim politykom z Niemiec. To nic innego jak narażanie bezpieczeństwa ich państw na agresję ze strony Rosji.

Powyższy artykuł powstał na podstawie wypowiedzi z 12 maja 2022 r. wygłoszonej w Instytucie im. Lecha Kaczyńskiego w Warszawie

eprasa.pl 22b9a0cb92

Fot. Andrzej Wiktor

Berlin kibicuje Moskwie

O sensacyjnych dokumentach w archiwach IPN, korumpowaniu przez Niemcy polskich polityków i o tym, jak CDU upodabnia się do PiS, mówi ***prof. Bogdan Musiał***, historyk, dyrektor Instytutu Strat Wojennych, w rozmowie z Markiem Pyzą

Ujawnił pan niedawno szyfrogram z czerwca 1990 r., w którym oficer polskiego wywiadu przekazuje do centrali wiadomości pozyskane od niemieckiego źródła: „korzystnym z punktu widzenia RFN jest rozbicie politycznych ugrupowań w Polsce, brak dominującej partii i podziały w Solidarności (...) dla Niemiec tworzy to szansę gospodarczej ekspansji". Dlaczego dopiero teraz poznajemy to sensacyjne pismo?

Bogdan Musiał: Nikt się tym nie zajmował, nawet nie przeglądał tych materiałów, a jest ich bardzo dużo. Gdy wreszcie je odsłonięto, w ramach odtajniania tzw. zbioru zastrzeżonego IPN, badacze mogą się nad nimi pochylić. Okazuje się, że polscy komuniści mieli niezły wywiad, któremu udało się zbudować bardzo dobre kontakty po stronie niemieckiej. Owocowały one ciekawymi doniesieniami już na początku III RP.

Można powiedzieć, że to tylko pojedynczy meldunek, nie ma co wyciągać daleko idących wniosków.

Ale jeśli spojrzymy szerzej, to dostrzeżemy, że wszystko, co napisano w tym dokumencie, zostało zrealizowane. Dlatego to tak wiarygodny szyfrogram. Dodatkowo w ostatnim czasie poznaliśmy też inne dokumenty, opisane w niemieckiej prasie, które pokazują, jakie były rzeczywiste kierunki niemieckiej polityki w czasie przemian w Europie.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Mówi pan o publikacji „Der Spiegla", z której dowiadujemy się, że kanclerz Helmut Kohl nie chciał ani rozszerzania NATO na Wschód, ani niepodległości Ukrainy i państw bałtyckich, a rozpad ZSRR nazywał katastrofą.

Tak, ale to, co opisano, to tylko wycinek nowych materiałów. Również w polskich archiwach są dostępne np. notatki z rozmów z niemieckimi przedsiębiorcami, którzy chcieli inwestować w Polsce. Dostawali wytyczne od decydentów w Berlinie, gdzie ulokować pieniądze, bo polityczny lobbing już przygotował tam grunt. Jako najpewniejsze kierunki wskazywano Śląsk i Pomorze, ze szczególnym uwzględnieniem Gdańska, bo „tam będzie korzystny klimat". Krótko mówiąc, w Polsce realizował się kolejny etap długofalowej polityki Niemiec, które w 1945 r. wycofały się z ekspansji terytorialnej.

Na rzecz ekspansji gospodarczej.

A ta potrzebuje parasola politycznego. Gdy zaczął się sypać cały blok wschodni, Niemcy poczuli, że Polska idąca na Zachód będzie w nich widzieć naturalnego partnera. Wymuszała to na nas sytuacja geopolityczna, ale jeszcze lepsze warunki stworzyły do tego elity niemieckie przez różne operacje w rodzaju tzw. czarnej kasy.

Czyli utajnionych środków na działalność polityczną, a de facto – korupcyjną, również w Polsce.

Kanclerz Kohl nigdy się nie przyznał, skąd wziął te pieniądze i na co były one przeznaczone. Jednak my mamy wskazówki prowadzące do wniosku, że finansowano z nich partie polityczne w państwach dawnego Układu Warszawskiego. Paweł Piskorski i Andrzej Olechowski, założyciele Platformy Obywatelskiej, przyznali po latach, że Kongres Liberalno-Demokratyczny był sponsorowany przez CDU. To jeden wątek tej historii. W kolejnym dowiadujemy się, sam słyszałem takie relacje, że w latach 90. XX w. z Gdańska przyjeżdżali do Warszawy biznesmeni z walizkami pełnymi gotówki – na wspieranie odpowiednich partii. Z perspektywy czasu i kolejnych dokumentów możemy tylko retorycznie stawiać pytania, dlaczego Jan Krzysztof Bielecki czy Donald Tusk byli tak proniemieccy. I dlaczego zaangażowanie naszego wywiadu na kierunku niemieckim zakończyło się, gdy Bielecki został premierem.

We wspomnianym szyfrogramie czytamy też, że Niemcy marzą o „odrodzeniu się w Polsce silnego ugrupowania chłopskiego, składającego się z kilku partii chłopskich, popieranych przez Kościół". Miało to zahamować „odrodzenie się stabilnego życia politycznego w RP oraz powstanie na gruncie ustaw reprywatyzujących warstwy drobnych i średnich polskich przemysłowców". Dwa lata po tym meldunku w wyniku politycznego przewrotu premierem zostaje lider PSL Waldemar Pawlak. Dotychczas tamte wydarzenia postrzegaliśmy przez pryzmat długiego ramienia Moskwy, bo chodziło przecież o ochronę komunistycznych agentów, na czele z urzędującym prezydentem. Czy jednak nie powinniśmy na „nocną zmianę" patrzeć również z perspektywy interesów niemieckich?

Pamięta pan, co mówi Donald Tusk w czasie narady przed obaleniem rządu Olszewskiego? „Panowie, policzmy głosy". Jego rola była wówczas kluczowa. A zaowocowała właśnie zdestabilizowaniem sceny politycznej. Nie wiemy, czy on zdawał sobie sprawę z zamysłu Berlina, ale obiektywnie grał na jego cele.

> W Berlinie oceniono, które kręgi polskich elit mogą być proniemieckie i je „kupowano". Niemcy mocno postawili na Tadeusza Mazowieckiego. Ale źle odczytali jego poglądy. W czasie wizyty w Moskwie pierwszy premier III RP mówił, że... boi się Niemców. Prosił Sowietów o opóźnienie zjednoczenia za naszą zachodnią granicą

Polska w latach 90. miała zatem niewielkie szanse na prawdziwie suwerenną politykę, jeśli zauważymy, że z drugiej strony sceny politycznej funkcjonowali zaskakująco silni postkomuniści, którzy chronicznie oglądali się na Rosję.

Tak niestety było. Znam dokumenty moskiewskie, z których bije zatroskanie walącą się strefą wpływów, a jednocześnie wskazówka, by stawiać na SLD, bo to wypróbowani towarzysze.

Również Berlin nie był zadowolony z upadku Związku Sowieckiego.

Bo wspierał ZSRS! Niemcy zaakceptowali fakt, że Europa Wschodnia jest w radzieckiej strefie wpływów, dlatego np. SPD popierała wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. W 1989 r. stworzyła się dla nich nowa sytuacja, która otwierała też gigantyczne możliwości. Pod warunkiem, że oswobadzające się narody nie urosną za bardzo w siłę, nie zbudują wystarczającej niezależności. Trzeba było je rozgrywać. Szybko oceniono, które kręgi polskich elit mogą być proniemieckie i je „kupowano".

Nigdy się nie pomylili?

Znów odwołam się do dokumentów. Niemcy mocno postawili na Tadeusza Mazowieckiego. Ale źle odczytali jego poglądy. Istnieją materiały, w których odnotowano, jak w czasie wizyty w Moskwie pierwszy premier III RP mówił, że... boi się Niemców. Prosił Sowietów o opóźnienie zjednoczenia za naszą zachodnią granicą. Nie mógł tego powiedzieć publicznie, ale czuł, że jeżeli dojdzie do połączenia RFN i NRD, Polska znajdzie się w kolejnej niebezpiecznej sytuacji geopolitycznej. Z meldunków naszego wywiadu w Niemczech z 1990 r. (opartych na rozmowach z tamtejszymi ekspertami) bije obawa przed podpisaniem nowego traktatu z Rapallo między Niemcami a Rosją. I znów możemy

eprasa.pl 22b9a0cb92

skonstatować, że były to prorocze wizje. Umowa Putin-Schröder to przecież jest nowe Rapallo, tyle że teraz nie Polska jest główną ofiarą, lecz Ukraina.

Ale nie można chyba sprowadzić tej gry do posunięć tylko dwóch liderów – rosyjskiego tyrana i niemieckiego kanclerza?

Powiedziałbym raczej o układzie w gronie: Schröder, Steinmeier, Merkel, Putin, który zabezpieczał tu interesy obu stron. Historia się powtarza.

Radosław Sikorski miał rację, mówiąc o Nord Stream 1 jako nowym pakcie Ribbentrop-Mołotow?

Tak, choć szkoda, że nie poszły za tym korzystne dla Polski jego czyny jako szefa polskiej dyplomacji. Ale by być precyzyjnym, trzeba odwoływać się nie do daty 23 sierpnia 1939 r., gdy szefowie MSZ III Rzeszy i ZSRS uzgadniali zamordowanie Polski, lecz cofnąć się o kilka dni. Dla Hitlera kluczowa była umowa kredytowo-handlowa z 19 sierpnia, którą nazwałbym pierwszym energetycznym sojuszem niemiecko-rosyjskim. Stalin dawał Hitlerowi surowce niezbędne do prowadzenia wojny, a w zamian dostawał broń i kredyty. Już w 1939 r. Niemcy były uzależnione w 65 proc. od dostaw paliw płynnych z zagranicy, głównie z krajów arabskich. W obawie przed blokadą morską po wybuchu wojny zapewniły więc sobie dostawy z alternatywnego kierunku. Drugi sojusz energetyczny został podpisany w lutym 1970 r. przez kanclerza Willy'ego Brandta z Leonidem Breżniewem, a dotyczył budowy gazociągu. Jego celem było uratowanie ZSRS przed upadkiem (według dokumentów już pod koniec lat 50. Sowieci zrozumieli, że jedynym dla nich ratunkiem są surowce energetyczne). No i wreszcie umowa Schrödera z Putinem mająca zapewnić przetrwanie Rosji.

Jak dziś naprawdę wygląda sytuacja na niemieckiej scenie politycznej? „Zasługi" SPD w rozzuchwalaniu Putina znamy doskonale, ale przecież nie wolno zapominać o polityce kanclerz Merkel i CDU, która dziś zmienia azymut. Prasa za Odrą ostro krytykuje swój rząd, co wcześniej nigdy nie miało miejsca. Na ile te zmiany są trwałe?

SPD zostawiłbym na boku, bo to partia tak zinfiltrowana, sputinizowana, współpracująca z terrorystami na Wschodzie, że warto się zastanowić nad jej delegalizacją. Jeśli zaś chodzi o CDU, to następuje próba odcięcia się od wstydliwej spuścizny Merkel i do głosu dochodzą kręgi jej wewnętrznych krytyków. W polityce wschodniej pod wodzą Friedricha Merza CDU staje się takim niemieckim PiS. Jego notowania rosną, a idą za tym zwycięstwa w wyborach lokalnych.

> Popatrzmy na procesy i poddajmy je elementarnej logice. Jeżeli uda się trwale rozbić ten tandem rosyjsko-niemiecki – a już się to udaje – to możemy z nadzieją patrzeć w przyszłość

I to przejdzie? Zmieniamy szefa, zaczynamy mówić inaczej i Niemcy znów nas pokochają?

Przejdzie. Merkel zniknęła, łatwiej się od niej odcinać. Ale najistotniejsze jest stanowisko Zielonych. Oni od początku byli antyputinowscy. Wicekanclerz Robert Habeck już przed rokiem po powrocie z Kijowa mówił, że Niemcy powinny dostarczać Ukrainie broń.

Lecz to wciąż partia mała, z poparciem nieprzekraczającym 20 proc.

To prawda, ale jej siła tkwi gdzie indziej. Media niemieckie w większości są „zielone". Dlatego po 24 lutego znienacka stały się radykalnie antyputinowskie. Teraz potrzeba czasu, by opinia publiczna przetrawiła zachodzące zmiany i dostrzegła prawdziwe zagrożenia i priorytety, zamiast emocjonować się sporami światopoglądowymi, różnoraką inżynierią społeczną. Uważam, że rosyjska masakra dokonywana na Ukraińcach odciśnie w Niemczech swoje piętno.

A co z przemianami w głowach Polaków? Niedawna polityka rządu orientowania się na Berlin ponosi spektakularną klęskę. Nie trzeba być zagorzałym antyplatformersem, by dostrzec, na jaką mieliznę prowadził nas gabinet Donalda Tuska.

Narracja tego obozu jest kompletnie irracjonalna. Jak można na serio przekonywać, że to PiS prowadzi prorosyjską politykę? Widać, że Donaldowi Tuskowi niewiele już zostało zasobów. Waszyngton chyba nie jest zainteresowany współpracą z nim, dawni sojusznicy w Berlinie odeszli w niebyt, a dla dzisiejszych niemieckich elit jest zgraną kartą. Trudno bowiem stawiać na człowieka, który kurczowo trzyma się oskarżania przeciwników o sprzeniewierzanie się narodowym interesom i łamanie praworządności, podczas gdy nie tylko w Polsce, ale i za granicą postawa obecnych polskich władz jest opisywana z najwyższym uznaniem.

Na razie jednak ta narracja trafia na podatny grunt. Platforma trzyma się na przyzwoitym poziomie w sondażach, głównie dzięki ślepemu podsycaniu wrogości do PiS.

Uczestniczyłem niedawno w Niemczech w debacie, podczas której byłem pytany o te mityczne problemy z praworządnością w Polsce. Odpowiedziałem, że rzeczywiście jej nie ma. Bo gdyby była, to Donald Tusk siedziałby już w więzieniu za oddanie śledztwa smoleńskiego zbrodniarzom. To go powinno dyskwalifikować. Nie twierdzę, że w Smoleńsku doszło do zamachu, nie wiem tego. Ale w 2010 r. – po Czeczenii, Gruzji, morderstwach w Rosji – należało zakładać, że bandyci putinowscy byli w to zamieszani i nie wolno było im oddać wyjaśniania tej tragedii. To była zdrada. Powiedziałem to też ambasadorowi von Loringhovenowi. Zaniemówił, nie potrafił na to merytorycznie odpowiedzieć.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Czy Niemcy rozumieją, co dzieje się na Ukrainie, o co toczy się ta wojna?

Nie wszyscy. Dla wielu wojna jest ważna, ale chyba bardziej przejmują się rosnącymi cenami. Koncentrują się na swoim dobrobycie. Nie traciłbym jednak nadziei, bo zmiany w świadomości społecznej są jednak wyraźnie zauważalne.

Dostrzeże to Olaf Scholz i zmieni swoją politykę nie tylko na poziomie deklaracji?

Pamiętajmy, że jest jeszcze zagranica, niekiedy ważniejsza niż własna opinia publiczna. Dla Niemiec wizerunek jest szalenie istotny, stanowi podstawę strategii ekspansji gospodarczej. Scholz nie powie tego głośno, lecz chce, by Rosja wygrała, co umożliwiłoby powrót do starych stosunków. Gdy stanie się inaczej, zmieni się cały układ geopolityczny na Starym Kontynencie. Bez Moskwy oś Paryż-Berlin radykalnie osłabnie.

Co Niemcy są w stanie zrobić, by obronić swoją pozycję w Europie? Wszystko idzie wbrew interesom Berlina.

Po SPD nie można się spodziewać niczego dobrego, bo za dużo w Rosję zainwestowała. Ale popatrzmy na CDU i Zielonych. Obie partie chcą przeorientowania się na oś atlantycką kosztem Moskwy. W państwach bałtyckich czy w Skandynawii każdy wie, że Niemcy przestały być wiarygodnym partnerem, że nas sprzedadzą za tanią ropę. Ten wizerunek będą chcieli zmienić.

A dlaczego nie decydują się na ocalenie resztek wiarygodności i dopuszczają np. do tego, że polski prezydent głośno ich krytykuje za niedotrzymanie słowa w sprawie przekazania nam czołgów? Piszą o tym wszystkie niemieckie gazety, a w urzędzie kanclerskim jakby nie było nad tym żadnej refleksji.

W SPD niezwykle silny jest antyamerykanizm. Liderem frakcji tej partii w Bundestagu jest Rolf Mützenich, który aż dyszy pogardą do Stanów Zjednoczonych. Tak samo jest u Macrona.

Oni panicznie boją się mocniejszego wejścia USA do Europy. Dlatego w ich interesie jest, by Ukraina przegrała. Dodatkowo przez lata współpracy SPD z Rosjanami powstała niezwykle silna sieć powiązań – m.in. wokół różnych fundacji – w którą jest zaplątany współprzewodniczący SPD Lars Klingbeil, sformatowany przez Gerharda Schrödera. Można tak długo wymieniać. Jeśli ruszyłoby jakieś poważne śledztwo nad polityką Niemiec wobec Rosji, SPD miałaby poważny problem. Okazałoby się, że politykę zagraniczną Berlina kształtował Gazprom.

Do kiedy zatem ta partia będzie rządzić?

Nie sądzę, by trwało to długo. Trzeba wziąć pod uwagę, że doszła ona do władzy m.in. dzięki rosyjskim trollom, o czym się w ogóle nie mówi. Uważnie obserwowałem media społecznościowe. Gołym okiem widać w nich było rękę Moskwy, która mocno biła w Zielonych, prowadzących w sondażach. Okazało się to skuteczne, bo zaczęli nagle tracić. CDU sama się pogrążyła wystawieniem na front nijakiego Armina Lascheta. A Scholz stał sobie z boku, nie odzywał się, czekał na efekty. Rosjanie nie musieli więc otwarcie wspierać SPD, wystarczyło uderzać w jej przeciwników. I choć służby specjalne ostrzegały partie, że są one atakowane z zewnątrz, nikt nie podjął tego w debacie publicznej (za to o ingerencji Moskwy w amerykańskie wybory dyskutowano za Odrą bardzo chętnie).

Gdyby wynik wyborów w Niemczech był inny, również plany Putina wobec Ukrainy zostałyby zweryfikowane?

Stawiam tezę, że Putin zdecydował się na wojnę z kilku powodów. Po pierwsze, miał SPD przy władzy. Po drugie, uznał, że staruszka Joe Bidena nie trzeba traktować poważnie, a na dodatek ma on problem w Afganistanie. I po trzecie, udało się całkowicie podporządkować Białoruś. Rosyjski tyran mógł zatem czuć się bezpiecznie. Na szczęście przeliczył się – zarówno jeśli chodzi o Ukraińców, jak i Amerykanów, nie mówiąc już o postawie Polski czy innych państw na wschodzie kontynentu. Aż strach pomyśleć, gdzie dziś byłyby wojska rosyjskie, gdyby w Polsce u władzy był Donald Tusk, który zamiast do Kijowa jeździłby konsultować swoje decyzje w Berlinie.

Skoro tak szybko wszystko się zmienia w naszym otoczeniu, rozpadają się wrogie nam sojusze, cały kontynent zmienia politykę bezpieczeństwa, dokąd nas to zaprowadzi? W jakiej pozycji znajdzie się Polska za kilka lat?

Można być optymistą. Jestem zwolennikiem tezy George'a Friedmana o czekającej nas wielkości.

Lecz nieco szybciej niż za 100 lat, jak przewidywał w swojej słynnej książce?

Na to wygląda. Popatrzmy na procesy i poddajmy je elementarnej logice. Jeżeli uda się trwale rozbić ten tandem rosyjsko-niemiecki – a już się to udaje – to możemy z nadzieją patrzeć w przyszłość. Kiedyś wydawało nam się, że nie jest możliwe przewrócenie komunizmu. Zwycięstwo Solidarności, wolnościowe efekty pontyfikatu Jana Pawła II jawiły się jako nierealne. Ale to się dokonało. Polska poniosła tego wysoką cenę, zyskały Niemcy. Dziś jeszcze wyższą cenę płacą Ukraińcy, ale ich ofiara przyniesie większy przełom niż upadek Układu Warszawskiego.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 22b9a0cb92

Wielkie oszustwo

Konferencja w sprawie przyszłości Europy stała się kluczowym zwrotem w kierunku reform Unii Europejskiej, jej federalizacji i centralizacji. Jej dyrektor Guy Verhofstadt był zadowolony. Czy ten niebezpieczny proces można zatrzymać?

GORAN ANDRIJANIĆ

Konferencja, za którą stoi Parlament Europejski, zakończyła prace uroczystą ceremonią zamknięcia, która odbyła się 9 maja w Strasburgu.

CO TO BYŁA ZA KONFERENCJA?

Jak czytamy na oficjalnych stronach instytucji europejskich, „»Konferencja w sprawie przyszłości Europy« to seria debat i dyskusji prowadzonych przez obywateli. Stanowi ona forum debaty ze społeczeństwem obywatelskim, czyli obywatelami i organizacjami pozarządowymi, na temat wyzwań i priorytetów stojących przed Unią Europejską".

„Seria debat i dyskusji" zakończyła się w tym samym miejscu, w którym rozpoczęła się rok temu, a jej efektem jest sprawozdanie, „które skupia się wokół 49 propozycji zawierających konkretne cele i ponad 320 środków, które instytucje UE powinny zastosować. Propozycje zostały sformułowane w dziewięciu obszarach tematycznych: zmiany klimatu i środowiska; zdrowia; silniejszej gospodarki, sprawiedliwości społecznej, zatrudnienia; UE w świecie; wartości i praw, praworządności, bezpieczeństwa; transformacji cyfrowej; demokracji europejskiej; migracji; edukacji, kultury, młodzieży i sportu. W propozycjach określono ogólne cele oraz ponad 300 konkretnych działań. Trzy instytucje europejskie analizują obecnie te propozycje i możliwości ich wdrożenia w ramach swoich kompetencji i zgodnie z traktatami".

To, co wyglądało na jeszcze jeden nieważny projekt, na który europejska

Fot. Valentine Zeler/Parlament Europejski

eprasa.pl 22b9a0cb92

biurokracja wydaje nasze pieniądze, może jednak zmierzać w bardzo niebezpiecznym kierunku. Jeszcze przed zakończeniem konferencji jej dyrektor, a zarazem eurodeputowany Guy Verhofstadt, znany w Polsce jako jeden z najbardziej fanatycznych wrogów konserwatywnego rządu w Warszawie i zwolennik federalizacji Unii, zapowiedział na Twitterze: „Konferencja w sprawie przyszłości Europy zatwierdza radykalną przebudowę UE: koniec jednomyślności, zniesienie prawa weta, uruchomienie Połączonych Sił Zbrojnych Unii, ponadnarodowe listy i wiele innych reform...".

Nagle okazało się, że konferencja stała się kluczowym zwrotem w kierunku głębokich reform Unii Europejskiej oraz sposobu jej funkcjonowania. Reform, za którymi „stara Europa", przede wszystkim Niemcy i Francja, opowiada się od lat i które oznaczają federalizację i centralizację UE z głęboką ingerencją w traktaty europejskie. Słowem, chodzi o stworzenie europejskiego superpaństwa, które, co oczywiste, odpowiadałoby najsilniejszym graczom, inne państwa pozbawiając suwerenności.

POD PŁASZCZYKIEM OBYWATELSKIEJ DEBATY

Jak przebiegała konferencja? W kwietniu ub.r. uruchomiono wielojęzyczną platformę internetową umożliwiającą obywatelom UE zamieszczanie na niej swoich pomysłów, które w kolejnych miesiącach były omawiane w ramach paneli obywatelskich, organizowanych zarówno w krajach członkowskich, jak i w siedzibie PE, czyli w Strasburgu.

To, że „debata z obywatelami" stała się instytucjonalną ramą prowadzącą do zmiany podstawowych modeli funkcjonowania Unii, stało się jasne dla przedstawicieli grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim (m.in. dla eurodeputowanych ze Zjednoczonej Prawicy), która w akcie protestu wycofała się z konferencji. W uzasadnieniu tej decyzji EKR stwierdziła: „Konferencja metodycznie forsowała program zwiększenia uprawnień instytucji unijnych i większej centralizacji władzy w UE, m.in. poprzez manipulacje przy doborze ekspertów czy interpretacji tzw. rekomendacji obywatelskich. Grupa EKR początkowo postrzegała konferencję jako szansę na prawdziwie paneuropejską debatę instytucji unijnych z obywatelami, w której wyrażone zostaną różne wizje przyszłości Europy, w tym te przeciwne dalszemu zwiększaniu władzy Brukseli kosztem uprawnień państw narodowych. Stało się jednak inaczej, co nie pozwala delegatom grupy na dalszy udział w pracach konferencji. Służyłby jedynie legitymizacji jej wniosków, co nadałoby tej zmanipulowanej refleksji nad przyszłością Europy znamion demokratycznego procesu".

Prof. Ryszard Legutko, eurodeputowany PiS, poproszony o komentarz, powiedział naszemu tygodnikowi, że od dawna zdawał sobie sprawę, iż konferencja ma swoje agendy. – Wielu ludzi uważało, że Parlament Europejski jest ciałem niepoważnym. Ja od początku przestrzegałem, że PE staje się instytucją coraz groźniejszą i mającą wpływ na komisję, a jej inicjatywy trzeba traktować poważnie. Słychać było głosy, że konferencja o przyszłości Europy to farsa i wydarzenie niszowe, ale w istocie stanowiła ona przygotowanie do wielkiego skoku centralistycznego w systemie europejskim. To prawda, że zaledwie 2 lub 3 proc. ludzi wie, że w ogóle taka konferencja miała miejsce, ale to bez znaczenia. Kto zna Unię, wie, że nie wsłuchuje się ona w głosy obywateli, ale – jak to w Unii – wręcz przeciwnie, szuka sposobów, by w te głosy się nie wsłuchiwać, ignorować je i lekceważyć. Dobór panelistów, fora obywatelskie niby losowane, ale przecież filtrowane, to wszystko dało wcześniej przygotowane rezultaty. Wynikało z nich, że obywatele są entuzjastycznie nastawieni do zmian centralistycznych, nawet bardziej niż komisja i inne instytucje. Powiedzmy otwarcie, że wniosek, iż narody europejskie chcą więcej Europy, był wyjątkową bezczelnością. W każdym razie cała konferencja stworzyła platformę i pretekst do poważnej zmiany traktatu – mówi prof. Legutko.

Ryszard Legutko

Taką samą opinię wyraził też inny eurodeputowany PiS Jacek Saryusz-Wolski. „Za konferencją stał zamysł, by w sytuacji, gdy nie można przeprowadzić zmian ustroju UE normalną drogą, za zgodą państw członkowskich, wybrać teatralną formułę, udającą konsultacje z obywatelami, którzy powiedzieli tam to, co mieli powiedzieć: że potrzeba więcej kompetencji Unii jako takiej kosztem kompetencji krajów członkowskich oraz więcej centralizacji" – powiedział w rozmowie dla Polskiego Radia 24.

Tę teatralną formułę dla naszego tygodnika skomentował kolejny eurodeputowany PiS prof. Zdzisław Krasnodębski, który pełnił funkcję obserwatora z ramienia EKR w zarządzie konferencji, dopóki jego grupa była częścią projektu. – Konkluzje konferencji nie są wbrew temu, co się twierdzi, rekomendacjami obywateli, lecz propozycjami polityków sformułowanymi na podstawie tych rekomendacji. Zostały one odpowiednio przekształcone i ujednoznacznione. Politycy ci nigdy nie ukrywali, że dążą do budowy państwa federalnego i to bardzo scentralizowanego. Do tego zmierzają rzekome rekomendacje obywatelskie, by rozpocząć proces, w którym możliwe stanie się otwarcie, a potem zmiana traktatów – twierdzi prof. Krasnodębski.

To, że eurobiurokraci poważnie myślą o radykalnych zmianach, stało się jasne, kiedy przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podczas ceremonii zamknięcia konferencji otwarcie opowiedziała się za jedną z agend nakreślonych przez konferencję. Chodzi o rezygnację z zasady jednomyślności w głosowaniach w Radzie UE. „Zawsze mówiłam, że zasada jednomyślności w głosowaniach dotyczących niektórych kluczowych obszarów po prostu nie ma już sensu" – powiedziała wtedy.

Chwilę później głos zabrał Emmanuel Macron, prezydent Francji,

Fot. Andrzej Wiktor (3x)

eprasa.pl 22b9a0cb92

państwa, które w tym momencie przewodniczy Radzie Unii Europejskiej. Przybył do Strasburga wkrótce po wygranych wyborach. Pełny zwycięskiej pewności siebie również wzywał do centralizacji Unii.

Zaraz po ich wystąpieniach swoje stanowisko ogłosiło 13 członków UE, którzy we wspólnym oświadczeniu zaznaczyli, że są przeciwko zniesieniu zasady jednomyślności, która jest jedną z podstawowych zasad traktatowych. Oświadczenie podpisały Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Dania, Estonia, Finlandia, Litwa, Łotwa, Malta, Polska, Rumunia, Słowenia i Szwecja.

Jak zauważyli analitycy, jest to bardzo zróżnicowana grupa, obejmująca „nowych" i „starych" członków Unii. Nie jest jednak pewne, czy głos tych państw będzie cokolwiek znaczył. Szczególnie w sytuacji, gdy Unia wyraźnie chce wykorzystać wojnę na Ukrainie jako środek do osiągnięcia swoich reformatorskich celów. „Podejrzewam, że pojawi się na stole propozycja: albo zgodzicie się na dalszą centralizację UE i zmianę ustroju, albo nie ma mowy o rozszerzeniu wspólnoty na Bałkany Zachodnie i Ukrainę. Czyli szantaż polityczno-moralny" – powiedział eurodeputowany Saryusz-Wolski.

Jacek Saryusz-Wolski

Prof. Krasnodębski zgadza się z tą oceną. – Nie chodzi tutaj o hipotezę dotyczącą przyszłości, lecz o proces, który już odbywa się na naszych oczach, na razie tylko w Parlamencie Europejskim, ale podobną tendencję widać również w Radzie Unii Europejskiej. Trzeba reagować odpowiednio wcześnie. Niestety, „Konferencja w sprawie przyszłości Europy" została w dużej mierze zignorowana w Polsce. Na przykład nie zorganizowaliśmy panelu obywatelskiego ani nie przeprowadziliśmy badań opinii publicznej. Ciągle jest jeszcze czas, żeby się przeciwstawić tym tendencjom, ale do tego potrzeba budowy sojuszu międzynarodowego, intensywnej pracy ekspertów, szczególnie prawników, mobilizacji społeczeństwa, a także uznania, że polityka unijna, nieograniczająca się tylko do kwestii pieniędzy, należy do priorytetów naszej polityki w ogóle, oraz że nie tylko na wschodzie, na Ukrainie, lecz także na zachodzie, w Brukseli, rozstrzyga się to, czy Polska będzie w przyszłości państwem suwerennym – podkreślił Krasnodębski.

Zdzisław Krasnodębski

Prof. Legutko mówi nam wprost: – Czasy są niebezpieczne. UE centralizuje się przez kryzysy, te kryzysy, które ujawniają jej strukturalne słabości i które powinny skłaniać do zmiany kierunku, ku mniejszej centralizacji. Tak było z kryzysem finansowym w 2008 r., który został wykorzystany do centralizacji strefy euro. Chwała Opatrzności, że nie jesteśmy w strefie euro, bo już w tej dziedzinie w ogóle nie mielibyśmy nic do powiedzenia. Podobna operacja nie udała się im z migrantami, choć też była taka próba nazwana „przymusowym mechanizmem relokacji". Nie udało się to z powodu wyraźnego buntu niektórych krajów. Pandemia i wojna na Ukrainie spowodowały, że eurokraci znowu chcą mieć więcej do powiedzenia – wyjaśnia prof. Legutko.

I dodaje: – Bądźmy świadomi, że cały system unijny jest chory. Z jednej strony mamy fatalną praktykę łamania traktatów przez instytucje unijne, a z drugiej – w traktatach muszą być luki, skoro umożliwiają bezkarność podobnych praktyk. W konstytucjach państw narodowych podstawowym celem jest stawianie nieprzekraczalnych granic instytucjom, tak by nie przywłaszczały sobie nieprzyznanych im kompetencji. Tymczasem traktaty są pełne sformułowań, które zachęcają do przekraczania i wychodzenia poza swoje kompetencje. Już w pierwszym artykule traktatu o Unii Europejskiej czytamy o coraz bardziej jednoczącej się Europie. Stanowi to w istocie zachętę dla instytucji unijnych do działania metodą faktów dokonanych na rzecz coraz większej integracji. Taka praktyka w normalnych krajach członkowskich byłaby piętnowana, a nawet powstrzymywana przez sądy konstytucyjne, tutaj jest zalecana i błogosławiona przez TSUE.

W takich „bardzo trudnych czasach" zwolennicy centralizacji Unii Europejskiej chcą nam „sprzedać" wielkie polityczne oszustwo, według którego nie da się przezwyciężyć zagrożenia dla Europy ze Wschodu bez federalizacji Unii.

JAK NA TO REAGOWAĆ?

Oto co mówi prof. Ryszard Legutko: – Jesteśmy w kluczowym momencie. Albo Unii Europejskiej uda się przeprowadzić ten skok ku większej centralizacji, albo nie. Jeśli się uda, mamy Finis Poloniae, a także innych krajów Europy Wschodniej. Wszystkie kluczowe decyzje będą zapadały poza nami, a my nie będziemy posiadali żadnych narzędzi, by je zablokować. Sytuacja jest więc niezwykle poważna. Dobrym sygnałem jest pojawienie się dokumentu podpisanego przez 13 krajów członkowskich sprzeciwiających się wszelkim zmianom traktatowym. Czy to wystarczy, by powstrzymać najgorsze? Wydaje się, że tak, ale jeżeli zapadnie decyzja w grupie trzymającej władzę, że idziemy w kierunku centralizacji, to zacznie się proces straszenia, przekupywania i szantażowania. W rezultacie czego od tej 13 będą odpadać kolejne państwa, a na końcu zostaną dwa z Europy Wschodniej i rozpocznie się przeciw nim wielki ostrzał artyleryjski. Pamiętajmy, że polityka europejska staje się coraz brutalniejsza. To nie jest tak, że przedstawiciele krajów spotykają się i załatwiają coś wspólnie w duchu solidarności. Główny nurt europejski oraz wyłoniona z niego grupa trzymająca władzę mają za jeden ze swoich celów neutralizację wszelkich sił konserwatywnych w Europie, wliczając w to obecny rząd Polski.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Wielki wybuch

WOJCIECH LADA

Pod koniec 1917 r. nastąpiła największa wywołana przez człowieka eksplozja w dziejach ludzkości przed nastaniem ery atomowej. Kanadyjski port Halifax wyparował

Choć był grudzień, tego ranka w Halifaxie temperatura sięgnęła blisko 5 tys. stopni Celsjusza. Ale nie to było najgorsze. W ciągu ułamków sekund potężna fala uderzeniowa, z szybkością wielokrotnie przekraczającą prędkość dźwięku, zmiotła wszystko, co spotkała na swojej drodze w promieniu kilometra, i niemal wszystko jeszcze półtora kilometra dalej. Znikały budynki, znikali ludzie – ci ostatni szczególnie licznie, bo przybiegli tłumnie do portu, by obejrzeć malownicze widowisko płonącego statku.

Kiedy umierali, rozpościerała się nad nimi chmura dymu w kształcie monstrualnego grzyba, wyrastającego prawie 4 km w niebo. Przestali istnieć, zanim zdążyli usłyszeć huk. Część po prostu natychmiast wyparowała, część została odrzucona kilometry poza miasto. Niektóre ciała znajdowano jeszcze dwa lata później. Spora armata, która znajdowała się w epicentrum, została odnaleziona ponad 5 km dalej.

SIEDEM WĘZŁÓW

Przed I wojną światową Halifax był niewielkim malowniczym portem w Nowej Szkocji. Ale wojna przyniosła Kanadzie wspaniałą koniunkturę gospodarczą. „Wybuch wojny odciął Europę Zachodnią od zboża rosyjskiego i umożliwił Kanadzie zwiększenie produkcji rolnej. Wzrost ten dotyczył nie tylko zbóż, ale również hodowli bydła. Farmerzy jako pierwsi poczuli poprawę koniunktury, ale wkrótce ożywiły się także przemysł i górnictwo" – pisał Jan Grabowski, a Piotr i Anna Wróblowie dodawali, że Kanada stała się największym producentem żywności na świecie. Kanadyjczycy zarobili również krocie na zaopatrzeniu działań zbrojnych. Przed 1914 r. nie było tam ani jednej fabryki amunicji – cztery lata później na eksporcie pocisków zyskano na czysto miliard dolarów, stanowiły one 30 proc. wszystkich, którymi strzelali wówczas Brytyjczycy.

W takich miejscach jak Halifax odczuwało się to wszystko nawet silniej, bo

eprasa.pl 22b9a0cb92

miasto dodatkowo bogaciło się na swoim porcie, który odgrywał ważną rolę w wojennym tranzycie między USA i Europą. Pod koniec wojny miasteczko rozrosło się do rozmiarów 60-tysięcznego miasta, o gęstej i nieco chaotycznej zabudowie. Zazwyczaj przebywało w nim zresztą znacznie więcej osób, bo krążyły tu całe tłumy płynących do lub z Europy żołnierzy.

6 grudnia 1917 r. nie wyróżniał się niczym szczególnym. O świcie jak zwykle zdjęto stalowe siatki, które uniemożliwiały wpłynięcie do portu niemieckim łodziom podwodnym – bardzo aktywnym w tym rejonie – i rozpoczął się standardowy ruch morski. Kapitan Haakon From czekał na ten moment, przestępując z nogi na nogę. Już drugi dzień tkwił w porcie, bo pojawiły się jakieś problemy z zatankowaniem paliwa, a on był znów spóźniony. Jego okręt, „Imo", płynął do Nowego Jorku, by zabrać jakieś towary dla pokaleczonej działaniami wojennymi Belgii. Nie był człowiekiem cierpliwym. Kiedy tylko dostał pozwolenie na wyjście w morze, wydał stosowne rozkazy i statek ruszył. O wiele za szybko, świadkowie wspominali o nawet siedmiu węzłach, w dodatku ignorując ściśle wyznaczone w porcie tory wodne. Nie było to wówczas czymś nadzwyczajnym. W tym czasie patrzono na podobne zachowania przez palce, bo wszystkim zależało, by transport szedł szybko i sprawnie. Tego dnia okazało się to katastrofalnym błędem.

STO METRÓW

„Mont Blanc" był jednostką francuską, 20-letnim okrętem 100-metrowej długości. Co ciekawe, sporą część jego wnętrza szczelnie obito drewnem, zasłonięto wszelkie wystające elementy metalowe, a załoga została zobowiązana zamiast butów używać specjalnych ni to kapci, ni to skarpet. Dlaczego? Bo statek przeznaczony był do transportu materiałów wybuchowych i chodziło o to, by zminimalizować możliwość pojawienia się iskry. Tego dnia miało to szczególne znaczenie, gdyż statek w swoich ładowniach przewoził blisko 2,5 tys. ton kwasu pikrynowego, 200 ton trotylu, 10 ton bawełny strzelniczej, kilkaset skrzynek z amunicją i nieco mniej, zaledwie 5 ton, płynnego benzenu. Był on tak naprawdę wielką pływającą bombą.

Kapitan Aimé Le Médec płynął nim z Nowego Jorku do Europy, gdzie tego rodzaju arsenał należał do towarów pierwszej potrzeby. W odróżnieniu od swojego norweskiego kolegi był dowódcą ostrożnym, unikał brawury, nie ryzykował. Wiedział, co wiezie i jakie wiąże się z tym niebezpieczeństwo. Wchodził więc do portu poprawnie, powoli, zachowując wszelkie procedury. Kiedy zobaczył przed dziobem szarżującego „Imo", spokojnie wysłał odpowiednie sygnały ostrzegawcze, ale ku jego zdumieniu Norwegowie nie zareagowali na nie. Oba statki znajdowały się na kursie kolizyjnym. Kapitan natychmiast ustawił „Mont Blanc" tak, by „Imo" co najwyżej otarł się o jego burtę, po czym rozkazał wyłączyć silniki. Kapitan From zareagował dopiero w tym momencie. Nie widział Francuzów? Liczył na szczęście? Tego nie dało się ustalić. Ale kiedy i on rozkazał wyłączenie silników, było już za późno.

Wszystko działo się od tej pory jak w zwolnionym tempie. Obie jednostki powoli, bardzo powoli, ale nieuchronnie dryfowały ku sobie. Jedyne, co można było robić, to patrzeć. W pewnym momencie wydawało się, że cała operacja się uda i miną się być może z lekkim otarciem... Uderzenie, przynajmniej jak na tę sytuację, było bardzo delikatne. Gdyby „Mont Blanc" przewoził inny towar, o całym zdarzeniu nikt by się pewnie nie dowiedział, co najwyżej marynarze wdaliby się w awanturę w jakiejś portowej tawernie. Ale uderzenie wstrząsnęło pokładem francuskiego statku na tyle silnie, że naruszyło wiązanie beczek z benzenem i bardzo łatwopalna substancja rozlała się po pokładzie, częściowo wpadając również do morza.

Wszystko to wyglądało groźnie, ale wciąż nie zwiastowało katastrofy. Wystarczyło nie zbliżać się do benzenu z ogniem. W tym jednak momencie kpt. From wydał rozkaz: „Cała wstecz", a to wystarczyło, by pojawiło się najgorsze – iskra. Z punktu widzenia Norwegów była to słuszna decyzja, bo „Imo" uniknął płomieni, które natychmiast opanowały pokład „Mont Blanc" i po części wodę. Z punktu widzenia Francuzów również kpt. Le Médec wydał właściwy rozkaz – natychmiastowej ewakuacji. Z punktu widzenia tysięcy mieszkańców Halifaxu jedynym głosem rozsądku był obecny na „Mont Blanc" pilot z kanadyjskiego portu, który błagał Francuzów, by przed ewakuacją skierowali przynajmniej statek na pełne morze. Nikt go jednak nie słuchał. „Mont Blanc", pozbawiony już załogi, z szalejącymi na pokładzie płomieniami, jak wprawiona w ruch kula bilardowa bardzo wolno dryfował w kierunku nabrzeża numer 6.

I WSZYSTKO ZNIKNĘŁO

Kiedy Vincent Coleman wychodził tego ranka do pracy, nie spodziewał się, że zostanie bohaterem. Był skromnym pracownikiem kolei w Halifaxie, zawiadował ruchem pociągów, co było pracą raczej monotonną. Ale nie tego dnia. Informację o płonącym statku z amunicją otrzymał ok. godz. 8.50. Zareagował natychmiast: nakazał ewakuację dworca i sam również starał się uciec jak najdalej. Kiedy jednak ukrył się już w bezpiecznym miejscu, dotarło do niego, że o 8.55 ma przyjechać pociąg osobowy.

Fot. Nova Scotia Archives

eprasa.pl 22b9a0cb92

Całkowicie świadomy niebezpieczeństwa wrócił więc na stację, nakazał zatrzymanie pociągu w bezpiecznej odległości od miasta i... już nie zdążył się ukryć.

Tymczasem do portu napływały tłumy. Nikt nie wiedział o ładunku „Mont Blanc", a płonący okręt to atrakcyjny i niecodzienny widok, nawet dla mieszkańców portowego miasta. Nikt też nie uciekał z zacumowanych jednostek. Przeciwnie, zarówno służby portowe, jak i marynarze szykowali niezbędny sprzęt, by pomóc w gaszeniu. A „Mont Blanc" wciąż bardzo powoli zbliżał się do nabrzeża. Tak wolno, że kiedy w nie uderzył, prawie nie było tego słychać. Służby rzuciły się do akcji ratowniczej, strażacy uruchamiali pompy, a tłumy przyglądały się widowisku z zapartym tchem.

Nie zauważyli, kiedy zginęli. Szybkość rozchodzenia się fali uderzeniowej i piekielna temperatura eksplozji sprawiły, że jakieś półtora tysiąca ludzi nagle zniknęło. W promieniu kilometra od nabrzeża numer 6 nie pozostało nic. Dopiero dalej rozgrywały się sceny znane z filmów katastroficznych, tyle że z intensywnością, jaka nie przyszła nawet do głowy reżyserom hollywoodzkich produkcji. W promieniu dalszego półtora kilometra ludźmi ciskało o ściany budynków i rzucało nimi na ulice, ginęli od miliardów odłamków szkła z wybitych okien, które przecinały powietrze w tempie szybszym niż dźwięk. Zawalały się budynki – nie tylko lekkie domy, lecz również mocne, betonowe konstrukcje. Dodatkowo wszystko to wkrótce zaczęło płonąć, bo podmuch przewracał lampy, a nie był to jeszcze czas powszechnej elektryczności. Kto zaś nie spłonął, mógł utonąć. Choćby we własnym domu. Wybuch wywołał 18-metrową falę tsunami, która oprócz mas wody, wyrzuciła na brzeg większość zacumowanych w porcie okrętów. Stalowe cumy wobec żywiołu były śmieszną przeszkodą.

Echa eksplozji były odczuwalne dziesięć kilometrów od miasta, a potężny grzyb dymu widoczny ze znacznie dalszej odległości. Pomoc przyszła więc natychmiast, spontanicznie, nawet niewzywana. Tyle że niewiele można było już zrobić, a w dodatku następnego dnia ruiny miasta zasypała śnieżyca, co pomogło w gaszeniu pożarów, ale utrudniło poszukiwania.

TRZY TYSIĄCE TON TROTYLU

Kanadyjczycy mieli tego dnia już dość wojny. Początkowo poparcie i wsparcie dla wojującej Wielkiej Brytanii było znaczne. Płynęły darowizny, zgłaszało się mnóstwo ochotników, a już w październiku 1914 r. 30-tysięczny kontyngent ruszył, by walczyć w okopach Francji. W ciągu pierwszych dwóch lat do wojska zgłosiło się tu pół miliona młodych Kanadyjczyków. W 1917 r. sytuacja była już jednak inna. „Uznawani byli za bardzo dobrych żołnierzy i posyłano ich na szczególnie niebezpieczne odcinki. W rezultacie ponosili niezwykle duże straty i dowództwo domagało się stałych uzupełnień" – pisali Anna i Piotr Wróblowie. Co dziesiąty wysłany do Europy Kanadyjczyk zginął, nic więc dziwnego, że entuzjazm do walki szybko opadł. Do tego stopnia, że rząd wprowadził przymusowy pobór.

> Kiedy w lipcu 1941 r. brytyjski komitet odpowiedzialny za udział nauki w wojnie przekazał rządowi raport o tym, że bombę uranową da się skonstruować, aby unaocznić politykom siłę jej rażenia, przywołał skutki eksplozji w Halifaxie

W narastającej atmosferze antywojennej rodziła się szpiegomania. Każdy człowiek mówiący po niemiecku bądź noszący niemieckie nazwisko stawał się automatycznie podejrzany. Zaledwie miesiąc przed eksplozją rząd wprowadził w życie dwie ustawy. Jedna rozszerzała prawa obywatelskie dla kobiet związanych z walczącymi w Europie żołnierzami, druga zaś – odbierała te prawa emigrantom niepewnych narodowości, naturalizowanym przed 1902 r. A więc także Polakom. Na własne oczy obserwował tę atmosferę Józef Samulski, który do Kanady przybył z Wielkopolski: „Jak się wojna zaczynała, to ludność miastowa uważała nas jako wrogów, bośmy prawie wszyscy byli z Poznańskiego, a to wtenczas należało do zaboru niemieckiego. Nas uważali jako Niemców. Ludzie innych narodowości myśleli, że my się ćwiczymy, żeby w razie gdy się sposobność nadarzyła, Niemcom pomóc w tej wojnie [...] Mój przełożony Percy Blodget mówi mi: »Ale wyście są Niemcy?«. A ja mu mówię, że my są Polacy, a że po niemiecku umiemy mówić, to z powodu, że nas w szkołach przymusowo Niemcy nauczyli".

Po wybuchu w Halifaxie nastroje te pogorszyły się jeszcze bardziej. „Zima 1918 r. zapisała się w Kanadzie jako najgorszy okres wojny. Niemieckie łodzie podwodne zatopiły wiele okrętów u wybrzeży Nowej Szkocji, a nawet w Zatoce Świętego Wawrzyńca" – zauważali Wróblowie. Nic też dziwnego, że w całym zdarzeniu widziano nie tragiczny wypadek, lecz akt sabotażu. Na szczęście dla wszystkich szybko przeprowadzone śledztwo wykluczyło taką wersję wydarzeń. Stwierdzono, że dowódcy obu jednostek popełnili karygodne błędy, ale nie było w tym złej woli. Powoli też szacowano straty, choć dokładnych liczb nie ustalono nigdy. Założono, że ogólna liczba ofiar wynosi ponad 1,9 tys., z czego 1,6 tys. zginęło na miejscu, pozostałe 300 zmarło zaś w wyniku odniesionych ran. Ogółem rannych zostało 9 tys. osób, ale brak informacji na ile ciężko. Gdyby nie Vincent Coleman, zginęłoby zapewne jeszcze około 300 – tylu bowiem było pasażerów w zatrzymanym pociągu. Co jednak najciekawsze, ocaleli wszyscy marynarze z „Mont Blanc", zaś na „Imo" – wyrzuconym przez tsunami na brzeg – ofiar było wiele.

Przy okazji eksperci starali się oszacować siłę tej niespotykanej dotąd eksplozji. Wyliczenia wprawiły wszystkich w osłupienie. Okazało się bowiem, że miała siłę odpowiadającą blisko 3 tys. ton trotylu. To zaś oznaczało, że był to największy wybuch wywołany sztucznie przez człowieka w dotychczasowych dziejach ludzkości. Nic też dziwnego, że kiedy wiele lat później naukowcy referowali politykom opcję stworzenia bomby atomowej, zapytani o potencjalną skalę zniszczeń, podali właśnie Halifax. Eksplozja z 1917 r. miała mniej więcej pięciokrotnie mniejszą siłę rażenia niż ta, którą bomba „Little Boy" wywołała niemal 30 lat później w Hiroszimie.

Reklama | 13/0622/F

eprasa.pl 22b9a0cb92

ORLEN FUNDACJA

CLUB VITAY

ZAMIEŃ PUNKTY NA POMOC

Za każde **1000 punktów** VITAY przekazane przez użytkowników Programu VITAY, Fundacja ORLEN przeznaczy **5 zł** na pomoc Ukrainie, a za każde **5000 punktów** – **25 zł**.
Wymiany punktów można dokonać na stronie vitay.pl w zakładce Fundacja ORLEN.
Punkty można przekazywać wielokrotnie.

Zebrane środki trafią do Fundacji ORLEN i zostaną przeznaczone na wsparcie dla mieszkańców Ukrainy.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Jak ukraiński dentysta oszukał Rosję

Brzmi to jak scenariusz filmu gangsterskiego. Berliński dentysta ukraińskiego pochodzenia i jego kochanka wystawili na sprzedaż grunty należące w Niemczech do Federacji Rosyjskiej. Część z nich nawet udało im się sprzedać. Pozostaje pytanie: czy był to zwykły szwindel, czy gra służb?

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Fot. Mo Photography Berlin/Shutterstock.com

Jak pisze niemiecki tygodnik „Der Spiegel", 18 marca tego roku handlarz nieruchomościami Sascha Klupp, prezes renomowanej firmy Inter Stadt AG, przyjechał do dzielnicy Karlshorst na południowym wschodzie Berlina, by obejrzeć grunty, które właśnie nabył. Jest to miejsce symboliczne. W 1945 r. znajdowało się tu kasyno oficerskie Wehrmachtu. To w nim Armia Czerwona przyjęła niemiecką kapitulację. W okresie zimnej wojny stacjonowały tu wojska sowieckie – 1000 żołnierzy i 150 czołgów. Od 1994 r. tereny dawnych sowieckich koszar w Karlshorst stoją puste, a znajdujące się tam budynki powoli gniją. To 17 tys. mkw. w dzielnicy, która się prężnie rozwija.

Klupp był przekonany, że zrobił interes życia. Gdy dotarł na miejsce, drogę zagrodziło mu jednak dwóch pracowników rosyjskiej ambasady. Doszło do przepychanki, została wezwana policja, która, jak twierdzi „Der Spiegel", rozdzieliła zwaśnione strony. Przy okazji Klupp dowiedział się, że państwo rosyjskie nigdy nie wystawiło gruntów na sprzedaż ani nic nie wie o transakcji. Zarówno handlarz nieruchomościami, jak i rosyjska ambasada złożyli zawiadomienia do prokuratury.

PODZIĘKOWANIA OD FSB

Ta musi teraz rozwikłać zagadkę, jak Klupp wszedł w posiadanie gruntów należących do rosyjskiego państwa. Sprawa nabrała nawet cech politycznej intrygi, bowiem strona rosyjska poprosiła o pomoc niemiecki MSZ. Klupp, autor popularnego bloga o nieruchomościach, kupił tereny dawnych koszar sowieckich w Karlshorst za 13,5 mln euro od dentysty Jefima B. we wrześniu 2021 r. po wielomiesięcznych negocjacjach.

Z początku handlarz nieruchomościami miał wątpliwości. Ale Jefim B. przedstawił wszystkie konieczne dokumenty: pełnomocnictwa administracji prezydenta Rosji Władimira Putina, autoryzujące go do sprzedaży gruntów. Klupp kazał je sprawdzić przez renomowaną kancelarię prawną i notariusza. Zostały uznane za autentyczne. Dentysta, który urodził się w Czerniowcach na Ukrainie, miał zresztą dobrą renomę. Od lat inwestuje w nieruchomości, mieszka w eleganckiej willi w ekskluzywnej berlińskiej dzielnicy Wilmersdorf. W przeszłości działał w branży hazardowej i gastronomicznej. Nigdy nie był karany.

Do sprzedaży cudzej własności miała namówić go jego kochanka Olena G., także Ukrainka. Jak dowiedział się „Der Spiegel", kobieta wmówiła mu, że Kreml chce „dyskretnie" sprzedać nieruchomo-

eprasa.pl 22b9a0cb92

ści w Niemczech za jego pośrednictwem. To ona przesłała mu pełnomocnictwa administracji Putina. Sama twierdziła, że jest pułkownikiem rezerwy FSB. Tak w każdym razie wynika z wiadomości, które kobieta wysyłała mu za pomocą komunikatora internetowego. Później tym samym kanałem otrzymał nawet „oficjalne" podziękowania za swoje starania od FSB z dopiskiem, by nikomu nie mówił o zbliżających się transakcjach, bo „pieniądze kochają ciszę".

Tak więc Jefim B. działał dyskretnie. Na tyle, że rosyjska ambasada niczego nie zauważyła. Podobnie jak Klupp, któremu wydawało się logiczne, że rosyjskie państwo chce sprzedać podupadające od 30 lat nieruchomości. Sąd administracyjny w dzielnicy Lichtenberg bez problemu wydał dentyście dokumenty dotyczące gruntów w Karlshorst.

POLITYCZNE TŁO?

Wątpliwości nabrała dopiero notariusz, u której pod koniec 2021 r. pojawili się Klupp i Jefim B., by sfinalizować transakcję. Notariusz zdziwiła się, że konto na które suma sprzedaży miała zostać przelana, było prowadzone w Niemieckim Banku Aptekarzy i Lekarzy, należącym do rodziny dentysty. Na wszelki wypadek złożyła zawiadomienie o podejrzenie o pranie brudnych pieniędzy. Umowę sprzedaży i tak zatwierdziła. Przy okazji dentysta nabył 10 proc. w spółkach, na które grunty miały zostać przepisane. W skrócie: sprzedał je – co najmniej częściowo – samemu sobie. Sąd administracyjny w Lichtenbergu i w tym nie widział nic zdrożnego. W październiku 2021 r. spółki, w których udziałowcami byli Klupp i dentysta, zostały wpisane do ksiąg wieczystych. A rosyjskie państwo zostało z nich wykreślone.

Dla Jefima B. – jak pisze „Der Spiegel" – był to dopiero początek przygody z rosyjskimi nieruchomościami. 28 lutego tego roku, korzystając z tych samych pełnomocnictw, sprzedał on kolejne dwie: ośrodek wypoczynkowy nad jeziorem w Brandenburgii, który do dziś jest używany przez Rosjan, za sumę 300 tys. euro, oraz budynek byłego Konsulatu Generalnego ZSRS w Berlinie Zachodnim, w dzielnicy Dahlem, za 1,6 mln euro. Tym razem kupcami były spółki, których udziałowcami są jego synowie. Jefim B. przymierzał się także do sprzedaży dawnego biurowca rosyjskich linii lotniczych Aerofłot przy Bramie Brandenburskiej, na Unter den Linden. Moskwa posiada tam wiele nieruchomości, wschodzących w skład kompleksu ambasady Federacji Rosyjskiej. O tym Rosjanie się jednak dowiedzieli, tym bardziej że w międzyczasie na terenie dawnych koszar w Karlshorst kupcy zawiesili szyld, informujący o tym, że zmieniły one właściciela. Rosjanie złożyli sprzeciw w sądzie wobec ich zdaniem nielegalnej sprzedaży nieruchomości i sprawa trafiła do prokuratury.

Według „Der Spiegla" w rosyjskiej ambasadzie wybuchła w marcu prawdziwa panika. Kilka tygodni wcześniej Kreml rozpoczął inwazję na Ukrainę, a tu pochodzący z Ukrainy dentysta niezauważenie sprzedał rosyjskie nieruchomości w Niemczech. Pracownicy ambasady skierowali m.in. list z pretensjami do sądu, który zmienił wpis w księgach wieczystych, przekonując, że pełnomocnictwa Jefima B. były sfałszowane, ale ten nie poczuwa się do odpowiedzialności. Zdaniem sądu Rosjanie nie udowodnili w wystarczającym wymiarze, że obowiązujące przepisy prawne zostały naruszone. Prokuratura zabezpieczyła mimo to sprzedane grunty oraz zamroziła zapłacone za nie pieniądze. Z wyjątkiem niebagatelnej sumy 1,8 mln euro, którą dentysta przelał na konto mężczyzny z rosyjskim nazwiskiem rzekomo mieszkającego w Moskwie. Tych środków – jak twierdzi „Der Spiegel" – nie da się raczej odzyskać.

BLAMAŻ MOSKWY

Wciąż nie wiadomo, czy cała sprawa to zuchwałe oszustwo, czy politycznie umotywowana akcja, na tle rosyjskiej agresji na Ukrainę. Zarówno dentysta, jak i jego kochanka mają ukraińskie pochodzenie. Nie próbowali zresztą uciec, tylko zatrudnili adwokatów i zamierzają bronić się przed zarzutami. Jefim B. zawarł umowę z Kluppem na zwrot zapłaconych za nieruchomości pieniędzy. Kto kogo oszukał i dlaczego tego pewna nie jest nawet prokuratura?

Niemieccy śledczy zapewniają jednak, że w całej sprawie nie chodziło o ośmieszenie Rosji, nawet jeśli taki był jej ostateczny wydźwięk. Nie ma ich zdaniem także wskazówek na grę służb. Kim jest Rosjanin, któremu przekazano część pieniędzy ze sprzedaży nieruchomości, wciąż nie wiadomo. Ani dlaczego dentysta prowadzący dobrze prosperującą przychodnię w dzielnicy Neukölln nie zwątpił ani przez chwilę w zlecenie rzekomo otrzymane od FSB i nie zadał sobie pytania, dlaczego rosyjskie służby muszą korzystać z jego pomocy, by sprzedać kilka nieruchomości w Berlinie.

Pod koniec marca śledczy przeszukali wiele mieszkań i urzędów oraz skonfiskowali liczne dokumenty, telefony komórkowe i nośniki danych. Jednocześnie zabezpieczyli księgi wieczyste, umowy kupna i wyciągi z rachunków bankowych wszystkich uczestników oszukańczego procederu. Rosyjska ambasada stara się aktywnie uczestniczyć w śledztwie. Blamaż jest ogromny, sprawa była szeroko relacjonowana w mediach. Olenie G. i Jefimowi B. grożą długoletnie kary więzienia.

BETONOWE ZŁOTO

Nie tylko rosyjska ambasada, lecz także rosyjscy oligarchowie drżą o swoje nieruchomości w niemieckiej stolicy. Ale z zupełnie innych powodów. Obywatele Rosji zainwestowali – jak twierdzi dziennik „Berliner Zeitung" – przez ostatnią dekadę od 20 do 50 mld euro w mieście. Kupowali biurowce, wille, stacje benzynowe i kamienice. „Betonowe złoto" – nazywają te inwestycje eksperci. Odkąd bomby zaczęły spadać na ukraińskie wsie i miasta, w berlińskich agencjach nieruchomości obsługujących Rosjan zapanował chaos. Zaniepokojeni sankcjami klienci próbują pozbyć się swoich inwestycji, bo „nie ufają już Niemcom". Niektórzy, jak miliarder, zapalony dżudoka i bliski przyjaciel Putina, Arkadij Rotenberg, byli bardziej przezorni i pozbyli się swojego betonowego złota po aneksji Krymu. W 2016 r. Rotenberg sprzedał swoje udziały w kompleksie willowym w luksusowej dzielnicy Schmargendorf za 2,5 mln euro bratu i córce, których nie objęły sankcje. Panika chyba jednak jest przedwczesna. Jak pokazała afera wokół Oleny G. i Jefima B., sądy, notariusze i agenci nieruchomości za Odrą nie interesują się nadmiernie tym, kim są rzeczywiści beneficjenci przeprowadzanych przez nich transakcji.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Skąd ta małpia ospa

To nie jest nowy wirus, który zmutował, nowa jest droga przenoszenia. Nigdy nie mówiono, że jest to wirus związany z aktywnością seksualną, tym razem okazało się, że jest

Z prof. Włodzimierzem Gutem, wirusologiem, rozmawia Aleksandra Jakubowska

GOŚĆ JAKUBOWSKIEJ

Wirus małpiej ospy dotarł do kilku europejskich krajów, w których do tej pory nie występował. Odnotowano także pojedyncze przypadki w USA i Australii. Niektórzy obawiają się, czy nie będzie powtórki z koronawirusa wywołującego COVID-19.

Włodzimierz Gut: To nie jest koronawirus, nim jest znacznie trudniej się zarazić. Występował już wcześniej, ok. 80 osób zachorowało w 2003 r. w Stanach Zjednoczonych, ale tam można było dość łatwo udowodnić kontakt ze zwierzętami, głównie afrykańskimi, bo to małe gryzonie są przede wszystkim nosicielami tej ospy. Nie wiem, dlaczego akurat małpy znalazły się w nazwie, one tak samo jak ludzie zarażają się od tych zwierzątek.

Spotkałam się z opiniami ekspertów, że te przypadki zachorowań na małpią ospę, które się pojawiły teraz, to jest wynik tego, że skończyła się covidowa izolacja i ludzie się przemieszczają. Ale przecież ten wirus nie pojawił się nagle, był w Afryce Środkowej i Zachodniej od dawna. My, jeżeli słyszymy, że jakiś wirus pochodzi z Afryki, od razu obawiamy się najgorszego, mając w pamięci śmiertelne żniwo, jakie zbierały ebola, marburg czy gorączka Zachodniego Nilu.

Rozluźnienie covidowych restrykcji w przemieszczaniu się nie ma z tym nic wspólnego. Jak już wspomniałem, źródłem zakażenia w USA w 2003 r. były drobne zwierzątka przywożone z Afryki. Zawsze można było łatwo udowodnić kontakty z Afryką. W tym roku mamy jeden element, którego poprzednio nie było. Mamy taką sytuację, że zachorowania występują wśród ludzi, którzy nie byli w Afryce, nie mieli kontaktu z afrykańskimi zwierzętami, i tu już jest pewien rodzaj niepokoju. Drugim niepokojącym elementem jest fakt dominacji w tegorocznej grupie zarażonych osób mężczyzn mających kontakty seksualne z mężczyznami, także biseksualistów. I rozmieszczenie zmian skórnych jest inne, skupia się wokół organów płciowych. Nie jest to w tej chwili aż tak dramatyczna sytuacja, po prostu ten wirus przeniknął do populacji. To nie jest nowy wirus, który zmutował, nowa jest droga przenoszenia. Nigdy nie mówiono, że jest to wirus związany z aktywnością seksualną, tym razem okazało się, że jest.

To znaczy, że mamy nową chorobę typu AIDS?

To nie jest wirus HIV, jego działanie jest inne, na razie nikt nie umarł, zmiany skórne powodują jedynie powstawanie blizn. Nie w tym jest rzecz. Nie ustalono, kiedy chorzy się zakazili, czy przypadkiem do zakażenia nie doszło przed wystąpieniem objawów, bo wtedy sprawa byłaby poważna. To jest nowa droga zakażenia.

Nie stwierdzono zatem, kto jest pacjentem zero?

Nie, tego nie stwierdzono. Najprawdopodobniej pacjent zero zaraził się od zwierzaczka czy od kogoś, kto przebywał w Afryce, ale tego jeszcze nie wiemy. Wiemy, że sprawa dotyczy grupy ludzi o określonej orientacji homo- i biseksualnej.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Fot. Andrzej Wiktor

I to jest problem. Jeśli wirus zmienił sposób rozprzestrzeniania się, może być duży kłopot.

Czym się różni ospa małpia od ospy wietrznej czy też ospy prawdziwej, z którą świat sobie poradził już 42 lata temu, choć może gdzieś jest ukryta w laboratoriach i szykowana jako broń biologiczna. Co mają z sobą wspólnego?

Małpia ospa jest znacznie łagodniejsza od tego, co było prawdziwą ospą, a obie te ospy nie mają nic wspólnego z ospą wietrzną. Wszystkie trzy mają w nazwie „ospa", ale ospa wietrzna nie ma z pozostałymi dwiema nic wspólnego, ją wywołuje herpeswirus w dwóch formach: wysypkowej w dzieciństwie i półpaśca, kiedy się aktywuje u dorosłych, dlatego wolę używać określenia „wiatrówka" niż ospa wietrzna. Są to choroby o charakterze zmian skórnych, z tym że w przypadku małpiej ospy to są dość poważne zmiany. Zakaźność jest po wystąpieniu objawów, czyli można zrobić to, co teraz Belgia, a więc wprowadzić dla osób zakażonych izolację. Między 13 a 21 maja zachorowały na świecie 92 osoby, a 28 jest z podejrzeniem jeszcze niepotwierdzonym. Głównie miało to miejsce w Portugalii, Szwecji i Wielkiej Brytanii.

Byliśmy w dzieciństwie szczepieni na ospę.

To było szczepienie przeciwko „wiatrówce", ale to nie chroni w żaden sposób przed małpią ospą, bo to nie ta grupa wirusów. Chroniłoby szczepienie przeciwko ospie prawdziwej, ale już od lat 80. ub.w. nie szczepi się przeciwko tej chorobie, bo została ona wyeliminowana. Mamy dość przykre doświadczenia, jeżeli chodzi o ospę prawdziwą, dlatego że szczepionka zastosowana u starszych osób daje duże ryzyko powikłań. W czasie epidemii wrocławskiej w 1963 r. było tyle samo zgonów na tzw. czarną ospę jak po szczepieniach. Używana wówczas szczepionka krowiankowa zawierała dość ryzykowny wirus. To groźba śmierci na ospę prawdziwą spowodowała, że nie liczono się w ogóle ze skutkami szczepienia. Dzieci tolerowały ją w miarę dobrze, ale dorosłych, którzy nie byli szczepieni w dzieciństwie, ja bym nie zaszczepił.

Do Polski jeszcze nie dotarła małpia ospa. Proszę nam powiedzieć, jakie są jej objawy.

Zaczyna się, jak wszystkie tego typu zakażenia – od temperatury, potem są zmiany skórne. Dopiero one pokazują, z czym naprawdę mamy do czynienia.

Ale to nie jest jakaś wysypka, pokrzywka, alergiczne zmiany?

Nie, są to bąble, mniejsze lub większe, zostawiające potem blizny. Umieralność na małpią ospę jest znacznie niższa, niż mieliśmy to w przypadku ospy prawdziwej. W Stanach Zjednoczonych w 2003 r. nikt nie zmarł. Tak że jak na razie w Europie nie ma żadnego potwierdzenia zgonu, ale kolejne państwa wprowadzają izolacje dla osób, u których jest podejrzenie tego zakażenia.

I to dość długą, bo do 21 dni. Twierdzi pan, zresztą WHO też wydała taki komunikat, że te dzisiejsze zakażenia to wynik kontaktów drogą płciową, ale w opisach mówi się o zakażeniu droga kropelkową, przez kontakt z zakażonym.

Prawdziwa ospa szerzyła się drogą kropelkową. Tutaj jest potrzebny bliższy kontakt. Ale to musi być kontakt bezpośredni, wcale nie jest tak łatwo ospę małpią przenieść.

eprasa.pl 22b9a0cb92

A jak zakażony na nas kichnie?

Nie, ale można ją przenieść np. przez ubranie, koce, pościel zarażonego. Tak swego czasu ospa była używana jako broń biologiczna w Ameryce przeciwko Indianom, użyli jej także Anglicy w Indiach.

Już słyszę, że jest szczepionka na małpią ospę i to powoduje pewien niepokój, czy nam nie funduje się powtórki z koronawirusa.

Nie, szczepionki w zasadzie powstały przy pierwszej histerii, kiedy okazało się, że nie wszystkie zbiory ospy prawdziwej zostały zlikwidowane, więc niektóre kraje utrzymały szczepienia – wtedy też podjęto prace nad szczepionkami.

Jeżeli ktoś już jest zarażony, to w którym momencie może zarazić inną osobę?

Wtedy, kiedy wirus znajdzie się na powierzchni, czyli gdy pojawia się wysypka. Przy stosunkach homoseksualnych może to nastąpić wcześniej, kiedy wirus jest jeszcze wewnątrz, bo w takim przypadku może dochodzić do pewnych uszkodzeń, i wtedy można się zarazić.

A jak się leczy małpią ospę?

Leczenie nie wchodzi w grę. Objawowo – jak temperatura wzrośnie, to się ją zbija, jak są inne objawy, to się podaje leki przeciwko objawom, ale nie wirusowi.

Można testami wykryć wirusa małpiej ospy?

Tak, tymi samymi testami, które w Polsce były używane do wykrywania kociego wariantu ospy.

Czy nie uważa pan, że w takim momencie należy wprowadzić testowanie dla osób, które przybywają z Afryki?

Raczej trzeba uważać na to, co przywożą. W Stanach Zjednoczonych w 2003 r. zakażały głównie pieski preriowe, ale pierwotnym źródłem zakażenia były drobne zwierzaczki egzotyczne przywiezione przez turystów wracających z Afryki do USA. Na to trzeba uważać.

Zatem nie mamy się czego obawiać? Jeżeli ten wirus dotrze do Polski, to będą incydentalne przypadki?

Gdybym z doświadczenia nie miał do czynienia z wirusem zapalenia wątroby typu A, który jest wirusem pokarmowym, tobym odpowiedział twierdząco.

Ma pan na myśli żółtaczkę typu A, chorobę brudnych rąk?

Tak, to była analogiczna sytuacja jak teraz z małpią ospą. Po trzech dużych „męskich" spotkaniach w Europie nagle na całym kontynencie zaczęły się zachorowania, których nie dało się powiązać z tradycyjną drogą zakażania, chorobą brudnych rąk.

Czy małpia ospa dotrze do Polski? A może należałoby zapytać kiedy?

Tego nie wiemy. Ale mamy od czasu do czasu zarażenia wirusem ospy, tylko nie małpiej, lecz kociej.

Mówił pan wielokrotnie, że jeżeli już się uporamy z COVID-19, to należy się spodziewać, że inne wirusy do nas dotrą, ale małpia ospa to jeszcze nie jest ten wirus, którego się obawiamy?

Tego bym się obawiał najmniej. Większość wirusów trafia do nas z populacji zwierząt. Jest jeszcze wiele wirusów, które po przejściu na człowieka mogą się okazać bardzo niebezpieczne. Problemem jest, czy nauczą się szerzyć między ludźmi, bo sporadyczne zachorowania zdarzają się prawie wszędzie. Nawet przy przereklamowanej ptasiej grypie do zarażenia dochodzi przy kontakcie z odchodami czy z chorym ptactwem, ale nie idzie to dalej w populację, do ludzi.

> Małpia ospa jest znacznie łagodniejsza od tego, co było prawdziwą ospą, a obie te ospy nie mają nic wspólnego z ospą wietrzną

Czy już żegnamy się z koronawirusem wywołującym COVID-19?

Nie. Przy takim rozprzestrzenieniu po świecie on po prostu zostanie, będzie już chorobą endemiczną, czyli przyrost zachorowań nie następuje gwałtownie, tylko powoli i dzieje się to przez wiele lat. Tam, gdzie osiągnięto odporność stadną, będzie się utrzymywał na niskim poziomie, ale są kraje, w których w tej chwili obserwuje się wzrosty zakażeń i z których będzie docierał do innych.

W Polsce ostatnio notuje się ponad 200 przypadków dziennie, czy to oznacza, że osiągnęliśmy odporność stadną?

Należy ocenić, że chorowało ok. 12 mln Polaków, do tego należy doliczyć 22 mln zaszczepionych. To wystarczy, żeby osiągnąć poziom endemii, czyli bez masowych zachorowań. Wirusów jest mnóstwo i różne będą trafiały do populacji. To jest wymiana: zwierzęta dają nam, my dajemy zwierzętom, np. nosówka to jest pośrednio dar od człowieka. Żyjemy w globalnym świecie, wymieniamy się wszystkim, czym tylko da się wymienić.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 22b9a0cb92

Fot. AKPA

B jak Baczyński i… Broadway

O poezji, która jak jazz w duszy mu gra. O Krzysztofie Kamilu wpisanym w czas nowej wojny. O Irenie, która nie dotarła na Broadway. A także o inspirujących miastach i muzyce jak z filmu rozmawiamy z Włodkiem Pawlikiem – pianistą, kompozytorem, laureatem Grammy

eprasa.pl 22b9a0cb92

Z Włodkiem Pawlikiem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Andrzej Wiktor

Kilka dni temu – koncerty w Teatrze Starym w Lublinie; 3 czerwca, w rodzinnych Kielcach – aktualne i mocne widowisko „Baczyński 100"; dzień później, w 150. rocznicę śmierci Stanisława Moniuszki – występ w warszawskim Pałacu Staszica, na finał konferencji naukowej poświęconej kompozytorowi... To ledwie kilka artystycznych działań z napiętego grafiku. Na dobre wraca pan do intensywnego kontaktu ze słuchaczami?

Włodek Pawlik: Do czasu pandemii byłem pianistą koncertującym, także wykładowcą, m.in. w Stanach Zjednoczonych. Jeszcze w 2019 r. dałem ok. 100 koncertów, czyli co trzeci dzień współtworzyłem muzyczne wydarzenie. Pandemia – abstrahując od rozgrywających się wokół dramatów – była jak zderzenie ze ścianą. Generowała marazm. Jednocześnie, odbierając rytm i cele wcześniejszego życia, paradoksalnie oferowała więcej czasu na skomponowanie takich projektów, jak m.in. „Baczyński 100" czy „Irena".

„Bryła ciemna, gdzie dymy bure, / poczerniałe twarze pokoleń, / nie dotknięte miłości chmury, / przeorane cierpienia role. / Miasto groźne jak obryw trumny. / Czasem głuchym jak burz maczugą / zawalone w przepaść i dumne / jak lew czarny, co kona długo...". Te słowa z wiersza K.K. Baczyńskiego „Warszawa" mają dziś tragicznie aktualny wymiar.

Nikt się tego nie spodziewał. Ja też nie byłem w stanie przewidzieć takiego scenariusza, gdy rok temu, w świecie żyjącym pod dyktando wirusa, koncentrowałem się na projekcie dotyczącym bardzo ważnego dla mnie poety w związku ze stuleciem jego urodzin (22 stycznia 1921 r.).

Premierowy koncert projektu „Baczyński 100" odbył się 1 sierpnia 2021 r., w 77. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, w amfiteatrze na Woli. Miałem przed sobą blisko 2 tys. ludzi. Co prawda w maskach, ale po czasie izolacji był to jednak bezpośredni kontakt z publicznością. I niezwykle ważne, poruszające wydarzenie.

Wiersze K. K. Baczyńskiego w pana jazzowych kompozycjach ukazały się na płycie w marcu tego roku.

Premiera albumu zbiegła się z agresją Rosji na Ukrainę. Wojenna twórczość poety, który zginął w powstaniu warszawskim, i towarzysząca jej muzyka, nagle, w niezwykły sposób połączyły się z rzeczywistością. Docierające do nas za pośrednictwem mediów zdjęcia i filmy ze zrównanego z ziemią Mariupola przypomniały inne obrazy – doszczętnie zniszczonej stolicy Polski (przywołujemy je w teledysku towarzyszącym utworowi „Warszawa"). W takich okolicznościach i czasie nie mogło być inaczej – album zadedykowaliśmy walczącej Ukrainie.

Wspomniał pan, że Krzysztof Kamil Baczyński to bardzo ważny dla pana poeta.

Było mi z nim po drodze od dzieciństwa. Jego utwory odkrywałem nie tylko w obowiązkowych lekturach, ale też w polskim radiu i telewizji. Pamiętam poruszające wykonania Ewy Demarczyk. Również za jej sprawą poniosłem w życie „szkło bolesne, obraz dni...", by posłużyć się cytatem z utworu „Niebo złote ci otworzę". Gdy blisko pięć dekad od tamtej interpretacji mogłem skomponować muzykę do tekstów Baczyńskiego, którą stworzyłem na specjalne zamówienie samorządu województwa mazowieckiego, i wykonywać te utwory publicznie, stało się to dla mnie dopełnieniem osobistego dialogu z twórczością poety.

Od jakiego utworu pan zaczął?

Pierwszym wierszem, który opracowałem muzycznie, były „Dwie miłości". Niesamowita kompilacja i umiejętność pokazania rzutujących na siebie nawzajem perspektyw – narodowej rzeczywistości i sfery osobistych uczuć. Nadająca sens wszelkim działaniom symbioza równoległych miłości – do kobiety i ojczyzny. Poruszające credo krótkiego, szlachetnego i pełnego ideałów życia.

Między „Dwoma miłościami" a „Warszawą" otwiera pan przed słuchaczami poetycko-muzyczny wachlarz. Kto go współtworzy?

Na płycie śpiewają Natalia Wilk i Marek Bałata, a wiersze recytują m.in. Grażyna Barszczewska, Katarzyna Herman, Mariusz Bonaszewski i Jerzy Schejbal. Warto tu podkreślić, że każdy z koncertów związanych z projektem „Baczyński 100" ma swój odrębny wymiar.

Ostatnio mieliśmy koncert w Podkowie Leśnej, w której okolicach schronienie znalazło wielu Ukraińców. Wiersze czytał Daniel Olbrychski. Odbiór był niesamowity i udało się też zebrać całkiem pokaźną sumę na wsparcie uchodźców.

3 czerwca w Kieleckim Centrum Kultury do stałego muzyczno-wokalnego składu dołączą wspaniali aktorzy – Grażyna Barszczewska i Jerzy Schejbal. Będziemy też koncertować w innych miastach Polski. Informacje można śledzić w mediach społecznościowych.

Nie tylko wiersze Baczyńskiego, ale też Norwida, Zagajewskiego, Czechowicza, Iwaszkiewicza, Herberta, Miłosza... pojawiają się w pana twórczości.

Poezja od lat w duszy mi gra. Czasami coś sam napiszę, ale jedynie dla siebie. Na początku zawodowej drogi miałem też przyjemność pracować jako akompaniator, kompozytor i aranżer m.in. z Krystyną Tkacz czy Elżbietą Wojnowską, wokalistkami, które śpiewały poezję. To nurt do dziś mi bliski, choć medialnie jestem kojarzony przede wszystkim z jazzowymi dokonaniami. Nie tak dawno wróciliśmy

Reklama | 11/0522/F

eprasa.pl 22b9a0cb92

w Teatrze Starym w Lublinie do projektu „Czechowicz/Pawlik – wieczorem". Ponownie, po prawie 10 latach od premiery, spotkaliśmy się na scenie m.in. z Dorotą Miśkiewicz i Kubą Badachem. Jak widać, poezja wciąż mi towarzyszy, przede wszystkim polska, chociaż w 2004 r. nagrałem płytę do sonetów Szekspira, śpiewanych przez Elżbietę Wojnowską.

Mam wrażenie, że inspirują pana również miasta, np. Kalisz?

Był czas, gdy stał się tak inspirujący, że dowiedziało się o nim nawet Los Angeles. Muzyka powstała z okazji 1850. rocznicy lokacji Kalisza, przyniosła mi statuetkę Grammy. Album „Night in Calisia" (nagrany z amerykańskim trębaczem Randym Breckerem i Filharmonią Kaliską) został w 2014 r. uhonorowany w kategorii Best Large Jazz Ensemble („Najlepszy duży zespół jazzowy").

W podobnej konwencji jak „Night in Calisia", również z Randym Breckerem, w 2008 r. w Białymstoku nagrałem album „Jazz Suite Tykocin" (płyta ukazała się również w USA). Przywołany w tytule Tykocin to miejsce z duszą i wielokulturową przeszłością, w której tkwiły też rodzinne korzenie Randy'ego Breckera. Z kolei projekt „Baczyński 100" w naturalny sposób wpisał się w przestrzeń Warszawy. Teraz inspiruje mnie Poznań.

A w nim?

27 sierpnia w Teatrze Muzycznym w Poznaniu odbędzie się polska prapremiera mojego musicalu pt. „Irena", skomponowanego na podstawie niezwykłej historii życia Ireny Sendlerowej.

To postać kojarząca się z Warszawą i pomocą dzieciom getta. Skąd Poznań?

Szykowaliśmy ten projekt na Broadway – autorem libretta jest słynny amerykański autor tekstów do musicali i oper, laureat nagrody Grammy, a także Nagrody Pulitzera – Mark Campbell. Pandemia sprawiła, że spektakl wystawimy w znakomitym poznańskim Teatrze Muzycznym. Reżyserem jest Brian Kite, dziekan Wydziału Teatru, Filmu i Telewizji Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Mam jednak nadzieję, że uda nam się przedstawić to dzieło również w Nowym Jorku.

Często teraz bywam w Poznaniu, ale wybieram się również w inne miejsca. W połowie czerwca jadę do Rumunii na Międzynarodowy Festiwal Filmowy „Transilvania". Będę tam prezentował muzykę napisaną do filmu „Bestia" [1917, inny tytuł: „The Polish Dancer", pierwszy anglojęzyczny niemy film z Polą Negri – przyp. red.]. Stworzyłem tę muzykę w formie soundtracku (ścieżki dźwiękowej wpisanej w taśmę), ale jako pianista na żywo wypełniam ją improwizacjami. To rodzaj twórczej interakcji, którą miałem okazję wcześniej zaprezentować m.in. w amerykańskim Rochester, w zabytkowym kinie z początku XX w. w Muzeum George'a Eastmana – wynalazcy m.in. kliszy filmowej.

Kino to kolejna ścieżka pana inspiracji. Muzyka m.in. do „Rewersu" Borysa Lankosza, „Pora umierać" Doroty Kędzierzawskiej czy „Nightwatching" Petera Greenawaya...

Jestem też dumny z najnowszego projektu – efektu współpracy z Małgorzatą Imielską, cenioną dokumentalistką, która zadebiutowała pełnometrażową fabułą „Wszystko dla mojej matki" (2019). Napisałem do tego filmu muzykę. Zupełnie inną niż dla Doroty Kędzierzawskiej, z którą współpracowałem przy kilku tytułach. Niezwykle sobie cenię jej „Wrony" (1994) – pierwszy raz skomponowałem wtedy ścieżkę do kinowego obrazu. Pojechaliśmy z tym filmem do Cannes, od razu pojawiły się nagrody, również za muzykę. Potwierdziło się i przy tym projekcie, że najważniejsze, by w odpowiednim miejscu i czasie spotkały się podobne artystyczne wrażliwości i wizje – wtedy mamy szansę stworzyć coś ponadczasowego...

eprasa.pl 22b9a0cb92

3 MIŁOŚCI

Bluźniący z „Psami”

ROBERT TEKIELI

Świat co jakiś czas otrząsa się ze słów i widzimy go, jakim jest. Wojna zdziera ideologiczne zasłony. Obnaża kłamstwa, prześwietla serca i umysły. Przez sekundę, minutę, miesiąc możemy jasno zobaczyć, jak się naprawdę mają rzeczy. Na globalnej scenie widzimy właśnie teatralne podrygi niemieckich i francuskich liberalno-lewicowych elit. Ich kolonialne nawyki, imperialne dusze, pełne pogardy spojrzenia.

Na postliberalnym Zachodzie panuje dziś system kastowy. Nietykalni są sędziowie, politycy, artyści. Ci ostatni, bo są użyteczni, tani i giętcy moralnie. Od zawsze. Peerelowski celebryta, Wajda, łasił się do komunistów, wycierając stołki w przedpokojach władzy: – To ja, ja najskuteczniej ośmieszę Polaczków i to żenujące machanie szabelką. Zawlekę ich Jamesa Deana na śmietnik historii, zamknę idealistyczną młodzież w śmierdzącym kanale. Na szczęście Wajda nie miał talentu genialnie obsługującej nazistów Leni Riefenstahl ani twórcy imaginarium sowieckiej propagandy Siergieja Michajłowicza Eisensteina. Artyści służący władzy jak psy. Jak to śpiewał Kazik?

Teraz przeanalizujmy dorobek artystyczny Adolfa Hitlera. Skoro według polskiego sędziego jest on okolicznością łagodzącą. I Roman Polański oczekujący bezkarności. Ta mała prostytutka... mówi o odurzonej i zgwałconej 13-latce Dorota Stalińska. Krzysztof Zanussi: dzieci z Dworca Centralnego nie podlegają ochronie... Mam talent, nigdy nie pójdę do więzienia. Jestem użyteczny dla możnych, nic mi nie grozi.

To Franz Maurer zastrzelił Janka Wiśniewskiego. Wydano europejski nakaz aresztowania. Władysław Pasikowski odmówił komentarza. Sprawa sprzed 52 lat nabrała rumieńców...

„Bluźniący z »Psami«: Goebbels, Urban, Pasikowski”. Tak brzmiało pierwotne hasło z plakatu zapowiadającego jedną z organizowanych przeze mnie imprez. Hasło, jak to hasło, przesadzone, ale...

„Psy” Władysława Pasikowskiego to najważniejszy polityczny film ery transformacji. Obsypany nagrodami, stał się manifestem polityki grubej kreski. Współtworzy świadomość historyczną i jest świadectwem czasu. Obrzydliwym. „Szambo moralne osiąga szczyty, gdy grupa pijanych eksuboli wynosi z knajpy jednego zachlanego na sztywno – śpiewając świętokradczo »Janka Wiśniewskiego« z »Człowieka z żelaza«, a sala nabita do ostatniego miejsca grzmiała i ryczała chamskim rechotem”. Ten sam rechot słyszeliśmy później na Krakowskim Przedmieściu, a wcześniej w Sejmie, gdy TW Bolek teatralnie zarykiwał się na sejmowym balkonie pewien swojej bezkarności. „Nagle – skurcz obrzydzenia. Scena, kiedy pijani, arcysympatyczni ubecy podnoszą na ramiona jednego spośród siebie i wychodzą, śpiewając »Janek Wiśniewski padł« – obrzydliwa. Obrzydliwa i głupia”. Nie, nie była głupia. Była na zamówienie. Jak „Uprowadzenie Agaty”.

Nowy chce ujawnić niszczenie akt, Stary grozi mu bronią: „Co ty, kurwa, gnoju, myślisz, że to są żarty?! Że to jest jakaś gówniana gra o stołki?! Tu walka idzie o życie! Ile ty masz lat?! Co ty chcesz zrobić?! Zagazować 50 tys. agentów i informatorów?! Krwi ci potrzeba, gnoju jeden, tak?! Jak dorośniesz, to zrozumiesz, że polityka to nie jest »Dziennik telewizyjny«! Polityka to jesteśmy my, tu, na tym wysypisku śmieci! Albo stąd uda nam się wyjść, albo tu zostaniemy na zawsze, palancie!”. Oto manifest, dla którego zrobiono ten film.

Azjatycka, stepowa dzicz wpadająca do Mariupola, do Buczy. „Janek Wiśniewski” w wykonaniu ubeków, rechot z niewinnej śmierci. „Żyję, póki dymam”. Sikanie na znicze. Step, bestialstwo, inny świat. Cywilizacja podboju, żądna krwi, biorąca w jasyr ludzi, wywożąca milionami narody. Dzieci Zamojszczyzny. Miliard ofiar holokaustu nienarodzonych. Scholz i Macron, sojusznicy Putina. Teatr, komedia. Twarda imperialna polityka.

Co jakiś czas następuje tąpnięcie. Zabiją ci prezydenta. Wspólnota podnosi się, przeciera oczy. Idzie na Krakowskie Przedmieście, stoi osiem godzin w kolejce, by opluwanego wcześniej przeprosić.

Czy artysta może bluźnić? W dobrej sprawie, tak. Czy artysta może bluźnić w złym celu? Degradującym wspólnotę. Drwiąc z niewinnej śmierci. Że uprawiam teraz politykę? Bzdura. To krew chłopca na ulicy i rechot.

Pasikowski obsłużył całą zbrodniczą zbiorowość, która porzuciwszy marksizm, na sztandary wzięła toporny, antyklerykalny liberalizm KLD: pierwszy milion trzeba ukraść. Marksizm, liberalizm, cokolwiek, byle nie jednocząca naród od 1980 r. chrześcijańska idea. Jeden drugiego brzemiona noście i stoczniowcy stojący w kolejkach do spowiedzi.

Janek Wiśniewski padł – pierwszy rechot. Zimny Lech – drugi rechot. Azja. Wcześniej niszczenie godnościowych podstaw prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Rozbijanie narodu, Kościoła. Wspieranie rodzących się sekt, kiedyś Oława, dziś Czatachowa. Niszczenie symboli, walka z narodem. Otrząśnij się ze słów, otwórz oczy, popatrz.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Potworność Teatr 21, którego aktorami są głównie osoby z zespołem Downa i autyzmem, wystawił 21 maja premierę spektaklu „Libido romantico" z tekstem na podstawie „Ballad i romansów" Adama Mickiewicza oraz „improwizacji Aktorów i Aktorek". „Spektakl rekomendowany osobom pełnoletnim" – czytamy na stronie teatru. I dalej: „200 lat temu premierze »Ballad i romansów« towarzyszył skandal obyczajowy i niepokój społeczny. Mickiewicza oskarżono o niemoralność i perwersyjność. Przemówił językiem grupy o najniższym statusie społecznym, oddając jej prawo do ucieleśnienia jej fantazji i pragnień. Przepełnione erotyzmem, zmysłowością, miłosnym szaleństwem teksty odgrywały również rolę emancypacyjną, stając się manifestem nowej wrażliwości, znosząc hierarchie klasowe i postulując demokrację uczuć. Balladami wprowadził nowe, niedopuszczane społecznie obrazy, które uderzyły z całą mocą w mieszczańską pruderyjność. Czy jego teksty dziś mogą wywołać podobny niepokój?".

Przed ścianką stoi chłopak, ma odsłonięte pół pośladka. Wpatruje się w tablicę i wymierza sobie klapsy.

Realizatorami spektaklu „Libido romantico" są: Wisła Nicieja, Zoi Mikhailova, Wojtek Kaniewski, Monika Sidor, Justyna Lipko-Konieczna, Justyna Wielgus. Na scenie osoby niepełnosprawne, w obsadzie jest również anonsowany Remigiusz Kijak, profesor uniwersytecki, redaktor naczelny czasopisma naukowego „Niepełnosprawność i Rehabilitacja", autor pracy „Dorośli z głębszą niepełnosprawnością intelektualną jako partnerzy, małżonkowie i rodzice". Naukowiec wspiera się w swojej pracy koncepcją rozwoju seksualności Martina Seligmana, w której rozróżnia się m.in. płeć żeńską, męską, niebinarną, transwestytyczną, transgenderyczną, transseksualną, autogynefiliczną oraz orientacje: heteroseksualną, biseksualną, homoseksualną, autoseksualną, aseksualną" również „w kontekście osób ze spektrum autyzmu (ASD)". Prof. Kijak jest autorem i inicjatorem pierwszych w Polsce zajęć z obszaru pedagogiki seksualności osób niepełnosprawnych intelektualnie. W spektaklu zaś głównym narratorem. Opowiada o zrozpaczonych matkach opisujących erekcje niepełnosprawnych synów i matkach świadomych, wożących swoich niepełnosprawnych synów co miesiąc do burdeli. Aktorki są prowokowane czule do wyznań, a to, że marzą o seksie z normalnym mężczyzną, a to, że zła mama ostrzega, żeby się nie przytulała do mężczyzn, nie przymilała się do nich. I dalej o buncie, przełamywaniu, o działaniu wbrew mamie.

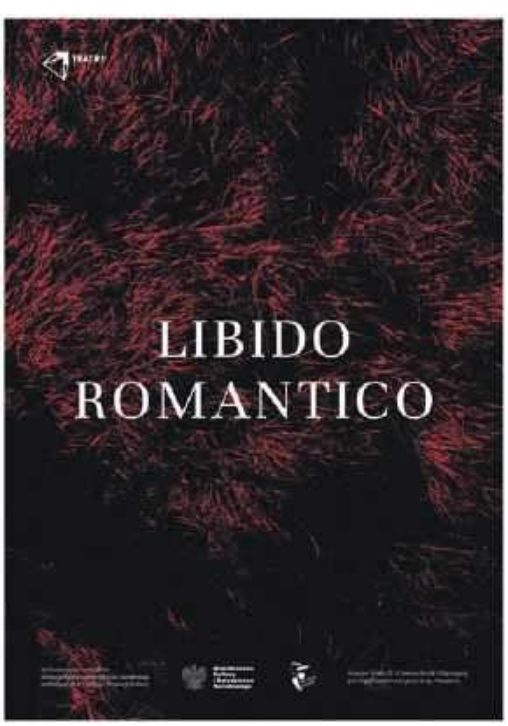

Mamy chłopców przebranych za dziewczynki i chłopaka, który jako diwa w długiej, czarnej sukience wchodzi na scenę, angażując w to mężczyzn z widowni, a na tle ballady Adama Mickiewicza „To lubię" aktorzy znów wymierzają sobie klapsy. Z jednej strony słyszymy o dziadkach klękających do pacierzy, z drugiej – narrator siedzący na kanapie i niepełnosprawna dziewczyna przekładająca mu gołe nogi przez kolana.

Na zakończenie dwugodzinnego spektaklu aktorzy, osoby niepełnosprawne intelektualnie, machają do publiczności penisami i waginami wykonanymi na warsztatach z pedagogiki seksualności.

Fundacja Teatr 21 jest organizacją pożytku publicznego. Radę fundacji tworzą: Edwin Bendyk, publicysta, związany m.in. z tygodnikiem „Polityka", prezes Fundacji im. Stefana Batorego; Sylwia Chutnik, pisarka, dziennikarka, aktywistka; Katarzyna Czayka-Chełmińska, wiceprezeska Fundacji Szkoła Liderów; Anna Smolar, reżyserka teatralna; Łukasz Świątkowski, przedsiębiorca.

Po spektaklu osoba niepełnosprawna intelektualnie wytłumaczyła osobie towarzyszącej: „Ty chyba nic nie zrozumiałeś. Chodziło o to, że niepełnosprawne osoby mają prawo do seksu".

Chcę zadać kilka pytań członkom zespołu Teatru 21, ludziom dorosłym, wykształconym, wrażliwym i utalentowanym:

Czy dobrze sądzę, że będziecie odpowiedzialni za każdą aborcję, której nie byłoby bez zachęty zawartej w tym spektaklu? Jak sądzicie Państwo: czy każdy rodzic, który zostanie zmuszony do wychowywania dziecka swojego dziecka niepełnosprawnego społecznie i niezdolnego do bycia rodzicem, będzie mógł żądać odszkodowania od Waszej instytucji, a może i od Was? Czy sadomasochizm jest wart promocji?

1 stycznia 2022 r. weszła w życie najnowsza klasyfikacja chorób ICD-11 WHO, według której na liście zaburzeń seksualnych nie znajdziemy już sadomasochizmu. Sadomasochizm to aktywność seksualna związana ze zniewoleniem, zadawaniem i doznawaniem bólu albo upokorzenia. Sadomasochizm był dotąd traktowany jako zaburzenie preferencji seksualnych. Współcześnie w środowiskach medycznych dominuje pogląd, że to nieszkodliwa praktyka seksualna, powszechna wśród ludzi.

Myślę, że świat wymknął się ludzkości z rąk.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio, Poradnia rodzinna i duchowa* <><

eprasa.pl 22b9a0cb92

Adamski

Piekielna kuchnia

Restauracja jako żywy organizm. Ma swój rytm, choreografię i działa tylko, gdy jest dobrze naoliwioną maszyną. Niskobudżetowy „Punkt wrzenia" jest majstersztykiem reżyserskim. Od „Sznura" Hitchcocka, przez De Palmę, Iñárritu, a ostatnio Mendesa – filmy kręcone „jednym ujęciem" rytualnie nas wprowadzają w świat perfekcyjnej iluzji. Philip Barantini tak mistrzowsko rozgrywa swój spektakl, że przestałem się zastanawiać, gdzie musiał zastosować jakieś cięcie. Zastosował? Wygląda na to, że ten film rzeczywiście jest nakręcony jednym strzałem. Podobno za trzecim razem ekipa zrobiła „złote ujęcie", które weszło do filmu.

Ja momentalnie dałem się przyspawać do ekranu. Wpadłem w sam środek świątecznego, piątkowego wieczoru w modnej londyńskiej knajpie i nie wstałem ani razu od telewizora. Ten filmowo-kuchenny rollercoaster jest tak cholernie dobrze doprawiony, że powinien przyciągnąć każdego kinowego Lectera. Choćby dla samej synchronizacji pracy ekipy i aktorów, wcielających się przecież w tych, od których drobiazgowej współpracy zależy powodzenie restauracji. Triumf techniczny!

Jest tu wszystko: konflikty w pracy i rodzinie. Współzawodnictwo i empatia. Jest brytyjski humor, szpila wbita w różne klasy, a także wrażliwość społeczna. Jest szyderstwo z krytyków kulinarnych i influencerów. Jest hierarchia w kuchni i na sali. Jest przekrój społeczny w małej restauracyjce, nakreślony zaledwie w ciągu 90 minut. Wszystko w czasie rzeczywistym! Komedia miesza się z dramatem, a kuchnia jest prawdziwym „Hell's Kitchen". Rozumiem już, dlaczego można dostać w niej ataku paniki. Tutaj najmocniej widać siłę jednego, precyzyjnie rozrysowanego ujęcia. Sam Mendes w „1917" i Alejandro Iñárritu w „Birdmanie" popisywali się trikiem (w obu filmach były mistrzowsko zakamuflowane cięcia) trochę dla samej satysfakcji oszołomienia widza. Autorzy zdjęć, Roger Deakins i Emmanuel Lubezki, dostali za nie Oscary. Prowadzący w „Punkcie wrzenia" brawurowo kamerę Matthew Lewis wchodzi w absolutną symbiozę z bijącym sercem restauracji. Tak samo jak maestro Brian De Palma, który otworzył swoje „Oczy węża" długim ujęciem zamachu podczas walki bokserskiej, wszedł w sam środek emocji sportowych. Mimo że kamera jest w ciągłym ruchu, udaje się Barantiniemu wystarczająco dobrze nakreślić sylwetki pracowników, tworzących świat z precyzyjnie rozdzielonymi rolami. Jest w końcu on – Stephen Graham, który tworzy kolejną po serialu „Time" wyrazistą, skomplikowaną i krwistą jak steki skwierczące w kuchni rolę. Anthony Bourdain mistrzowsko opisywał tajemnice kuchni, pokazując, czym jest ten żywy, pulsujący organizm. I dlaczego bycie szefem kuchni jest stylem życia, a nie pracą. Barantini przenosi ducha tych opowieści na ekran. W swoim stylu.

„PUNKT WRZENIA" DOSTĘPNY NA HBO MAX

Powrót do dzieciństwa

Zrobię coming out. Otóż w dzieciństwie przebierałem się za D'Artagnana, a w zasadzie za Dogtaniana. Nie dlatego, że tak powieść Dumasa pokochałem (choć pewnie moja perwersyjna sympatia do łajdaka Talleyranda jakoś pokrętnie wyszła od kardynała Richelieu), ale dlatego, że wychowałem się na hiszpańsko-japońskiej kreskówce o psich muszkieterach emitowanej od 1984 r. w TVP. Choć dziś pociągają mnie troszkę inne animacje, to sentyment do psiej wersji Dumasa pozostał, więc jak dowiedziałem się, że do kin wchodzi nowa wersja „Dogtanian. Psi muszkieter", zajarałem się jak mój owczarek (miłość do psiaków łączy się również z tą kreskówką) na widok piłek. Na szczęście nie muszę kopać hiszpańskich twórców wersji z 2022 r. Uroczo i dobrze grają na nostalgii i wpinają klasykę Dumasa we wrażliwość dzisiejszego widza. Dzieciaki powinny być zadowolone. No więc z okrzykiem: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" – lećcie do kin!

„DOGTANIAN. PSU MUSZKIETER" W KINACH

Fot. HBO, Forum Film Polska

eprasa.pl 22b9a0cb92

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Śniegu będzie wiele

Kino

Moje przeprawy z kinem Małgorzaty Szumowskiej są kręte. Jej kino mnie irytuje, intryguje, wkurza i zachwyca. Uważam, że jej „Body/Ciało" to film znakomity. Przewrotny, błyskotliwy, odważnie kontrujący kino Kieślowskiego traktat o cierpieniu jest jej największym osiągnięciem reżyserskim. Obok głośnego debiutu „33 sceny z życia" to najbardziej poruszające emocjonalnie i duchowo dzieło „Szumy". Liczyłem, że po pokracznie gniewnym, publicystycznym „W imię..." i niedogotowanym socjologicznie „Sponsoringu" Szumowska w końcu znalazła swój język. No, ale wtedy nadeszła „Twarz", czyli przestrzelona, pełna klasowych uprzedzeń (choć w kilku momentach celna) satyra na Polskę B. Podejrzewam, że aby nie być posądzonym o zamknięcie w „libkowej" banieczce „warszawki", Szumowska nakręciła w 2020 r. satyrę wymierzoną w liberałów z „wielkich ośrodków" pt. „Śniegu już nigdy nie będzie". Również jednak i ona szeleściła papierem i ocierała się o łopatologię, choć z dzisiejszej perspektywy, gdy Polacy zobaczyli w Ukraińcach odważny naród wojowników, a nie przysłowiowych „kierowców Ubera", można mocniej docenić ostrość jej satyry.

Szumowska jest bystrą artystką, którą w moim przekonaniu duszą własne uprzedzenia. Jest jednak druga twarz Szumowskiej – reżyserki oderwanej od polskich sporów. Jej ciekawy stylistycznie (dzięki zdjęciom współautora jej ostatnich filmów Michała Englerta), ale nieudany reżysersko horror „Córka boga" okazał się co prawda wyniosłą i pretensjonalną, feministyczną wydmuszką, dowiódł też jednak, że Szumowska ma chęć do kręcenia różnorodnego kina. „Infinite Storm" jest również filmem na wskroś kobiecym, ale zupełnie innym od tego, co widzieliśmy w „Córce boga". To pierwszy film, w którym Szumowska tak otwarcie bawi się kinem gatunkowym, mając też na pokładzie tak wielką gwiazdę jak dwukrotnie nominowaną do Oscara Naomi Watts. To ciekawe, że jedną z nominacji australijska aktorka, pracująca wcześniej z takimi gigantami jak Lynch, Cronenberg, Iñárritu czy Eastwood, dostała za „Niemożliwe" z 2014 r., w którym wcieliła się w matkę walczącą o życie podczas tsunami w Tajlandii. Teraz Watts wciela się w Pam Bales, która samotnie wyrusza na Górę Waszyngtona w Górach Białych w New Hampshire. Górska wędrówka zamienia się w bój o życie. Nie tylko własne, lecz także napotkanego na górze, rannego mężczyzny (Billy Howle). Historia jest oparta na faktach.

Paradoksalnie najsłabszą częścią „Infinite Storm" jest część survivalowa. Nie tylko dlatego, że budżet tego filmu jest skromny jak na widowiskowe produkcje. Kino o pokonaniu w pojedynkę żywiołów jest ostatnio mocno eksploatowane. „Zjawa", „127 godzin", „Wszystko stracone" i wyświetlane teraz w polskich kinach „Złoto" – to tytuły tylko z ostatnich lat. Dodać tutaj warto też „Grawitację" – kobiecą wersję kina o heroizmie jednostki w morderczych „okolicznościach przyrody". Szumowska niestety nie daje nam niczego, czego byśmy już nie widzieli. Nie wystarczy samo pokazanie walczącej z mrozem, wiatrem i śniegiem kobiety, by zbudować odpowiednie napięcie. Zbyt często widać, że obce są Szumowskiej dramaturgia i żonglerka gatunkowymi prawidłami tego rodzaju kina. W najbardziej emocjonujących scenach analizowałem uważniej strukturę sztucznego śniegu niż emocje bohaterki.

Ten film to jednak coś znacznie więcej niż kino survivalowe. Na tej płaszczyźnie Szumowska już wygrywa. Heroizm kobiety, która ratuje wyjątkowo irytującego mężczyznę, to pierwszy feministyczny manifest Szumowskiej, zrobiony bez naleciałości publicystycznej. Naomi Watts tworzy poruszający obraz cierpiącej przez traumę z przeszłości kobietę, która w niebezpiecznych górach chce zniszczyć trapiące ją demony. Wrażliwość Szumowskiej dobrze podkreśla siłę Pam mieszającą się z jej kruchością. Jej odwaga jest napędzana pożerającymi ją wyrzutami sumienia. Szumowska podkreśla też jej fizyczność, w czym pomaga pięknie dojrzewająca bez skalpela Naomi Watts. Brakuje mi tutaj metafizycznego ukąszenia, które jest bliskie przecież Szumowskiej, choć kilka ujęć Michała Englerta (brawo za pięknie zdjęcia!) subtelnie wchodzą w rejony duchowe i egzystencjalne, zamknięte w haśle na tablicy rejestracyjnej „Umrzyj albo żyj wolnym".

Autorka „Śniegu już nie będzie" pokazała, że potrafi opowiedzieć solidną, hollywoodzką w duchu historię, która bez wątpienia jest dla niej ważnym krokiem w amerykańskiej karierze. Niemniej jednak gdyby nie charyzmatyczna Watts i ważny dla nas fakt, że film wyreżyserowała Polka, prawdopodobnie nie omawiałbym go w tej rubryce. „Infinite Storm" jest sztampowym filmem, który mógłby się od razu pojawić na Netfliksie. Ja się cieszę, że Szumowska pokazuje kolejne oblicze, ale wciąż czekam na jej film na poziomie „Body/Ciało".

„INFINITE STORM" W KINACH

Fot. Gutek Film

eprasa.pl 22b9a0cb92

Wielkie Polki

Zofia Holszańska

Matka królów

Dała Polakom dynastię Jagiellonów i Biblię. Czwarta żona Władysława Jagiełły, Zofia Holszańska, jak mało która królowa Polski wpłynęła na losy nie tylko kraju, lecz także całej Europy Środkowo-Wschodniej

Po raz pierwszy zobaczył ją zimą 1420 r. i przepadł. „Mam śliczną dziewicę/Co na ziemiach Rusinów na cały świat słynie/Przewyższając pięknością nimfy i boginie" – pisał nieco później poeta Jan z Wiślicy i nawet jeśli przesadzał, to nie za wiele. O urodzie Zofii, częściej zwanej Sonką, wspominali właściwie wszyscy mężczyźni, którzy w tamtych czasach potrafili pisać. Ona miała coś koło 17 lat, on – nie wiemy dokładnie, ale z pewnością między sześćdziesiątką i siedemdziesiątką. W dodatku zaledwie kilka miesięcy wcześniej pożegnał wielką miłość swojego życia, Elżbietę Granowską.

Wszystko zdawało się przeciwko temu związkowi. On był władcą jednego z największych państw Europy, ona zaś prostą szlachcianką, choć o bogatej genealogii. Nie wnosiła nic w posagu, a jej konkurentka, Ofka, wdowa po Wacławie IV, mogła np. wzbogacić Polskę o Śląsk. Jagiełło nie znosił jednak konwenansów i mieszania emocji z polityką. Za plecami swojego dworu podjął starania o rękę Sonki, w listopadzie 1421 r. przedstawił plan małżeństwa, a już trzy miesiące później odbył się ślub. Królową Polski została 5 marca 1424 r., a matką pierwszego z przyszłych królów – już w październiku.

„Trzeba podkreślić, że od 114 lat, od narodzin Kazimierza Wielkiego, po raz pierwszy w Polsce narodził się męski następca tronu. Ówcześni ludzie byli tego świadomi, toteż wydarzenie to odbiło się szerokim echem po kraju i wzmocniło prestiż Sonki, która, jak się zdaje, jako ładna, pogodna kobieta, cieszyła się w kraju dużą popularnością" – pisała Małgorzata Duczmal.

Narodziny dynastii

Byli małżeństwem zaledwie 12 lat, ale to wystarczyło, by z ich związku urodziło się trzech synów, z których dwaj: Władysław i Kazimierz będą władcami Polski, Litwy i Węgier, w kolejnym pokoleniu dodając do tej listy Czechy. Trzeci z braci zmarł we wczesnym dzieciństwie. „Ich związek był czysto pragmatyczny. Chyba nie można mó-

Fot. Wikipedia

eprasa.pl 22b9a0cb92

wić o miłości małżeńskiej – Zofia była nastolatką, Jagiełło starszym panem" – oceniał Jerzy Sperka z Uniwersytetu Śląskiego. I rzeczywiście, oskarżenia królowej o zdradę i liczne romanse pojawiły się dość szybko. Jagiełło był jednak człowiekiem mądrym. Jeśli nawet była w tych zarzutach jakaś prawda, to sprawę błyskawicznie wyciszono i życie małżonków potoczyło się zgodnym, pozbawionym już większych tąpnięć torem. Jak na standardy średniowiecza, rodzin królewskich, a także biorąc pod uwagę tak poważną różnicę wieku, był to związek całkiem udany.

Zofia początkowo nie odgrywała poważniejszej roli w działaniach politycznych swojego męża, choć wszystko wskazuje na to, że całkiem nieźle radziła sobie w dworskich gierkach, umiejętnym obsadzaniu stanowisk i dbaniu o umocnienie pozycji synów. Zdolności te w pełni ujawniły się po śmierci Jagiełły w 1434 r. „Zmieniło się jej dotychczasowe zachowanie, zaangażowała się w politykę bardziej niż kiedykolwiek. Śmierć męża dotknęła ją w młodym jeszcze wieku – miała przecież ok. 30 lat, jednak do tego czasu zdążyła już zrozumieć meandry polityki. Wiedziała, że bez poparcia szlachty niewiele zdoła osiągnąć. Zdawała sobie też sprawę z rosnącej potęgi biskupa Oleśnickiego, którego stronnictwo osiągnęło w tym czasie apogeum wpływów" –pisała Bożena Czwojdrak. Kłopot polegał na tym, że choć była królową matką, nie była wyznaczona na regentkę, a żaden z jej synów nie zbliżał się jeszcze nawet do pełnoletniości. Formalnie więc jej wpływ na rządy po śmierci Jagiełły był żaden.

Ale tylko formalnie. W rzeczywistości, umiejętnie grając dworskimi sojuszami, doprowadziła szybko do koronacji 10-letniego zaledwie Władysława, co naturalnie wzmocniło jej pozycję i wpływ na politykę Rzeczypospolitej. Wszystko wskazuje zresztą na to, że podobnie jak Jagiełło była człowiekiem i politykiem mądrym. Nie była zachłanna. Gdy nie odczuwała potrzeby wpływu na bieżące wydarzenia, po prostu znikała z Krakowa i gospodarowała na swoich włościach. Biecz, Sanok, w nieco mniejszym stopniu Radom – wszystkie te ziemie wiele jej zawdzięczają. Wracała do gry tylko wówczas, gdy widziała opcję realnych korzyści – nawet nie tyle dla siebie, ile dla synów, a wraz z nimi – dla dynastii.

Bezkrwawy podbój Europy

Taka okazja nadarzyła się w 1437 r., kiedy zmarł Zygmunt Luksemburski, pozostawiając wakujący tron czeski. Co prawda próba osadzenia na nim Władysława początkowo się nie powiodła, bo uprzedził go Albrecht Habsburg – zmarł on jednak zaledwie dwa lata później. Ponieważ był jednocześnie władcą Węgier, tym razem tę właśnie koronę udało się zdobyć dla Władysława. A że niemal w tym samym momencie na wielkoksiążęcym tronie Litwy zasiadł młodszy syn, Kazimierz, imperium Jagiellonów stawało się potęgą europejską, na którego politykę Sonka miała realny wpływ. Ewa Maleczyńska z pewną może przesadą, ale nazywała Sonkę z tego okresu „kierowniczką dynastycznej polityki Jagiellonów". W tym momencie polityka ta, po zapewnieniu synom tronów, rozwijała się już jednak samoczynnie. Królowa na kolejne cztery lata powróciła więc do ukochanego Sanoka.

Sielankę przerwała w 1444 r. śmierć Władysława w bitwie pod Warną. Początkowo nikt w nią nie uwierzył, a legendy o cudownym ocaleniu młodego króla żyją nawet do dziś, widząc w nim m.in. przodka Krzysztofa Kolumba. Tym bardziej żywe były w tamtym czasie. Zofia uprosiła panów węgierskich, by nie obierali nowego monarchy do ostatecznego wyjaśnienia sprawy, a zgodę na koronację na króla Polski Kazimierza, obwarowano zastrzeżeniem, że zostanie ona unieważniona, jeśli okaże się, że Władysław jednak żyje.

W tym ostatnim przypadku królowa napotkała na opór z dość nieoczekiwanej strony. Otóż Kazimierz wcale nie miał ochoty zostawać królem Polski. „Królowa Zofia, która chociaż nie była do tego naznaczona, z pobudek jednak macierzyńskiej miłości pojechała dla namawiania księcia Kazimierza i skłonienia go usilnymi rady do przyjęcia rządów, które – jak widziała – odpychał" – zanotował współczesny tym wydarzeniom Jan Długosz. O tym zaś, jak duża była to niechęć, wiele mówi choćby to, że wstrzymywał się z przyjęciem korony przez ponad dwa lata. Został królem dopiero w 1447 r. Był władcą bardzo samodzielnym, z opinią matki zawsze jednak się liczył.

Biblia królowej Zofii

Żeby poślubić Jagiełłę, Zofia musiała zmienić wyznanie – była bowiem ochrzczona w obrządku prawosławnym. Ale chyba nie miała z tym problemu, a jej kontakty jako królowej z Rzymem były zawsze więcej niż poprawne. Otrzymała od papieża prawo nominacji na niektóre beneficja kościelne w Polsce, to ona rozmawiała z posłem Piusa II o kwestiach nastawienia Stolicy Apostolskiej do trwającego właśnie konfliktu z Krzyżakami. Miała też na koncie kilka znaczących fundacji kościelnych – dość choćby wspomnieć o kaplicy św. Trójcy w katedrze wawelskiej. Pod względem religijności największą jednak zasługą królowej jest to, że dała Polakom Biblię. Dosłownie. To ona zleciła i sfinansowała pierwsze polskie tłumaczenie Księgi na język polski, którego dokonał w 1455 r. jej kapelan, Andrzej z Jaszowic. Biblia szaroszpatacka, zwana też Biblią królowej Zofii, należy dziś do najcenniejszych zabytków języka polskiego.

Kiedy powstawało to tłumaczenie, Zofia powoli wycofywała się w cień, ustępując miejsca poślubionej przez Kazimierza Elżbiecie Habsburżance. W tym jednak momencie mogła prawdopodobnie czuć się kobietą spełnioną. Przyszłość dynastii wyglądała obiecująco – doczekała się narodzin pięciorga wnuków, w tym czterech chłopców. Już po jej śmierci liczba ta rozrosła się do 13.

Zmarła latem 1461 r. Pochowano ją w ufundowanej przez nią kaplicy wawelskiej. ●

Wojciech Lada

Cykl powstał dzięki
LINK4
POLSKIEJ FIRMIE UBEZPIECZENIOWEJ
52/0222/F

eprasa.pl 22b9a0cb92

Budownictwo: umowy do korekty

W wyniku wojny na Ukrainie w budownictwie ubyło 30 proc. pracowników; koszty produkcji budowlano-montażowej są najwyższe od blisko dwóch dekad; szybko – nawet o kilkadziesiąt procent – rosną ceny materiałów budowlanych; pojawiły się problemy z dostawami stali, styropianu, cementu. Zdarzają się sytuacje, że firmy – nawet największe – rezygnują z podpisania umów lub wolą zerwać kontrakt, gdyż bardziej opłaca się im zapłacić kary, niż kontynuować inwestycję

eprasa.pl 22b9a0cb92

Fot. Andrzej Wiktor

Czy branża budowlana w czasie pandemii uodporniła się na kryzysy i wyjdzie obronną ręką z kolejnego, wywołanego wojną na Ukrainie i wysoką inflacją? Problemom sektora budowlanego poświęciliśmy kolejną debatę IV edycji forum wGospodarce.pl, w której uczestniczyli przedstawiciele rządu i szefowie największych firm działających w polskim budownictwie. Debata odbyła się pod hasłem: „Największe wyzwania i priorytety branży budowlanej. Jak zapewnić rozwój sektora w niepewnych czasach i tworzyć atrakcyjne warunki dla realizacji inwestycji?”.

WALORYZACJA UMÓW

– Jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie mieliśmy do czynienia ze wzrostem cen materiałów budowlanych, szczególnie z brakiem płynnej dostępności niektórych materiałów niezbędnych do realizacji inwestycji, głównie drogowych czy kolejowych – mówił Andrzej Adamczyk, minister infrastruktury. Zwrócił uwagę na zmianę podejścia rządu do sektora, w którym działają nie tylko wykonawcy, lecz także producenci czy projektanci: na odejście od zasady, według której odpowiedzialność zamawiającego kończy się w momencie podpisania umowy. – Realizujemy inwestycje samorządowe czy zamawiane przez rząd na zasadzie win-win; odpowiadamy wspólnie za to, co dzieje się na placu budowy. Mało tego – ta odpowiedzialność nie kończy się w momencie oddania przedsięwzięcia do użytku. Jesteśmy partnerami na etapie przygotowania inwestycji, ogłaszania przetargu, projektowania, realizacji, a potem eksploatacji – opisywał Andrzej Adamczyk. – Państwo polskie jest aktywne, czuje się partnerem w realizacji inwestycji, a nie stroną w postępowaniu, co wcale nie jest regułą w Unii Europejskiej.

Branża budowlana funkcjonuje w sytuacji kryzysowej już od trzech lat, czyli od wybuchu pandemii. Gdy niektóre obszary gospodarki siłą rzeczy przestały działać lub musiały ograniczyć aktywność, budownictwo pracowało na pełnych obrotach, płaciło podatki, zatrudniało pracowników. – Branża budowlana, od wykonawców po dostawców oraz producentów materiałów budowlanych i transport, zapewniała w czasie pandemii ruch w krwiobiegu gospodarki. Od tego, jak ta branża funkcjonuje, jakie ma warunki wykonywania umów, zależy kilka milionów miejsc pracy, przyszłe inwestycje i możliwości realizacyjne branży. By przeprowadzać inwestycje, takie jak chociażby Centralny Port Komunikacyjny, musimy mieć zdolności reinwestycji – mówił Wojciech Trojanowski, członek zarządu Strabag. Co to oznacza? – To oznacza zapewnione sensowne warunki kontraktowe, które zagwarantują nam stabilne funkcjonowanie. Przy największej od 20 lat inflacji kluczowa jest kwestia waloryzacji już istniejących umów – powiedział Trojanowski. Branży zależy na zwiększeniu

eprasa.pl 22b9a0cb92

limitów waloryzacyjnych we wszystkich obowiązujących dotychczas umowach, podpisanych z Generalną Dyrekcją Dróg Krajowych i Autostrad oraz PKP PLK, i podniesieniu ich z obecnych 5 proc. do przynajmniej 10 proc. – To pomogłoby całej branży. W przypadku kontraktów drogowych, realizowanych według formuły „zaprojektuj i buduj", limit waloryzacji osiągamy, zanim zacznie się budowa. Dla kontraktów podpisywanych pod koniec 2020 r. progi waloryzacji są już przekroczone, mimo że faza projektowa nie jest jeszcze zakończona. Im szybciej rozwiążemy problem waloryzacji umów, tym będzie on miał mniejszy wpływ na funkcjonowanie wielu podmiotów budowlanych – mówił Wojciech Trojanowski. Drugi ważny problem wiąże się z inwestycjami realizowanymi przez samorządy. – Tam również sytuacja nie jest dobra i wymaga podjęcia szybkich działań. Mniej więcej połowa przetargów jest unieważniana, ponieważ samorządy nie mają dodatkowych środków. Trzeba pamiętać, że większość kontraktów ma wydłużone terminy płatności. Temat waloryzacji kontraktów jest tak samo istotny w przypadku rynku samorządowego i inwestycji centralnych. Jest on niezwykle ważny także dla lokalnych firm, które na tym rynku są aktywne – powiedział Trojanowski.

KONTRAKTY, KTÓRE TRZEBA ZREALIZOWAĆ

Na polskim rynku budowlanym funkcjonuje ponad 600 tys. firm, w większości małych. – Branża budowlana jest branżą niskomarżową, w przypadku większych przedsiębiorstw marża wynosi 3–4 proc. W budownictwie działa 128 spółek zatrudniających powyżej 250 osób i 533 tys. firm zatrudniających poniżej 10 osób. To armia pracowników. Obawiamy się, że wojna na Ukrainie może doprowadzić do upadku wielu przedsiębiorstw budowlanych – powiedział Artur Popko, prezes zarządu Budimex. Przyznał, że branża ma poważne problemy, ale dużo się w niej dzieje. – Od wielu lat sytuacja w Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad jest stabilna, jeśli chodzi o liczbę ogłaszanych postępowań przetargowych. Ten portfel jest znaczący. Jesteśmy w stanie robić jeszcze więcej. Pozytywną informacją jest też otwarcie przetargów kolejowych. Branża liczy również na środki z KPO, które ułatwią realizację inwestycji – mówił Popko.

– Okres pandemii w branży budowlanej przebiegał lepiej niż na innych rynkach – mówił Piotr Kledzik, prezes zarządu PORR, który w koncernie odpowiada nie tylko za rynek polski, lecz także za rynki środkowoeuropejskie. Według niego jest to w znacznym stopniu zasługa dobrze układającej się współpracy firm z Ministerstwem Infrastruktury. – Branża jako całość nie ucierpiała w tym okresie poza incydentalnymi przypadkami. Obecne wyzwania są znacznie poważniejsze i wymagają rozwiązań systemowych. Jeżeli pokażemy, że nie boimy się ingerować w istniejące kontrakty, zmieniając limit waloryzacji, bo taka jest potrzeba chwili, inni uczestnicy rynku też to zrobią – mówił Piotr Kledzik.

– Teraz, gdy trwa wojna na Ukrainie, widać, jak bardzo ważny jest rozwój infrastruktury w Polsce. Pozwolił on na cywilizacyjny skok naszego kraju, a do tego pokazał swoje znaczenie w sytuacji, w jakiej znalazła się nasza część Europy. Plany inwestycyjne są ważne dla firm, a także dla Polski – mówił Krzysztof Andrulewicz, dyrektor zarządzający ds. kontaktów z biznesem w firmie Aldesa. Patrząc z tej perspektywy, kluczowe zarówno z punktu widzenia państwa, jak i firm są już realizowane kontrakty. – Dla nas sytuacja jest bardzo trudna, ponieważ w 2021 r., czyli w drugim roku pandemii, sektor został dotknięty przez olbrzymi wzrost kosztów. W 2021 r. zwiększyły się one o blisko 18 proc., a w ciągu dwóch pierwszych miesięcy 2022 r. – dodatkowo o 14 proc. Największym ryzykiem są obciążone projekty drogowe, realizowane według formuły „zaprojektuj i wybuduj", według której jednemu zleceniobiorcy powierza się wykonanie zarówno prac projektowych, jak i robót budowlanych. Formuła ma wiele zalet, ale w sytuacji dużej inflacji niesie za sobą także duże ryzyko związane z długim okresem projektowania. Dodam, że w przypadku niektórych kontraktów mamy jeszcze pół roku albo nawet rok do wbicia pierwszej łopaty, a kontraktowy limit waloryzacyjny 5 proc. został już dawno przekroczony, z kolei oficjalny współczynnik waloryzacji wynosi w przypadku niektórych kontraktów 11–12 proc. z założeniem, że drugą taką samą część ma pokryć wykonawca – powiedział Krzysztof Andrulewicz.

Jakie wnioski z obecnych wyzwań pojawiających się na rynku budowlanym wynikają dla takich wielkich inwestycji jak Centralny Port Komunikacyjny? – W programie inwestycyjnym CPK nie borykamy się z problemem umów już zawartych. Przypatrując się obecnej sytuacji, możemy za to wyciągać wnioski co do umów, które będziemy podpisywać, i sposobu ich zawierania. W interesie publicznym jest stworzenie miejsc pracy, nie likwidowanie firm, tylko ich rozwój. Oczywiście jakiś element ryzyka gospodarczego stron uczestniczących w kontraktach musi się pojawić – mówił Marcin Horała, wiceminister infrastruktury, pełnomocnik rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego dla RP, wiceminister w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej. – Z punktu widzenia inwestora, który posiada rozbudowany program inwestycyjny, jak Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad, PKP PLK czy wkrótce CPK, warto czasami zapłacić więcej za kontrakt, jeżeli firma, która go realizuje, nie wpadnie w kłopoty i będzie mogła wykonywać kolejne inwestycje. To, co nam się dobrze udaje w fazie przygotowawczej i projektowej CPK, to umowy ramowe, które – jak sądzę – ograniczają ryzyko. Kolejna rzecz, do której się przygotowujemy, to kontrakty oparte na formule open-book – mówił Marcin Horała. Kontrakty open-book zakładają m.in. bieżącą współpracę wykonawcy z zamawiającym, polegającą np. na podziale ryzyka i korzyści wynikających z kosztów realizacji zamówienia.

BUDOWY NIE ZOSTANĄ ZATRZYMANE

– Nie ma takiego drugiego państwa w Unii Europejskiej, które realizowałoby inwestycje infrastrukturalne na tak wielką skalę i do tego w sposób tak przewidywalny jak Polska – mówił Andrzej Adamczyk. – Realizujemy Program Budowy Dróg Krajowych, uruchomiliśmy unikatowy w skali europejskiej Rządowy Fundusz Roz-

eprasa.pl 22b9a0cb92

woju Dróg, który wspiera inwestycje samorządowe kwotą ok. 3,5 mld zł rocznie (uwzględniając wkład samorządów, wykonawcy kontraktów mają co roku do dyspozycji 5–5,5 mld zł). Do tego dochodzi Krajowy Program Kolejowy, program wzmocnień dróg krajowych do nośności 11,5 tony, program budowy 100 obwodnic, Program Bezpiecznej Infrastruktury Drogowej o wartości 2,5 mld zł. Są to programy zapewniające finansowanie inwestycji także w kolejnych latach. Stworzyliśmy w Polsce rynek inwestycyjny, niepowtarzalny w Unii Europejskiej. Jest to decyzja rządu Prawa i Sprawiedliwości. Wcześniej brakowało determinacji i odwagi. Działania te są częścią strategii rozwoju Rzeczypospolitej – mówił Andrzej Adamczyk. – To na szczeblu rządowym i kierownictwa politycznego zapadła decyzja, by nie zatrzymywać polskich budów w czasie pandemii. W większości państw europejskich inwestycje infrastrukturalne w tym czasie stanęły. A tymczasem u nas były takie budowy, na których zaangażowanie firm wykonawczych było większe od pierwotnie planowanego. Działo się tak, bo firmy przywoziły do Polski sprzęt z tych państw, gdzie place budów były zamknięte – powiedział Adamczyk.

Czy po wybuchu wojny na Ukrainie rząd nie rozważał zawieszenia projektów infrastrukturalnych do czasu, aż sytuacja się ustabilizuje? – Nikomu w rządzie nie przyszło to do głowy. Decyzja była oczywista: musimy stabilizować sytuację, by utrzymać ciągłość wykonawstwa i produkcji. Procesy inwestycyjne związane z budową infrastruktury strategicznej, a do niej przecież należą drogi i koleje, są silnikiem rozwoju naszego kraju. Branża budowlana, jeżeli zostanie utrzymana w dobrej kondycji, pomoże nam sprostać wyzwaniom, które niesie wojna na Ukrainie. Przed nami kolejne inwestycje, terminale, ciągi transportowe do naszych portów, a także inwestycje w porty. Zmienia się układ gospodarczy. Musimy wykorzystać ten okres, by się wzmocnić. Nie pozwolimy na to, by budowy zostały zatrzymane. Nie przewidujemy zmniejszenia finansowania inwestycji w najbliższych latach. Utrzymujemy wielkość produkcji na obecnym poziomie, a być może uda się ją nawet zwiększyć – mówił Andrzej Adamczyk. Minister ma nadzieję, że Polska będzie uczestniczyć w procesie odbudowy Ukrainy. – Chcemy wesprzeć Ukrainę w transporcie towarów, a także w realizacji inwestycji związanych z odbudową państwa. Chciałbym, żeby były tam obecne także przedsiębiorstwa budowlane działające w Polsce – powiedział Adamczyk.

INWESTYCJE NA POKOLENIA

Branża boryka się z wyzwaniami krótko- i długoterminowymi. – Pierwsze są natury ekonomicznej, drugie dotyczą zasobów ludzkich – mówił Piotr Kledzik. – Musimy zastanowić się nad systemem kształcenia. Firmy nie mają większego problemu z zatrudnieniem inżynierów, brakuje za to wykształconych brygadzistów czy majstrów. Powinniśmy być dumni z naszych realizacji budowlanych, budujemy przecież na światowym poziomie. Jeżeli wróci etos budowniczego, pomoże nam to w pozyskiwaniu nowych pracowników – dodał.

Artur Popko zauważył, że w budownictwie pracuje 10 proc. wszystkich pracowników, polski rynek pracy jest częścią globalnych trendów. – Nie widać dużego zainteresowania branżą budowlaną ze strony młodych ludzi. Jeśli chodzi o system edukacji, problemów nie rozwiązaliśmy od wielu lat. Liczba szkół zawodowych i branżowych spadła o blisko 30 proc. w ciągu 10 lat. Uczniów kończących szkoły zawodowe jest o 23 proc. mniej. 70 proc. firm twierdzi, że brak pracowników to istotna bariera w dalszym rozwoju. Co zrobić, by branża stała się atrakcyjnym miejscem pracy? Jest to wyzwanie zarówno dla branży, jak i dla rządu. Poziom zarobków w budownictwie mocno przekłada się na kryterium niskiej ceny w zamówieniach publicznych, w związku z tym płace w budownictwie będą silną presją dla wykonawców – powiedział.

Wojciech Trojanowski uważa, że miejsce pracy w budownictwie powinno być lepiej wynagradzane niż w przemyśle. – Znalezienie kadr jest coraz trudniejsze, praca wymaga poświęcenia, mobilności, będzie coraz mniej chętnych, by w tej branży pracować – dodał. Polska ma tę zaletę, istotną również z punktu widzenia rynku pracy, że posiada stabilny i dość przewidywalny rynek inwestycji budowlanych. – Tego mogą nam pozazdrościć inne europejskie rynki budowlane. Wiemy, czego się spodziewać – dodał.

– Czy doświadczeń zdobytych przy realizacji wielkich projektów centralnych nie warto upowszechnić, by stały się one normą w całym sektorze inwestycji infrastrukturalnych? Zarówno w Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, jak i PKP PLK udało się wypracować przez lata dobre umowy – powiedział Krzysztof Andrulewicz.

Inwestycje infrastrukturalne mają służyć społeczeństwu przez wiele lat, stają się elementem struktury gospodarki, mogą nadać jej nowy kierunek czy nawet zmienić jej oblicze. – CPK poradzi sobie z problemami. Systemy transportowe, infrastrukturalne buduje się nie na lata, ale na dziesiątki lat, na pokolenia – mówił Marcin Horała. – Przed nami wiele nieprzewidywalnych zdarzeń. Istotne jest to, by znaleźć amortyzatory chwilowych wstrząsów, by nie powodowały one strat, które trzeba odbudowywać latami. Warto podkreślić stabilność portfela zamówień, dzięki któremu jego wolumen w kolejnych latach można stopniowo realizować. Wieloletnie programy inwestycyjne rządu pozwalają planować inwestycje, budować zdolności produkcyjne firm i amortyzować przejściowe szoki – mówił Horała.

Oprac. SK

Uczestnicy debaty

Andrzej Adamczyk – minister infrastruktury
Marcin Horała – wiceminister infrastruktury, pełnomocnik rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego dla RP, wiceminister w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej
Wojciech Trojanowski – członek zarządu Strabag
Artur Popko – prezes zarządu Budimex
Piotr Kledzik – prezes zarządu PORR
Krzysztof Andrulewicz – dyrektor zarządzający ds. kontaktów z biznesem, Aldesa
Debatę prowadził **Stanisław Koczot**, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Bankowej"

eprasa.pl 22b9a0cb92

Drewno na opał dostępne w każdym nadleśnictwie

Wzrost cen produktów i usług dotyczy już niemal każdej gałęzi gospodarki. W połączeniu z sytuacją geopolityczną coraz częściej pojawiają się uzasadnione obawy o dostęp do surowców energetycznych i poszukiwania alternatywnych jego źródeł. A takim jest drewno opałowe. To najbardziej ekologiczne źródło ciepła, atrakcyjniejsze pod względem relacji ceny do wydajności energetycznej niż węgiel, olej, gaz czy energia elektryczna. Drewno na opał dla gospodarstw domowych można kupić w każdym nadleśnictwie

Indywidualni klienci z zaniepokojeniem obserwują rynek i szukają rozwiązań, które pozwolą zmierzyć się z kolejnym sezonem grzewczym. Korzystną cenowo alternatywą jest wykorzystywanie drewna do celów opałowych. Można je nabyć bezpośrednio od Lasów Państwowych. Wystarczy odwiedzić najbliższe nadleśnictwo.

JAKIE DREWNO NA OPAŁ DLA KLIENTÓW INDYWIDUALNYCH?

Za drewno potocznie określane jako opałowe może posłużyć najniższy w hierarchii jakościowo-wymiarowej surowiec oznaczony symbolem S4. Drewno to jest sprzedawane detalicznie, by zabezpieczać potrzeby cieplne indywidualnych nabywców. Za typowo energetyczne jest też uznawane tzw. drewno małowymiarowe M2 (gałęzie, cienkie pnie), sprzedawane detalicznie lokalnym mieszkańcom na zasadach samowyrobu (nabywcy sami zbierają i układają gałęzie na wyznaczonym do tego obszarze lasu, a następnie je kupują).

Dostępność surowca na opał ma swoje ograniczenia. Kluczowym jest działanie zgodnie z zasadami zrównoważonej gospodarki leśnej, czyli przestrzeganie wielkości pozyskania drewna określonego w planach urządzenia lasu. To dokument sporządzany dla nadleśnictw raz na 10 lat, który zawiera opis i ocenę stanu lasu oraz cele, zadania i sposoby prowadzenia gospodarki leśnej. Po konsultacjach z udziałem społeczeństwa zatwierdza go minister właściwy do spraw środowiska.

Wykorzystanie drewna, a tym bardziej opałowego, nie powoduje uszczuplania powierzchni lasów. To dlatego, że Lasy Państwowe pozyskują jedynie 2,5 proc. całości zasobów

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 62/0222/F

eprasa.pl 22b9a0cb92

drzewnych, czyli 2/3 tego, co corocznie przyrasta. Pozostała część zostaje w lesie i stale powiększa jego zasoby.

– Produkcja opału nie jest celem samym w sobie. Priorytetem jest zastosowanie drewna w sposób trwały – w konstrukcjach, meblach, galanterii użytkowej. To gwarantuje długotrwałe utrzymanie CO_2 zmagazynowanego przez drzewa. Na opał jest przeznaczane to, czego nie sposób wykorzystać inaczej – zwraca uwagę Edward Siarka, sekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska.

Niewielkie rozmiary, znaczne krzywizny, pęknięcia itp. dyskwalifikują drewno z innych zastosowań i powodują, że nadaje się wyłącznie do ogrzewania mieszkań.

Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych, podkreśla, że pozyskanie drewna opałowego nie będzie prowadziło do zaniku w lasach tzw. martwego drewna. – Obumarłe drzewa i ich części to siedlisko wielu organizmów. Jego ilość z roku na rok przyrasta, co wpływa na poprawę bioróżnorodności lasów.

Opał prosto z lasu jest najtańszy

- Drewno na opał jest stosunkowo tanie. Metr sześcienny surowca iglastego kosztuje ok. 100–120 zł netto/m sześc. (VAT na drewno opałowe wynosi 23 proc.). Za gatunki liściaste twarde trzeba zapłacić kilkanaście złotych więcej (140–170 zł/m sześc.).
- W momencie kiedy klient własnoręcznie przygotuje sobie drobne drewno opałowe (w leśnym żargonie określa się to jako samowyrób tzw. drobnicy gałęziowej), cena ta jest jeszcze niższa i wynosi ok. 20–30 zł netto/m sześc.
- Pamiętaj, żeby palić drewnem suchym, wysezonowanym. Palenie drewnem mokrym może uszkodzić piec i powoduje zwiększone emisje. Zabezpiecz swoje potrzeby cieplne, zanim przyjdzie zima.

JAK KUPOWAĆ U LEŚNIKA?

Sprzedaż drewna opałowego odbywa się w nadleśnictwach i leśniczówkach. Zasady jego sprzedaży dla klientów indywidualnych określa regulamin wprowadzany przez poszczególnych nadleśniczych – dostępny jest on na stronach internetowych i tablicach ogłoszeń w jednostkach.

Dla klientów detalicznych każde nadleśnictwo posiada w sprzedaży drewno opałowe i niewielkie ilości drewna użytkowego. Zakup detaliczny drewna odbywa się na podstawie przedpłaty lub zapłaty przed wydaniem drewna z lasu. Sprzedażą zajmują się leśniczowie w swoich kancelariach w wyznaczone dni tygodnia. Jest też możliwość zakupu drewna w biurze nadleśnictwa.

Jak to wygląda w praktyce? Najpierw należy się zorientować, na terenie którego nadleśnictwa leży nasza miejscowość, a po uzyskaniu tej informacji skontaktować się z biurem nadleśnictwa lub miejscowym leśniczym.

– Każde nadleśnictwo w Polsce ma swoje określone zasady sprzedaży detalicznej drewna oraz jego wydawania klientom – mówi Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych.

W większości sprzedaż i zapłata za drewno następuje bezpośrednio w kancelarii leśniczego. W tym przypadku leśniczy sporządzi dokument będący dowodem zakupu, wraz z nim kupujący otrzyma tzw. asygnatę – dokument niezbędny do okazania podczas odbioru drewna w lesie. Znajdują się na nim informacje o rodzaju, ilości i cenie nabytego drewna.

W zdecydowanej większości przypadków leśniczowie dysponują kasami fiskalnymi, coraz częściej także terminalami do płatności bezgotówkowych (warto zapytać leśniczego o dostępne formy płatności przed przyjazdem do kancelarii). Kiedy nie ma możliwości uregulowania zapłaty bezpośrednio u leśniczego, za zakupiony surowiec drzewny trzeba rozliczyć się wcześniej w nadleśnictwie. Po uregulowaniu płatności można umówić się z leśniczym na termin odbioru. Lasy Państwowe sprzedają drewno loco las – to nabywca musi sam zadbać o odpowiedni środek transportu i przewieźć drewno na swoją posesję.

ZA SAMOWYRÓB DREWNA OPAŁOWEGO ZAPŁACIMY MNIEJ

Jednostką pomiaru drewna, na podstawie której formułuje się cennik, jest metr sześcienny. Drewno opałowe, które przygotowuje nadleśnictwo (sortyment określany symbolem S4), przeciętnie kosztuje sto kilkadziesiąt złotych, ale warto zapoznać się z cennikami publikowanymi w poszczególnych nadleśnictwach (mogą się one różnić). Tańsze są gatunki iglaste i liściaste miękkie, droższe liściaste twarde (dąb, grab, buk). Większa twardość i gęstość to większa kaloryczność i lepsze wartości opałowe.

Najtańszy opał to ten, który przygotujemy sami. W większości leśnictw jest możliwość samodzielnego wyrobienia gałęzi i pozostałości drzewnych po wykonanych cięciach rębnych lub pielęgnacyjnych, potocznie określanych „przecinkami". W tym celu należy zgłosić się do miejscowego leśniczego, który wyznaczy miejsce wyrobu drewna, przeprowadzi instruktaż, ustali zasady przygotowania drewna i wystawi pisemne zezwolenie na wyrób. Jest ono jednocześnie zezwoleniem na wjazd do lasu, by dotarzeć do miejsca wyrobu drewna. W wyznaczonym terminie leśniczy dokona pomiaru i wyceny drewna, a następnie sprzeda je nabywcy.

Dyrektor Lasów Państwowych zauważa: – Nie każde drewno w lesie jest przeznaczone na opał. Dlatego to leśniczy wyznacza nabywcy miejsce i rodzaj drewna do samowyrobu oraz określa zasady współpracy, których należy ściśle przestrzegać.

DLACZEGO WARTO PALIĆ DREWNEM?

Drewno jest zasobem odnawialnym, stosunkowo łatwo dostępnym i przyjaznym środowisku.

– Niewątpliwie kaloryczność drewna nie może się równać z wydajnością węgla kamiennego, ale biorąc pod uwagę cenę, to pozostaje nadal zdecydowanie atrakcyjnym surowcem opałowym – podsumowuje Michał Gzowski.

Stosowanie nowoczesnych pieców zgodnych z normą Ekoprojekt (EcoDesign) powoduje znaczną redukcję pyłów i innych zanieczyszczeń powstających przy spalaniu drewna.

Lasy Państwowe

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 22b9a0cb92

NINA I SEBASTIAN*

Hodowanie bąbelków

Czym jest kombucza? Fermentowanym napojem na bazie herbaty. Jak smakuje? Podobnie do cydru. Jest lekko kwaśna i ma delikatnie octowy zapach.

Gdzie szukać jej początków? W Tybecie lub Mongolii, ale to Chiny w pełni doceniły symbiotyczne kultury bakterii (zwłaszcza za czasów dynastii Qin założonej w 221 r. p.n.e.), nazywając je „grzybem długiego życia". Współcześni ludzie odkryli tylko na nowo smakową i zdrowotną moc fermentowanych napitków, w tym kombuczy.

Jej samodzielne przygotowanie – podobnie jak kefiru, amazake, cydru, lassi czy rejuvelacu – ułatwi książka „Kombucza, kefir i spółka. Fermentowane napoje z całego świata", która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Znak Koncept. Autorzy – Nina i Sebastian – w 2015 r. otworzyli na południu Francji browar Lökki. Jak mówią, „hodują w nim bąbelki" i wbrew powszechnej w przemyśle spożywczym praktyce nie zastrzegają dla siebie tajników produkcji, bo przecież „procesy fermentacyjne należą do dziedzictwa ludzkości".

– W zasadzie piwo, wino, kefir, a także sery czy kiszona kapusta nigdy by nie powstały, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności. Kiedy człowiek zrozumiał, że fermentacja umożliwia konserwację żywności, sprawia, że staje się łatwiej strawna lub wzmacnia jej dobroczynne działanie, zapragnął odtworzyć zaobserwowane zjawisko – podkreślają autorzy.

W swojej książce dzielą się praktyczną wiedzą i sprawdzonymi pomysłami. Oczywiście napisali też, skąd wzięły się napoje z bąbelkami i dlaczego ich picie jest korzystne dla zdrowia. Przywołali trochę anegdot i ciekawostek. Omówili podstawowy sprzęt oraz zasady higieny, dzięki którym można bezpiecznie przygotować fermentowane napoje we własnym domu. Pokazali, jak dobierać składniki, przybliżyli różne metody fermentacji, przede wszystkim jednak zaproponowali, opatrzone licznymi dopełnieniami, przepisy, m.in. na kefir wodny, wspomnianą kombuczę czy ginger bug.

– Kluczem do sukcesu jest poświęcenie czasu na zgłębienie tajników fermentacji i odnalezienie własnego rytmu – zapewniają autorzy, zachęcając czytelników: „Pora przygotować słoiki!".

Jolanta Gajda-Zadworna

**Z francuskiego browaru Lökki, autorzy książki „Kombucza, kefir i spółka..."*

KWAS UKRAIŃSKI

W wersji ukraińskiej nie używa się chleba, tylko buraków, a kwas powstaje w procesie fermentacji mlekowej. Napój ten nie ma więc nic wspólnego z rosyjskim kwasem chlebowym. Burak to niesamowite, choć często niedoceniane warzywo! Wystarczy wspomnieć, że napój ten działa kojąco na żołądek, a jego smak sprawi, że zapomnisz o gotowanych buraczkach ze szkolnej stołówki…

Składniki: na 1 litr: duży surowy burak, 1 litr wody źródlanej lub przefiltrowanej wody kranowej, szczypta soli.

Akcesoria: słoik o pojemności 1,5 litra z mechanicznym zamknięciem, słomka, lejek, sitko, szklana butelka o pojemności 1 litra z hermetycznym zamknięciem.

Przygotowanie: 15 minut. Burak pokrój w kostkę o boku 2 cm. Kostki umieść w słoiku i zalej osoloną wodą. Wymieszaj i zamknij pokrywkę.

Fermentacja: 3 dni. Pozostaw słoik do fermentacji w ciepłym miejscu (minimum 25 st. C), co jakiś czas sprawdzaj smak.

Zlewanie: 10 minut. Przelej kwas do butelki za pomocą lejka, odcedzając kawałki buraka. Zachowaj je na później (zob. rady poniżej). Kwas można spożywać od razu lub pozostawić do wtórnej fermentacji w celu mocniejszego nagazowania napoju.

Wtórna fermentacja: 2–3 dni. Pozostaw butelkę w temperaturze pokojowej. Im dłużej napój będzie fermentował, tym bardziej będzie musujący. Odgazowuj butelkę, by uniknąć nadciśnienia.

Rady: Spróbuj napoju w ciągu pierwszych kilku godzin fermentacji, a później próbuj go codziennie. Dzięki temu zaznajomisz swoje podniebienie z jego smakiem i wybierzesz odpowiadający ci stopień fermentacji. Z odcedzonych buraków można przygotować kolejną porcję napoju. Czynność tę można powtórzyć maksymalnie trzy razy (wtedy czas fermentacji będzie krótszy). Dodaj do butelki kawałek imbiru lub nasiona kolendry, by uzyskać pikantniejszy smak.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 22b9a0cb92

Z mniszka

ANNA MONICKA

Już w ubiegłym roku na mój ulubiony miód były zapisy. Staram się go kupować na Pojezierzu Drawskim, gdzie tereny wydają się stosunkowo mało skażone, lasy ogromne i pachnące dzikością. Ale susza dała się we znaki i ludziom, i pszczołom. Pyłku i nektaru było mało, więc żeby nie ograbiać zapylaczy z ich zapasów jedzenia, właścicielka pasieki wprowadziła reglamentację. Starsi wiedzą, co to znaczy, młodsi mieli przyspieszony kurs życia w PRL-u. Nie żeby zaraz kartki, ale trzy-cztery słoiki tylko dla stałych klientów. Uparłam się na ten miód, bo smakował mi jak ten z dzieciństwa, aż błyszczał od pyłku i nieziemsko pachniał. Był droższy, ale cena nie rosła drastycznie, a właścicielce było wyraźnie przykro, że ją musi podnieść. Na szczęście smak się nie zmienił.

Co będzie w tym roku – nie wiem. Deszczu nadal jak na lekarstwo, a nawet jak popada, ziemia błyskawicznie wypija każdą kroplę. W gospodarstwie mojej ciotki powysychały stare jabłonie, popadały brzozy, nie ma już królestwa motyli nad jednym ze stawów. Ba, nie ma stawów. Wyschły.

Ponieważ nie wiem, czy wrócę z wakacji z pszczelim miodem, na wszelki wypadek postanowiłam zrobić sobie mniszkowy. Na szczęście nieopodal domu rodziców jest wspaniałe, kilkuhektarowe pastwisko dla koni. Znajdzie się na nim trochę mlecza.

Na kilka słoików miodu wystarczy ok. 200 główek kwiatowych, czyli cztery-pięć kopiastych garści. Wystarczy krótki spacer i masz je w koszyku (najlepiej wiklinowym, żeby się nie zaparzały). Potem trzeba z nich wytrząsnąć małe robaczki, które zazwyczaj siedzą głęboko między płatkami.

Zbiory zalewamy w garnku litrem zimnej wody i wolno doprowadzamy do wrzenia. Kompot zostawiamy na noc, żeby dobrze naciągnął. Następnego dnia przecedzamy kwiaty na sicie, odciskamy i wyrzucamy na kompost, a do wywaru dodajemy kilogram cukru i sok z cytryny. Płyn ma odparowywać bez gotowania, więc nie kładziemy przykrywki. Pilnujemy, żeby za bardzo nie zgęstniał; syrop powinien przypominać świeży wielokwiatowy miód. Taki przepis wykorzystuje zawsze moja mama, znalazła go w książce austriackiej zielarki Marii Treben „Apteka Pana Boga". Miód przelewamy do niedużych słoiczków. Bardzo pomaga na suchy kaszel, który nie chce ustąpić po przeziębieniu. Jest delikatny, smakuje dzieciom. Słodzimy nim herbatę albo ssiemy wolno po łyżeczce kilka razy dziennie. Dobrze smakuje z białym serem albo na chlebie – jak prawdziwy miód.

Fot. Shutterstock x2

WILCZYM OKIEM

Puchowiec

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Do niedawna ludzie nie potrafili produkować tworzyw syntetycznych i korzystali tylko z surowców naturalnych. W takim świecie nasi przodkowie żyli od pojawienia się ludzi na świecie, przez cywilizacje starożytne, do współczesności. Dziadziu mojej żony (rocznik 1919), który dożył 2016 r., ukończył dwa fakultety i żył długo w świecie już nowoczesnym, zawsze za najcenniejszy materiał uważał skórzany rzemień i metal.

Przez wieki, żeby cokolwiek zrobić, ludzie musieli zdobyć tran lub łój, uprawiać len i bawełnę, pozyskiwać drewno, ciosać kamień. Nawet epoka samochodów zaczęła się od gumy z soku drzew kauczukowych, w dodatku nie z plantacji, lecz z dzikich drzew z brazylijskiej selwy.

W tropikalnej Ameryce rośnie puchowiec pięciopręcikowy *Ceiba pentandra*, inaczej drzewo kapokowe. Jego torebkowate owoce, zawierające nasiona, są wypełnione puchem. Z tego wodoodpornego puchu, zdolnego utrzymać na wodzie ciężar kilkudziesięciokrotnie większy od masy własnej, produkowano dawniej kamizelki ratunkowe – kapoki. Drzewo kapokowe dorasta do olbrzymich rozmiarów. Majestatyczne giganty są często centralnym punktem osad, stąd liczne latynoamerykańskie miejscowości o nazwie La Ceiba.

Dziś włókna kapokowe są zastąpione w kamizelkach przez sztuczne materiały. Czy jednak to, co naturalne, na zawsze odeszło w przeszłość?

Przyroda, jej naturalne mechanizmy i produkty to nowoczesność, którą wciąż dopiero poznajemy i z której nauczyliśmy się korzystać w niewielkim jeszcze stopniu. Nie znamy potężniejszego źródła energii niż promieniowanie słoneczne – zaledwie 2 proc. energii, które dociera do powierzchni Ziemi, utrzymuje całą planetę. Reszta odbija się i znika w kosmosie. Zastanawiamy się, co będzie, jak zabraknie paliw kopalnych, a do dyspozycji mamy tyle energii, że moglibyśmy utrzymać kilkadziesiąt światów równych naszemu.

Wiele razy będziemy wracać do rozwiązań proponowanych przez przyrodę. Szczególnej uwadze polecam las, w naszej strefie klimatycznej najdoskonalsze proponowane przez przyrodę zagospodarowanie terenu. Sadźmy lasy i zwiększajmy ich powierzchnię. W 2050 r. mamy mieć ich 33 proc. powierzchni – nie poprzestańmy na tym – to inwestycja o tak wysokiej stopie zwrotu, jakiej dziś sobie nie wyobrażamy, a za którą podziękują nam przyszłe pokolenia.

eprasa.pl 22b9a0cb92

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Jak kosa na kamień

W jednym z felietonów Grzegorz Górny przypomniał dawne Dzikie Pola (dzięki, redaktorze), a więc południo-wschodnie ziemie I Rzeczypospolitej zamieszkałe głównie przez Kozaków zorganizowanych w stepowe społeczeństwo na wzór warownych obozów wojskowych. Broniąc siebie, chronili równocześnie południowych krańców I Rzeczypospolitej przed najazdami Tatarów, Mongołów i innych ludów ze wschodu. Oczywiście nie robili tego bezinteresownie. Czy władze Rzeczypospolitej, jak pisze Górny, popełniły błąd, nie uznając Kozaków za część narodu, tym samym wykluczając ich z systemu ustrojowego wspólnego państwa? Raczej nie. Intencje i praktyka I Rzeczypospolitej były raczej przychylne Kozakom. Trudno też mówić o błędzie, skoro Kozacy podejmowali swoje decyzje niezależnie, kierując się własnym interesem. Gdy popadali z Rzecząpospolitą w konflikty, szukali wsparcia gdzie indziej i wpadali w objęcia Moskwy.

Nie bez znaczenia były konflikty i urazy natury osobistej i ambicjonalnej u Kozaków czujących się Polakami. Mam tu na myśli hetmana Bohdana Chmielnickiego. Doskonale scharakteryzował tę postać Henryk Sienkiewicz w powieści „Ogniem i mieczem". Gdyby Rzeczpospolita, a raczej jej sądy, lepiej realizowały poczucie sprawiedliwości, a już uznały winnym szlachcica Daniela Czaplińskiego, który pozbawił Chmielnickiego majątku, uwiódł mu żonę, a także próbował jego i jego syna zabić, to późniejszy przywódca Kozaków nadal pracowałby na rzecz Polski jako pisarz wojska zaporoskiego i zapewne pełniłby inne zaszczytne funkcje. Nie musiałby wywoływać ogromnego antypolskiego powstania. Może wówczas sprawa zapewnienia wolności Kozaków i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej w ramach wspólnego organizmu ustrojowego nie byłaby tak beznadziejna.

Unia hadziacka zawarta w 1658 r., czyli umowa między zaporoskim wojskiem kozackim dowodzonym przez hetmana Iwana Wyhowskiego, następcę Chmielnickiego, a Rzecząpospolitą Obojga Narodów, nie trwała długo. Najważniejsze, że odwróciła sojusz z Moskwą, bo anulowała umowę perejasławską zawartą jeszcze za czasów Chmielnickiego z carem Aleksym I. Dlatego Rzeczpospolita w XVII w. nie popełniła błędu polegającego na wykluczeniu Kozaków ze struktur wspólnego państwa. Wręcz przeciwnie. Tworzyła zarys przyszłego, wspólnego, potężnego państwa w środku Europy. Nazwa tego przyszłego organizmu to Rzeczpospolita Trojga Narodów, trzech równorzędnych podmiotów: Korony, Litwy i Rusi. Unia hadziacka kreśliła nadzwyczaj śmiałe plany. Rządziłoby trzech marszałków: koronny, litewski i ruski (nie mylić broń Boże z Rosją reprezentowaną przez Moskwę). Wspólnym wojskiem mieliby dowodzić wyznaczeni przez miejscowych hetmani – koronni, litewscy i ruscy. Wspólni posłowie i wspólni senatorowie wybieraliby wspólnie swojego króla. Wspólny miał być skarb państwa, ministerstwa i urzędy. Pogodzono nawet oczekiwania religijne i godnościowe wyznawców katolicyzmu i prawosławia. Duchowieństwo prawosławne zyskało prawo zasiadania w Senacie. Kozacy co roku mieli nabywać szlacheckie tytuły. Etatowy rejestr objął aż 30 tys. opłacanych Kozaków, którzy dzielnie sprawdzili się w bitwie z Moskalami pod Konotopem. Ale gdy knowania Moskwy doprowadziły do buntu tzw. czerni, czyli ruskiego chłopstwa, unia hadziacka nie miała szans wypełnić swoich postanowień i upadła.

Ale nie upadła idea wolnych i świadomych swoich praw trzech narodów walczących z hegemonią Moskwy. 200 lat po Unii trzy symbole tych narodów znalazły się razem na wspólnej fladze powstania styczniowego z 1863 r.: Korona, a więc Biały Orzeł, Pogoń, rycerz na koniu, a więc Litwa i Archanioł Michał, symbol świętej Rusi.

A skoro upatrujemy w Kozakach przodków dzisiejszych Ukraińców, to warto zajrzeć do prac nieocenionego prof. Feliksa Konecznego. Wyraz „Kozak" pojawia się po raz pierwszy w dziejach Słowiańszczyzny wschodniej nie jako pochodzenie, to było raczej tatarskie i oznaczało zbiegłego Tatara, uciekiniera chcącego się wyłamać ze swojej tatarskiej społeczności, by zyskać większą swobodę życia i zdobywania samodzielnych łupów. Z biegiem lat słowo „Kozak" stawało się bliższe nie znaczeniu etnograficznemu, ale ekonomicznemu. Oznaczało zawód, sposób utrzymania się za pomocą oręża. Zatem Kozacy to grupa chcąca działać na własne ryzyko, to odpowiednik zaciężnego najemnego wojska w Europie Zachodniej. Także w języku polskim można się nadal doszukać podobnego pierwotnego znaczenia słowa „kozak". To ktoś wręcz szaleńczy, a na pewno wyjątkowo odważny, nieliczący się z żadnym ryzykiem. Ktoś, kto nie dba o siebie, gdy chodzi o życie jego pobratymców czy jego najbliższej rodziny. Dlatego Rosja, najeżdżając barbarzyńsko Ukrainę, trafiła jak kosa na kamień. Ukraińcy, potomkowie dawnych Kozaków, bronią swojej ziemi, swojej cywilizacji, równocześnie bronią wschodnich rubieży dawnej I Rzeczypospolitej, nazywanej dziś wschodnią flanką NATO. Oryginalny projekt geopolityczny nazwany kiedyś Rzecząpospolitą Trojga Narodów ma jeszcze szansę się ziścić.

www.wojciechreszczynski.pl

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Morale

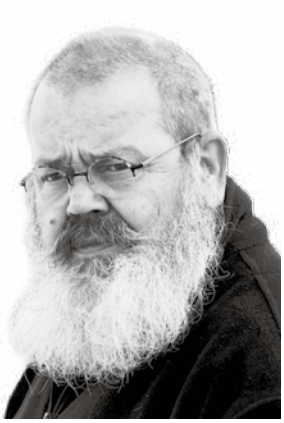

Aleksander Nalaskowski

Jednym z terminów, które w rzeczywistości wojennej zyskały ostatnio na popularności, jest słowo „morale". Wedle Słownika języka polskiego PWN oznacza ono „gotowość do wypełniania obowiązków, znoszenia trudów i niebezpieczeństw oraz poczucie odpowiedzialności i wiara w sukces". Mówi się o wysokim morale walczących Ukraińców i niskim, wciąż spadającym morale żołnierzy Putina. Jak pokazuje historia tej wojny, to historia nie tylko dział, rakiet i czołgów, lecz także historia morale, które jest jak proch do nabojów, jak paliwo do czołgów. Niskie morale to marne rakiety i kiepskie naboje. Po rosyjskiej stronie żołdacy o wyglądzie młodocianych, a niekiedy dziecinnych blokersów nie bardzo wiedzą, o co i po co mają walczyć. Ich jedyna motywacja to konieczność wypełniania rozkazów, bo tak jest właśnie w wojsku. Dodatkową motywacją są oddziały za ich plecami, które mają uniemożliwiać dezercję. To stara wypróbowana w czasie II wojny metoda ruskich. Tam człowiek, czy to marynarz z okrętu podwodnego Kursk, czy to piechur na Ukrainie, nie ma żadnego znaczenia. Putin i jego generałowie z życiem zupełnie się nie liczą. Pod warunkiem, że to nie ich życie.

Zawołany przez Jana Pawła II Duch nie spoczął na laurach. Był widziany na przejściach granicznych z Ukrainą

Ukraińskiego wysokiego morale nie da się zakwestionować. Teoretycznie w konfrontacji z „drugą armią świata" powinni już na wstępie zrejterować, poddać się w przekonaniu, że z potworem nie mają żadnych szans. A jednak nie, nie poddali się i niemal całkowicie ośmieszyli waciano-szpagatową armię, dokonującą inwazji zabytkowym sprzętem i kompletnym, rzec by czysto ruskim, bałaganem, bezhołowiem i dezorganizacją. Ta bezsilność imperatorów popycha ich do zbrodni na Bogu ducha winnych cywilach. Owa słownikowa gotowość do wypełniania obowiązków rekompensowana rabunkiem, gwałtami, przybieraniem roli panów życia i śmierci buduje morale, owszem, ale bandyckie, które nijak się mają do długotrwałego wysiłku wojennego. Poza tym dlaczego wojsko dowodzone przez zbira ma nie być zbirowate?

Ale czy morale to tylko wojna i wojsko? Ależ nie, to gotowość do wypełniania obowiązków, i to (znów Słownik PWN) niemal w każdej sytuacji, w której idea ma jakiekolwiek znaczenie.

Niedawno obchodziliśmy 102. rocznicę urodzin Karola Wojtyły, naszego Jana Pawła Wielkiego, naszego świętego. Zastanawiam się, czy kolegium kardynałów 16 października 1978 r. do końca przewidywało skutki swojego wyboru, czy miało 100-proc. świadomość, że wybierając Wojtyłę na najwyższy urząd w Kościele, rozpoczyna jedną z najważniejszych rewolucji w historii naszej cywilizacji? Przecież Duch Święty obecny na konklawe nie musiał im się z niczego tłumaczyć, wystarczyło, że ich natchnął.

Kardynałowie doskonale wiedzieli, że papież nie ma ani jednej dywizji, nie dysponuje czołgami, nie szkoli żołnierzy. Ale też wiedzieli, że bezbożny i bezduszny komunizm, stanowiący rozwojowe i osobowościowe kajdany zniewalające pół Europy, to zło, z którym można wygrać tylko przy wysokim morale narodów pragnących wolności i suwerenności. Wybór Karola Wojtyły był nie tylko genialnym posunięciem kardynałów, ale wręcz najprawdziwszym cudem. Cudem tak wielkim, że do dziś niepojętym. Jego słynne „Niech zstąpi Duch Twój!", wypowiedziane w lipcu, niecały rok po wyborze, było zaczynem morale narodowego, które zaczęło gwałtownie rosnąć na ugorze beznadziei, biedy i rozgoryczenia – nieodłącznych atrybutów tzw. socjalizmu. To morale zbudowało gmach ludzkiej solidarności, a potem i Solidarności, pozwoliło przetrwać komuszą władzę Jaruzelskiego i dało drugie życie Polakom już po tzw. okrągłym stole. Ten Duch zawołany przez naszego papieża zdaje się mieć nas wciąż w opiece. Bo jakże wytłumaczyć, że nie dochodzi do manifestacji i masowych protestów przeciwko władzy, którą Bruksela tak metodycznie gnębi i szantażuje? Dlaczego Polacy wzruszają ramionami na groźby Unii Europejskiej? Myślę, że dlatego, że swoją ufność ulokowali znacznie, znacznie wyżej.

Zawołany przez Jana Pawła II Duch nie spoczął na laurach. Był widziany na przejściach granicznych z Ukrainą, w domach goszczących naszych sąsiadów uciekających przed wojną, w naszej jednoznaczności wobec bandyty z Kremla. Bo takie jest nasze morale. Takie właśnie. I dlatego winniśmy dozgonną wdzięczność kolegium kardynalskiemu z 1978 r. i Kościołowi za dar tego morale, które przyniósł nam nasz papież. Nie tylko wszak my jesteśmy jego dłużnikami, lecz także wszystkie kraje dawnych demoludów, i zjednoczone Niemcy, i kraje Bałtów, a także Ukraińcy. I nie dajmy sobie wmówić postoświeceniowym rozumkom, że było inaczej, że to jakieś prądy polityczne czy przypadki. A tych, którzy wysiewają nam kąkol i perz między pszenicą, wyślijmy do diabła. Tak po prostu.

eprasa.pl 22b9a0cb92

W cieniu ważniejszych spraw

Jeżeli traktujemy poważnie nasze państwo, nie możemy od tego uciec. Tu nie chodzi o to, by kogoś dopaść i się zemścić

JAN POSPIESZALSKI

Przy akompaniamencie bomb spadających na Ukrainę, w natłoku doniesień o zbrodniach Rosjan na ludności cywilnej i jeńcach trudno się przebić do opinii publicznej z informacjami innymi niż wojna. Sprawa jest o tyle trudniejsza, że funkcjonowanie mediów polega na nieustannej walce o uwagę odbiorców, co skłania redakcje do nasycania do granic możliwości wszelkich treści emocjami. Serwisy informacyjne składają się najczęściej już nie z materiałów informacyjnych, lecz klipów, gdzie euforia miesza się ze łzawymi sekwencjami, a wszystko robi wrażenie kiczowatej opowieści pobudzonej nastolatki. Permanentny wyścig, kto dosadniej, kto mocniej, kto bardziej emocjonalnie, sprawia, że autorzy doniesień i odbiorcy mediów tracą właściwą miarę spraw. A ponieważ coraz większe obszary polityki przeniosły się do mediów, ich emocjonalność, niedojrzałość i euforyczność zmieniają też życie polityczne.

Spróbuję jednak wrócić do ważnego problemu, od trzech miesięcy sukcesywnie rozmywanego. Sprawa jest tak bulwersująca, że zostawienie jej, aż wszyscy zapomną, nie wchodzi w rachubę.

Przedstawienie nawet ogólnego zarysu strat spowodowanych (uwaga!) nie przez COVID-19, ale przez środki użyte do walki z pandemią, w krótkim tekście jest niewykonalne. Kwestia dokonania oceny rozmiaru szkód to sprawa, która ciągle jest przed nami. Jeżeli traktujemy poważnie nasze państwo, nie możemy od tego uciec. Tu nie chodzi o to, by kogoś ukarać, dopaść i się zemścić. Priorytetem powinna być troska o powagę państwa i jego sprawne funkcjonowanie, nie zemsta. Nie chcę suflować tu nic ani lewicowej, ani platformianej opozycji powołania jakiejś komisji śledczej, bo przecież ona jeszcze mocniej chciała dokręcać sanitarną śrubę i gdyby tylko słuchać jej pomysłów, raport szkód byłby jeszcze bardziej przerażający.

Owszem, NIK zabrała się za kontrolowanie niektórych obszarów dotyczących zarządzeń epidemicznych, np. za zdalne nauczanie, ale sprawdzano raczej sposób realizacji, a nie istotę tego bardzo szkodliwego pomysłu. A właśnie zdalne nauczanie to jeden z tych pomysłów, które najtrudniej obronić. Dziś chcę zwrócić uwagę tylko na dwa problemy spowodowane tzw. walką z pandemią, które wobec tragedii nadmiarowych zgonów czy inflacji wydają się błahe, ale przecież wiążą się z cierpieniem konkretnych ludzi.

Zdalne nauczanie (jak przyznał w Polskim Radiu sam wiceminister edukacji Tomasz Rzymkowski) zostało wprowadzone nie dlatego, by chronić dzieci przed śmiercią, ale dlatego, że w sytuacji zwiększenia się pozytywnych odczytów testów, sanepid nie podołałby obciążeniom. A więc – upraszczając – w trosce o komfort pracowników sanepidu dzieci zostały zamknięte w domach przed komputerami. Straty spowodowane zdalną nauką dadzą o sobie dopiero znać, ale to, co już dziś widać, to dramatyczny wzrost chorób psychicznych u nastolatków, szczególnie dziewcząt. Na Oddziale Psychiatrii i Psychoterapii Wieku Rozwojowego Centrum Pediatrii w Sosnowcu średnio przebywa ok. 70 nastolatków. To tak, jakby dwie całe ósme klasy przeniesiono ze szkoły do szpitala. Sale są tak przeciążone, że młodych pacjentów lokuje się na materacach w oddziałowej świetlicy.

Innym nieopowiedzianym dramatem była sytuacja osób niedosłyszących. Tym, co pomaga się porozumiewać, jest mimika twarzy i ruch ust. Znajoma dziewczyna z tą dolegliwością, która od dziecka nauczyła się samodzielnie funkcjonować, posługując się językiem migowym, opowiada o zawaleniu się całego jej sposobu komunikacji ze światem przez przymus maskowania twarzy. Prosta czynność jak zakupy w osiedlowym sklepie stawała się dla niej jakimś koszmarem. Biorąc pod uwagę poważne naukowe badania i ponad setkę publikacji w renomowanych pismach, pokazujące nieskuteczność stosowania tego rodzaju ochrony, skazywanie osób niedosłyszących na wyłączenie z komunikacji tylko po to, by „przypominać, że mamy pandemię", to koszt, którego nikt z nimi nie ustalał.

To tylko dwie, wcale nie najbardziej dramatyczne sprawy, które przypominam ku przestrodze, zanim przyjdzie jesień, czas przeziębień, i zanim znów ktoś wpadnie na pomysł, by ogłosić kolejną epidemię. A coraz więcej przesłanek wskazuje, że szaleństwo pandemiczne może niebawem wrócić.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Nie obcyndalać się

Jerzy Jachowicz

Tak jak obiecywałem, czas rozpocząć porządki. Borys, czy twoi ludzie są gotowi, bo nikogo tu nie widzę – rozpoczął zza stolika prezydialnego prowadzący tajną odprawę pod kryptonimem „Żelazna miotła".

– Donek, zgodnie z wcześniejszymi planami wszyscy są już rozmieszczeni w zastrzeżonych punktach. W pobliżu najważniejszych sądów w kraju. Czekają tylko, żeby na nasz sygnał rozpocząć operację wyprowadzania z gabinetów sędziów z przygotowanej listy – zameldował Borys Budka. I dodał: – Mogę się pochwalić, że udało mi się nakłonić Władysława Frasyniuka. Nie trwało to długo. Wystarczyło, że usłyszał twój aforyzm: „To nie tylko obowiązek, ale dla każdego wyróżnienie i przyjemność móc posprzątać po PiS". Mówię ci o tym, bo Władek kipi od pomysłów. Ma np. ciekawą propozycję w sprawie miejsc początkowego odosobnienia funkcjonariuszy PiS do czasu podjęcia decyzji – areszt czy kamieniołomy. (Po małej salce, w której odbywało się spotkanie przeszedł szmer akceptacji i zadowolenia. Tu i ówdzie słychać był pojedyncze głośne szepty: „Koniecznie", „Szybko", „Nie obcyndalać się z nimi").

– Masz kolejność? Trzeba zacząć od głośnych nazwisk, żeby Jasio Grabiec mógł szybko przekazać naszym mediom, a te uspokoiły opinię – powiedział Donald Tusk. Wywołany rzecznik prasowy od siebie dodał: – I zbudowały uznanie Komisji Europejskiej, jak skutecznie potrafimy realizować jej podpowiedzi.

– Trzeba zacząć od warszawskiego sędziego Przemysława Radzika. To on zablokował Igora Tuleyę. Drugim powinien być facet z Olsztyna, Maciej Nowacki, nominat „dobrej zmiany", który blokował Pawła Juszczyszyna – ustalał hierarchię prowadzący spotkania. – A ten, co zawiesił sędziego Piotra Gąciarka? – wtrącił Borys Budka. – Borys, Gąciarka zwolniła Izba Dyscyplinarna. Ci w swoim czasie. I wyłącz ten telefon.

Na pół przytomny Donald Tusk w swoim brukselskim mieszkaniu zapytał stojącego nad jego łóżkiem Pawła Grasia: – O tej porze? Co znowu? Kto?

Ten, wręczając komórkę, powiedział cicho: – Teściowa. Ma radę, z którą nie może czekać. Jak załatwić PiS.

Szachowy turniej w sutannach i habitach

To z pewnością będzie fascynujący turniej. XXI Szachowe Mistrzostwa Polski Duchowieństwa odbędą się na początku lipca w Opactwie Benedyktynów w Tyńcu.

Organizatorem jest Diecezjalne Duszpasterstwo Sportu Diecezji Drohiczyńskiej. Turniej wyłoni Mistrza Polski wśród duchowieństwa. Kto może wziąć udział w tych szachowych zmaganiach? Duchowni Kościołów chrześcijańskich, alumni, bracia zakonni i siostry zakonne.

Więcej informacji można znaleźć na stronie: www.smpd.pl

eprasa.pl 22b9a0cb92

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

W sprawie łóżka

Budując swój raj codzienności, jesteśmy narażeni na nieznane

W obliczu hekatomby, która spadła na Ukrainę, doceniamy najprostsze rzeczy. Idąc spać, odczuwam radość. Jak to dobrze, że to łóżko stoi tam, gdzie stało. Do tej pory nie zastanawiałem się, że łóżko stoi w sypialni. Bo niby gdzie ma stać? Jednak zastygły z tyłu głowy obraz wypalonych bloków, zrujnowanych miast, zdewastowanego życia tysięcy ludzi skłania do odczuć niespotykanych parę miesięcy temu.

Ryszard Makowski

Mamy swoją poukładaną egzystencję. Owszem, z kranami, które trzeba naprawić, z gniazdkiem elektrycznym, które rozchybotało się w ścianie i czasem ośmiela się błysnąć do nas ostrzegawczo niebieską iskrą, ale to wszystko ma konkretny wymiar. Nasz prywatny wymiar. Nasza twierdza na zasuwkę i parę zamków trwa. Trudno jednak oprzeć się poczuciu ulotności tej sytuacji. Czy już grają werble III wojny światowej, czy jeszcze okrucieństwo jest możliwe do zatrzymania i ukarania?

Niesamowite, że w obecnej sytuacji zapiewa chór zawziętych krytykantów rządu. Ci obdarzeni platfusem umysłowym obywatele żądają, żeby było normalnie. Dlaczego truskawki są drogie, dlaczego ceny paliw szaleją, dlaczego i jeszcze raz dlaczego? Mają też momenty satysfakcji. Jeden wybitny sędzia przyznał pani obrażającej policjantów 20 tys. odszkodowania. Samarytanin w todze? Ależ skąd! Trzeba podpalać państwo, trzeba igrać z entropią, trzeba podgrzewać. A nuż wybuchnie! Wielu dziennikarzy też się bawi w dziewczynkę z zapałkami, wspierając opozycyjnych polityków-pirotechników. Im nie zależy, gdzie będzie stało moje łóżko. Mnie tak.

eprasa.pl 22b9a0cb92

Michał Korsun prezentuje:
News z poprzedniego tygodnia

Wycinki z przeszłości

Ten rysunkowy żart zamieściła „Biesiada Literacka" w 1912 r. Argumenty chirurga sprzed ponad wieku trzeba uznać za naprawdę przekonujące.

(mk)

Bogactwa po Leśmianie

Leszek Długosz

Najsłynniejszy chyba poemat przedwojnia. Kwintesencja „budulca poetyckiego" Leśmiana. Dziś fragment z tego bogactwa, które zostawił nam (polszczyźnie) w spadku. Obdarował nas doprawdy po królewsku.

Bolesław Leśmian (1877–1937)
„Łąka"
(fragmenty)

Czy pamiętasz, jak głowę wynurzyłeś z boru,
Aby nazwać mnie Łąką pewnego wieczoru?
Zawołana po imieniu
Raz przejrzałam się w strumieniu –
I odtąd poznam siebie wśród reszty przestworu.

Przyszły do mnie motyle, utrudzone lotem,
Przyszły pszczoły z kadzidłem i mirrą, i złotem,
Przyszła sama Nieskończoność,
By popatrzeć w mą zieloność –
Popatrzyła i odejść nie chciała z powrotem...

Kto całował mak w zbożu – nie zazna niedoli!
Trawa z ziemi wyrwana pachnie, lecz nie boli...
Kocham stopy twoje bose,
Że deptały kruchą rosę,
Rozróżniając na oślep chabry od kąkoli.

Niechże sen twój wędrowny zielenią poprzedzę!
Weź kwiaty w jedną rękę, a w drugą weź miedzę,
Połóż kwiaty na rozstaju,
Zwilżyj miedzę w tym ruczaju,
Co wie o mnie, że trawą brzeg jego nawiedzę. (...)

Cień twej głowy do moich przybłąkał się cieni.
Wiem, że w oczach nie zdzierżysz tej wszystkiej zieleni,
A co w oku się nie zmieści,
To się w duszy rozszeleści!
Jeszcze dusza ci nieraz żywcem się odmieni.

Parna ziemia przez kwiaty żar dzienny wydycha,
Uschły motyl zesztywniał wśród jaskrów kielicha –
Oczarujmy się nawzajem,
Zaskoczeni nagłym Majem –
Maj się chyli ku nocy i miłość nacicha (...)

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 22b9a0cb92

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

400 brutalnych dni

Zapowiedź tych dni to oczywisty przełom. Platformie Obywatelskiej od lat zarzucano – czynili to także jej zwolennicy – że jako główna partia opozycyjna nie posiada konkretnego programu rozwoju Polski, który mógłby stanowić skuteczną przeciwwagę dla „rozdawnictwa" politycznego obecnej władzy.

Gdy w lipcu 2021 r. Donald Tusk wrócił do polskiej polityki, nie brakowało nadziei, że ten nowy impuls, który niesie z sobą ten charyzmatyczny przywódca, poza wystrzeleniem w górę notowań PO pozwoli także na powstanie owego programu. Spadek notowań Platformy Tusk powstrzymał, ale z programem gorzej. Jednak ostatnio dostrzegliśmy, że podstawowy zrąb programu już się wyłonił i został publicznie zadeklarowany.

TOURNÉE TUSKA

Zmagając się ze znanymi słabościami swojego charakteru, w tym z lenistwem (ten z nas, kto na to nie cierpi, pierwszy niech rzuci kamieniem), Donald Tusk ruszył jednak w trasę po kraju, by wsłuchując się w głosy Polaków, wypracować ów tak potrzebny ojczyźnie program.

Obejrzeliśmy jego niedawne spotkania w Lublinie i Stargardzie Szczecińskim. Choć nie jest to już dawna swoboda młodego Tuska, to chwilami były przewodniczący Rady Europejskiej wydaje się być w formie. Żywo przemawia i ma z publicznością kontakt. Jaką ma koncepcję na Polskę?

CHARYZMA MIOTŁY

W Lublinie Tusk występuje 4 maja: „Jestem generalnie łagodnym człowiekiem, nigdy nie mam w sobie potrzeby odwetu, wolałbym łagodzić konflikt, ale wobec bardzo wielu, raczej setek, a nie dziesiątek funkcjonariuszy PiS-u, tak czy inaczej, tu nie ma mowy o zemście, tylko oni będą musieli odpowiedzieć. I to karnie odpowiedzieć, bo oni popełniali przestępstwa i mówię o tym, bo robili to w świetle dnia. Znaczy [oklaski], **tu nie trzeba jakichś bardzo** [oklaski] **skomplikowanych śledztw. Natychmiastowe** jakby **unieważnienie wszystkich decyzji**, które zniszczyły Trybunał Konstytucyjny, które de facto zrobiły z naszej konstytucji pusty papier [oklaski]. Przywrócenie prawdziwych sędziów do sądzenia, wyrzucenie tych, którzy są pseudosędziami, bo zostali wybrani nielegalnie.

Ja wierzę w to, że będę tak czy inaczej szefem partii, która wygra wybory, więc będę miał i tak dużo do powiedzenia. To dajcie mi 100 dni, no może 400 dni, żeby zrobić porządek **naprawdę żelazną miotłą** i później chętnie zostawię to ludziom o delikatniejszych jakby zamiarach [oklaski]".

Tropicielom najmniejszych nawet oznak faszyzmu w naszym życiu publicznym metafora żelaznej miotły nie zapaliła najmniejszego światełka ostrzegawczego

ŚWIATEŁKO NIE ZAPALIŁO SIĘ

Tropicielom najmniejszych nawet oznak faszyzmu w naszym życiu publicznym metafora żelaznej miotły nie zapaliła najmniejszego światełka ostrzegawczego. Na przykład red. Rafał Kalukin z tygodnika „Polityka", który o niej wspomniał, przeszedł nad tym do porządku dziennego. A przecież chodzi o zmiatanie, usuwanie ludzi! Żelazną miotłą nie można robić tego delikatnie. Żelazna miotła nie bierze jeńców. Rozpędzona żelazna miotła nie ma czasu na domniemanie niewinności. Nie pozwala na ustalenie, według jakiej procedury która instancja państwa może transparentnie i prawomocnie stwierdzić, kto i w jakim zakresie złamał prawo.

Co o takim sposobie „natychmiastowego" przywracania praworządności sądzą teoretycy prawa zaangażowani w spory polskiego rządu z instancjami Unii Europejskiej? Czy będą teraz znajdować doktrynalne uzasadnienia dla metody żelaznej miotły mającej działać ponad rok? I czy zorganizują do tego listy poparcia swoich zachodnich konferencyjnych kolegów?

A może przyjąć interpretację życzliwą (któż z nas nie ma do niej prawa), że przemęczonemu politykowi objeżdżającemu kraj tylko wymknęły się nieprecyzyjne, nazbyt emocjonalne słowa? Może i dałoby się w to uwierzyć, gdyby w Stargardzie Szczecińskim nie padły słowa: „Te decyzje, które oni podjęli, to decyzje nielegalne. Wygramy i będzie legalny stan. **Kilku odważnych ludzi, którzy wyprowadzą panów i panie**, nielegalnie zajmujących miejsca, wyprowadzi się z budynku po prostu".

Zobaczcie, jakie to proste: wystarczy Specnaz, by przywrócić praworządność!

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 22b9a0cb92

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

wSIECI HISTORII

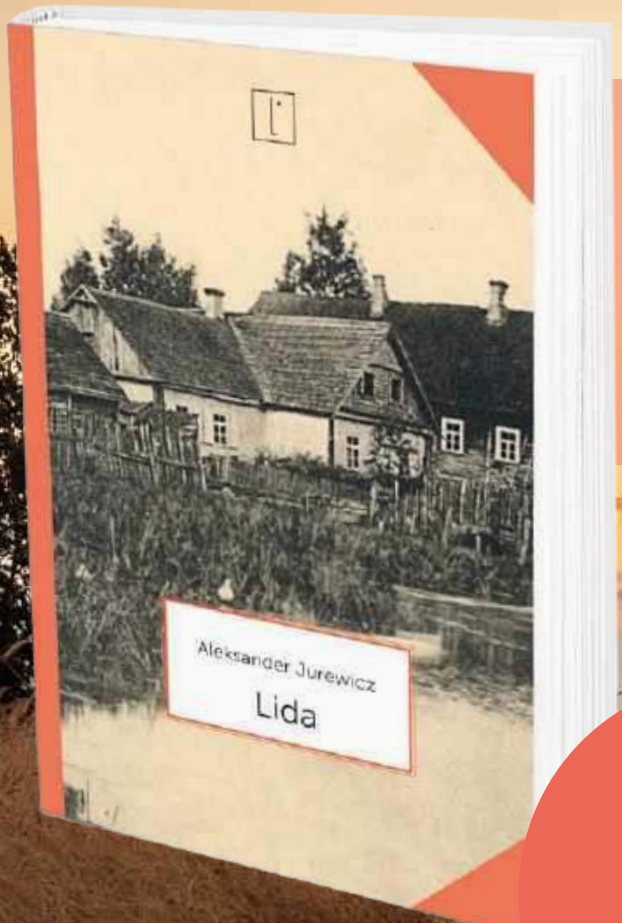

„Lida” Aleksandra Jurewicza to poetycka i pełna melancholii opowieść o „raju utraconym”, miejscu w którym autor urodził się i mieszkał jako dziecko. Całe jego życie zostało potem naznaczone tęsknotą za Lidą, w której zostawił serce i bliskich.

POETYCKA PROZA | NAGRODA CZESŁAWA MIŁOSZA

100 książek w prezencie

Książkę **„Lida”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl 22b9a0cb92

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE / PL

JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • SZYMBORSKA • BIEDROŃ • KOCZOT • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY • WYSOCKI

OGLĄDAJ NAS:

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI **196**

upc
NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange
NA POZYCJI **32**

NETIA
NA POZYCJI **192**

VECTRA
NA POZYCJI **825**